



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Podróż na Atlantydę : o I tomie "Nowej baśni" Teodora Parnickiego

Author: Filip Mazurkiewicz

Citation style: Mazurkiewicz Filip. (2012). Podróż na Atlantydę : o I tomie "Nowej baśni" Teodora Parnickiego. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Filip Mazurkiewicz

Atlantyde. O
i tomie Nowej
baśni Teodora
Parnickiego.
Podróżna

Atlantyde.
i tom

Baśni

Par

Pod

Atl

i tomie Nowej

baśni Teodora

Parnickiego

Podróżna

Atlantyde. O

i tomie Nowej

baśni Teodora

Parnickiego.

Atlantyde. O

i tomie Nowej

baśni Teodora

Parnickiego.

Atlantyde. O

i tomie Nowej

Baśni Teodora

Podróż

Na Atlantyde

O I TOMIE

"NOWEJ

BASNI"

TEODORA

PARNICKIEGO.

Kilip Mazurkiewicz - adiunkt w Zakładzie Literatury Poromantycznej Uniwersytetu Śląskiego. Autor książki (napisanej razem z Jerzym Paszkiem) "Przeciwnie Kerdjurdurke". Zajmował się twórczością Teodora Parnickiego, literaturą o Zagładzie Żydów. Publikował między innymi w "Pamiętniku Literackim" i w "Tekstach Drugich". Pracuje nad książką o polskiej nowelistyce pozytywistycznej i modernistycznej.

Podróż na Atlantyde

Dla Mai



NR 2905

Filip Mazurkiewicz

Podróż

na Atlantydę

OI tomie *Nowej baśni* Teodora Parnickiego



Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Katowice 2012

Redaktor serii: Historia Literatury Polskiej

MAREK PIECHOTA

Recenzent

JERZY SMULSKI

Publikacja będzie dostępna – po wyczerpaniu nakładu – w wersji internetowej:

Śląska Biblioteka Cyfrowa

www.sbc.org.pl

Do tej książki wróciłem po wielu latach ze zdziwieniem, a czasem z niesmakiem. Szczególnie to, co nazwałem niegdyś *Wprowadzeniem*, budzi mój najwyższy niepokój. Tekst ten bowiem jest raczej manifestacją lęku przed demaskacją lenistwa, kiepsko skrywaną przez arogancję wywodu utrzymanego w tonie – nieomalże – paszkwilu na badawcze dokonania Małgorzaty Czermińskiej, Antoniego Chojnackiego i innych. Reszta tekstu brzmi lepiej, mniej agresywnie, nie jest pozbawiona – jak mi się wydaje – kilku spostrzeżeń interesujących. Nie zmienia to jednak faktu, że napisałbym dziś to wszystko inaczej. Problem jednak w tym, że wymagałoby to powrotu do rozważań, na które brak mi już badawczego zapału. Mam poczucie, że zmagania z powieściami Teodora Parnickiego są dla mnie rozdziałem zamkniętym, nie chciałbym już do nich więcej wracać. Nie, żebym żałował tych lat spędzonych nad Parnickim. Wciąż uważam, że to pisarz wybitny, na wskroś oryginalny, prekursor na skalę ogólną. Teksty, które o nim napisałem, dały mi pierwsze szlify w dyscyplinie, pewną erudycję, nauczyły myślenia – powiedzmy w ten sposób – niestandardowego, Parnicki bowiem takie podejście do swych tekstów w jakiś sposób wymusza. Dały mi też debiut, stopnie naukowe, po prostu zajęcie.

Wszystko to sprawia, że oddaję do druku tę leciwą już książkę w stanie niemal niezmiennym.

Muszę jeszcze wspomnieć z wdzięcznością – ponieważ nie tylko historia jest nauczycielką życia – o moich nauczycielach. Chyba nikt nie potrafi tak nauczać teorii literatury, jak Teresa Walas, nikt też nie powiedziałby, jak ona, że Parnicki jest jak nudny mąż. A przecież – rzeczywiście – jest. Jerzy Jarzębski, który za nic w świecie nie chciał się zgodzić na streszczanie powieści i na interpretację na podstawie streszczenia. Jego porównanie powieści Parnickiego do perskiego dywanu, który czytelnik ogląda jedynie z drugiej (lewej, dolnej) strony, i na podstawie bezładnych kolorowych nitek odgaduje kształt oraz wspaniałość niewidocznych arabesek, pozostaje świetne do dziś. Krzysztof Kłosiński, którego seminarium o Lacanie wrzuciło nas (doktorantów) w głąb ciemnego lasu i nauczyło traktować z podejrzliwością przejryste streszczenia Lacanowskich *Ecrits*. Wreszcie Stefan Szymutko: promotor, przyjaciel – już pewnie nigdy z nikim nie będę rozmawiał o literaturze tyle i tak, jak rozmawiałem z Nim. Im wszystkim bardzo dziękuję.

Wprowadzenie

Co zrobić z tradycją interpretacyjną?

Teodor Parnicki jest pisarzem trudnym. To banalne stwierdzenie nie służy podkreśleniu, że autor tych słów namęczył się podczas pisania niniejszej książki – taka informacja jest dla czytelnika nieistotna. Zmierza ono ku czemuś innemu. A mianowicie ku konieczności zdania sprawy z powodów zmiany tradycyjnie przyjętej poetyki wstępów i wprowadzeń, gdzie zazwyczaj pojawia się mniej lub bardziej wyczerpująca relacja stanu badań nad zagadnieniami, które zostaną oto na nowo podjęte. Autor musi wyznaczyć sobie miejsce w grupie wcześniejszych badaczy tematu.

Tym razem tak się nie stanie. Czytelnik nie znajdzie w ramach niniejszego wprowadzenia omówień dorobku dotychczasowych badaczy I tomu *Nowej baśni* czy całego cyklu w ogóle. Piszący te słowa od badaczy dowiedział się bowiem niewiele, niewiele nauczył, z wyjątkiem kilku kwestii szczegółowych, które odnotowywane są za każdym razem w przypisach, oraz z wyjątkiem tego, przed jakimi sposobami literaturoznawczej wypowiedzi *Nowa baśń* wydaje się zamykać.

Szczegółowe dowodzenie powyższych stwierdzeń wymagałoby obszernej przestrzeni i szczegółowych polemik. Zmieniłby się także tytuł tej książki – na taki np.: *Nowa baśń w świetle recepcji krytycznej i literaturoznawczej*. Tymczasem I tom cyklu powieściowego Teodora Parnickiego jest wyzwaniem zanadto nęcącym, aby poświęcać energię sprawom o raczej marginesowym znaczeniu.

Zamiast tego można proponować analizę dwóch wybranych, najbardziej charakterystycznych – czytelnik może mi uwierzyć na słowo albo sam sprawdzić – przykładów wyraźnych pomyłek w zakresie założeń wyjściowych dwóch znaczących w parnickologii interpretatorów cyklu. Pierwszy przykład zmierzać będzie do ukazania, jak fał-

szywe założenie wyjściowe błędnie steruje dalszymi analitycznymi postępowaniami, nawet przy trafnych spostrzeżeniach szczegółowych; drugi przykład ukazuje relację inną: jak interesujące i z pewnością trafne założenia wyjściowe tracą siłę w obliczu analizy karygodnie upraszczającej przedmiot, nieradzącej sobie z jego złożonością. A zatem za pierwszego negatywnego bohatera tej polemiki posłuży książka Małgorzaty Czerwińskiej *Czas w powieściach Teodora Parnickiego*, za drugiego zaś – książka Antoniego Chojnickiego *Parnicki. W labiryncie historii*.

Czerwińska twierdzi:

Jest [...] niewątpliwie tak, że wszystkie one [powieści Teodora Parnickiego – przyp. F.M.¹] budują (podobnie jak u Faulknera) jakiś wspólny zamknięty w sobie świat powieściowy, którego poszczególne „okolice” powiązane są powracaniem tych samych wątków fabularnych, tych samych postaci, spraw i zdarzeń².

Słów tych, którym zresztą wtóruje cytowany przez Czerwińską Jacek Łukasiewicz, nic w dziele Parnickiego nie uzasadnia.

Według Czerwińskiej I tom *Nowej baśni* (zatytułowany *Robotnicy wezwani o jedenastej*) wiąże się z powieścią *Tylko Beatrycze* i II tomem cyklu (zatytułowanym *Czas siania i czas zbierania*) – badaczka uznaje te związki za najbliższe, wynikające zapewne z chronologii ich powstawania. Tymczasem I tomu cyklu z *Tylko Beatrycze* nie łączy nic – żadna postać, żaden wątek. Przeciwnie, wszystko je dzieli: czas historyczny liczący dwa wieki, czyli po prostu przestrzeń działania się historii; problematyka – I tom *Nowej baśni* jest powieścią o śmierci, o umieraniu, *Tylko Beatrycze* natomiast jest powieścią o miłości³;

1 Wszystkie wtrącenia wewnątrz cytatów, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą ode mnie.

2 M. CZERWIŃSKA: *Czas w powieściach Parnickiego*. Wrocław 1972, s. 50.

3 Powieści *Tylko Beatrycze* poświęciłem dwa studia: *Między postacią a osobą. O postaci literackiej w Tylko Beatrycze*. W: *Świat Parnickiego*. Red. J. ŁUKASIEWICZ. Wrocław 1999; „*Kocham cię*” i *nieobecność przedmiotu*. W: *Kobiety w literaturze*. Red. L. WIŚNIEWSKA. Bydgoszcz 1999.

konstrukcje obu powieści – pierwsza jest powieścią z narratorem auktorialno-personalnym, druga stanowi raczej anarracyjną jukstapozycję, w której postacią informacyjnie nadrzędną jest Jan XXII, w jego aktach dotyczących pewnej sprawy jedna z „teczek” zawiera tę powieść. Czytelnik powinien mieć przeświadczenie, czytając *Tylko Beatrycze*, że powieść ta to jedna z setek, może tysięcy teczek, pozostających w archiwum Jana XXII. Ważność tekstu jest tu zatem wystawiona na próbę.

Motyw podróży do Ameryki został w obu powieściach całkiem inaczej opracowany, przy czym w samym I tomie *Nowej baśni* wprowadzony jest w przeciąg półtora wieku rozwijająca się akcja na co najmniej trzy sposoby, z których każdy okazuje się inny, odmiennie uwarunkowany, z czegoś innego wynika. Sprawa Atlantydy jest dla Stanisława (biskupa) na pewnym etapie zarówno mitem, jak i szansą na polityczne profity, dla Łukasza staje się przyczynkiem do snucia pewnej koncepcji teologicznej, dla Eryka natomiast początkowo jest mitologią prywatną, później najboleśniejszą rzeczywistością. W *Tylko Beatrycze* zaś Atlantyda pojawia się w aspekcie teologiczno-ekonomicznej koncepcji czyśćca, rozważanej akurat w dwóch zwalczających się obozach teologów.

Jeżeli chodzi o powinowactwa I i II tomu cyklu, sprawa – pomimo że tu rzeczywiście mamy do czynienia z kilkoma tomami opatrzonymi wspólnym tytułem – nie przedstawia się zasadniczo inaczej. W *Robotnikach wezwanych o jedenastej* powstaje pewien tekst – przez postaci zwany „Dziennikiem podróży ku śmierci” Łukasza, biskupa nowogrodzkiego. Jest to jeden jedyny element spajający te dwie powieści, przy czym – na co trzeba położyć nacisk – postaci tomu II odczytują ten dziennik zupełnie inaczej niż postaci tomu I, a mianowicie odczytują go po prostu z punktu widzenia własnej, piętnastoi szesnastowiecznej historyczności, która całkowicie zamyka drogę do jakiegś naturalnej ponadhistorycznej wspólnoty.

Warto zaznaczyć, że już w obrębie I tomu cyklu Eryk, czytający dziennik, po niemal stu latach od jego powstania nie będzie w stanie pojąć chazarskości autora, ponieważ chazarskość zniknęła z widowni dziejów i jako pewien konstrukt kulturowy stała się nie do zrozumie-

nia. Tak samo będą na ten problem reagowały postaci tomu II, gdy zapoznają się z dziennikiem.

Kolejnym problemem poruszonym przez Czermińską jest kwestia czasu powieściowego. Ze względu na powyższe założenia o konieczności całościowego rozpatrywania dorobku powieściowego Parnickiego, stwierdzi ona, że skoro powieści te są skonstruowane na zasadzie powtarzalności, to wypełniać je musi czas mityczny czy raczej – ten cały wielki tekst powstały po scaleniu części musi być wypełniony czasem mitycznym, a zatem cyklicznym, takim, który uprawomocnia powtarzalność historii.

Badaczka pisze: „[...] czas [dzieła Parnickiego] jest czasem aktu kreacji, czasem mitycznym”⁴. Tyle że historia się u Parnickiego nigdy nie powtarza, a czas jest po prostu jednym czasem historii, czasem kalendarzy. Oczywiście, może się zdarzyć, iż spotykają się dwie postaci posługujące się różnymi kalendarzami, ale to nie zmienia sytuacji. Gdy w powieści, którą będziemy tu omawiać, rozmawiają Stanisław i Łukasz, pierwszy posługuje się kalendarzem juliańskim, drugi – żydowskim, ale nie oznacza to, że nie mogą się porozumieć co do dokładnego usytuowania konkretnego zdarzenia w określonym czasie. W powieści znajdziemy taki dialog: *Więc słuchaj [mówi Stanisław do Łukasza]: jeśli istotnie Tymoteusz to pisał [...] do Teodory w roku... / – ...sześć tysięcy czterdziestym... [przerywa mu Łukasz] / – Mów, skoro łaciny uczysz się, w tysiąc trzydziestym drugim...*⁵. Czym innym bowiem jest mitotwórcza działalność postaci wynika z jakichś jej partykularnych i jednostkowych uwikłań, czym innym zaś czas zdarzeń powieściowych. Każda postać podlega przede wszystkim czasowi rzeczywistemu historii, ten czas jest jej nieprzekraczalnym uwikłaniem i ograniczeniem.

Naszkicowane powyżej założenia sterują lekturą Czermińskiej. Są one nie do utrzymania, choć w zakresie szczegółowych analiz badaczka czyni czasem bardzo ciekawe spostrzeżenia, jednak przyjęta przez nią ogromna perspektywa całości dzieła Parnickiego powo-

4 M. CZERMIŃSKA: *Czas w powieściach...*, s. 131.

5 T. PARNICKI: *Nowa baśń*. Cz. 1: *Robotnicy wezwani o jedenastej*. Warszawa 1962, s. 175.

Dalsze cytaty z powieści w całej pracy lokalizuję cyfrą arabską w nawiasie po cytacie.

duje, że analiz na poziomie mikro, na poziomie zdarzenia, jednej wypowiedzi znajdziemy w jej książce niezmiernie mało. Przykładowo, interpretacja motywu Eryka, zamkniętego w klatce i tuczonego robakami przez Cziczimeków – zdobywców Tollanu, jest interesująca, ale właśnie dzięki temu, że badaczka na moment porzuca na jej potrzeby powzięte całościowe założenia, a to pozwala jej skupić się na niewielkim, choć – jak zwykle u Parnickiego – bardzo złożonym szczególe.

Z odmienną sytuacją mamy do czynienia w książce Chojnackiego. Badacz ten dokonuje czasem bardzo interesujących wstępnych rozpoznaw problemowych, by później zaprzepaścić je w powierzchownej analizie. Oto przykład:

Informacja historyczna o postaci z przeszłości jest zaledwie wizytówką, która powiadamia, że ktoś istniał, że czegoś dokonał. Perspektywa badacza i perspektywa autentycznej postaci historycznej zaledwie się krzyżują, nigdy nie są identyczne. Parnickiemu zależy dlatego na rozszyfrowaniu zagadki, jaką stanowi dla nas człowiek minionych epok, pragnie zrozumieć mechanizmy jego osobowości, przyczyny jej powstania, sposób uzewnętrzniania. Chciałby, aby to, co jest już tylko w najlepszym przypadku słowem, stało się – dzięki literaturze – ciałem istniejącym w słowie i poprzez słowo⁶.

Założenie bardzo trafne, bardzo prawdziwe, niezależnie od tego, jak bardzo opiera się ono wyłącznie na fortunnej lekturze tytułu jednej z powieści Parnickiego (mam tu, oczywiście, na myśli powieść *Słowo i ciało*). Jednak tę fortunność wstępnego rozpoznania zaprzepaszcza badacz w konkretnych analizach, jakby zapominał o swym założeniu wyjściowym. Zaczyna traktować postaci jako reprezentatywne typy, jako aktanty, czasem sprowadza je wyłącznie do schorzeń psychicznych, niekiedy do dewiacji seksualnych: „Ta galeria egocentryków, egoistów, masochistów i sadystów obejmuje postaci rozrzu-

6 A. CHOJNACKI: *Parnicki. W labiryncie historii*. Warszawa 1975, s. 40.

cone w czasie dwudziestu wieków”⁷. Wstępem do tego zacytowanego zdania jest stanowczo zbyt fragmentaryczna analiza między innymi dwóch postaci z powieści, którą będziemy tu analizować, a mianowicie Arona i Stanisława. Nic w niej nie skłania do twierdzenia, że któryś z nich wpisuje się w ową „galerię potworów”, podczas gdy z punktu widzenia badacza także oni dwaj pozwolili mu ją sformułować. Nie może być na to zgody. Postać u Parnickiego rzeczywiście jest niezmiernie skomplikowana, złożona i na złożoność wydana. Jeśli się to stwierdzi, trzeba to potem wykazać w drobiazgowych analizach – nie ma innego sposobu na zbliżenie się do tej twórczości.

Czas jednak na bohaterów pozytywnych. Wydaje się bowiem, że z pierwszego okresu badawczych zainteresowań Parnickim na ciepłe słowa zasługuje pierwsza w ogóle książka poświęcona pisarzowi: Teresy Cieślukowskiej *Pisarstwo Teodora Parnickiego*⁸. Autorka zachowała w niej możliwie największą skromność i pokorę wobec przedmiotu badań, miała zresztą do dyspozycji materiał jeszcze nie tak obszerny, jak jej następcy. Zapewne więc książka ta pozostaje jednak, przy pewnej powierzchowności sądów, dość blisko litery powieści Parnickiego.

O pisarstwie Parnickiego autor tych słów najwięcej nauczył się od Stefana Szymbutki. Sformułowane przezeń warunki porozumienia z tekstem powieści pisarza⁹, jak również nieuchronny zwrot od fali uogólniających syntez w stronę badań szczegółowych poszczególnych powieści są punktem wyjścia niniejszych rozważań oraz istotnym historycznoliterackim horyzontem dialogu i polemiki.

Zaproszenie do tematu

Teodor Parnicki wymienia Romana Ingardena jako jednego ze swoich intelektualnych mistrzów. Wyznaje to jednak w tekście powieści, w jednym ze swych późniejszych utworów: *Muzie dalekich podróży* (1970), a wyznanie to opatruje znakiem wątpliwości. Tożsamości Majstra

7 Ibidem, s. 53.

8 Por. T. CIEŚLIKOWSKA: *Pisarstwo Teodora Parnickiego*. Warszawa 1965.

9 Por. S. SZYMBUTKO: *Zrozumieć Parnickiego*. Katowice 1992. Wszystkie cytaty z tej pracy lokalizuję, podając numer strony po skrócie ZP w nawiasie.

(z pewnym ograniczeniem i wahaniem można powiedzieć, że Majster to Parnicki, a w każdym razie jakaś część jego jaźni) nie sposób odnaleźć, „pytając” o nią któregokolwiek z jego intelektualnych nauczycieli: *Majster przez duże EM po prostu nie życzy sobie, ażeby nam też została objawiona jego tożsamość*¹⁰.

Cała więc dalsza praca interpretacyjna, która będzie zmierzać do ukazania w pierwszej kolejności Ingardenowskich, potem zaś, w szerszym zakresie, fenomenologicznych inspiracji autora *Nowej baśni*, a także – być może – do określenia Parnickiego jako fenomenologa (cokolwiek by to miało dziś znaczyć), również opatrzona jest znakiem wątpienia. Wątpienia w to, czy zdołam wypowiedzieć słowo prawdy o istocie nie samego Parnickiego, takich roszczeń nie zgłaszam, ale o istocie czegoś dużo skromniejszego: I tomu cyklu powieściowego *Nowa baśń*, który nosi tytuł *Robotnicy wezwani o jedenastej*. Będzie więc to praca – powiedziałaby Parnicki – „pod palcem zagrożenia”¹¹, co zbliży ją, przynajmniej w intuicyjnym oglądzie, do nieredukowalnego składnika tego pisarstwa, które rozwija się jakby właśnie ze świadomością nieustannego zagrożenia i przeczuciem niebezpieczeństw czyhających na pisarza, a w związku z tym także na czytelnika.

Wy tłumaczyć się z takiego wyboru nie jest łatwo. Dlaczego Ingarden i tradycja fenomenologiczna? Dlaczego tylko *Robotnicy wezwani o jedenastej* zamiast przynajmniej całego sześciotomowego cyklu *Nowa baśń* lub jakiegoś większego fragmentu twórczości Teodora Parnickiego?

Na te pytania można, oczywiście, odpowiedzieć, powołując się na prawo udzielane przez ponowoczesne literaturoznawstwo do arbitralnego wyboru sposobu lektury (brak metajęzyka wywołuje egalityzację literaturoznawczych kodów lektury zgodnie z niepisaną zasadą: rób, jak chcesz, byle nie przeszkadzać innym, i szanuj prawo

10 T. PARNICKI: *Muza dalekich podróży*. Warszawa 1983, s. 557–558. Parnicki pisze tam: *Marksa o radę prosiliśmy, i Hegla, i Nietzschego, Orygenesza rzezańca i nowochrześcijańskiego. Izajaszy aż dwu, a doktorów nawet więcej jeszcze (Zygmunt Freud z Wiednia, arcybiskup metropolita Anzelm z Canterbury, Whitehead z Harvard w Bostonie, a ze Lwowa Twardowski i Ingarden) [...]*.

11 Parafrazuję w tym miejscu tytuł VI części cyklu: *Palec zagrożenia*.

innych do tego samego) oraz do krojenia materiału badawczego według analitycznych i interpretacyjnych potrzeb (zgodnie z zasadą, że tekst cięty i szarpany nie krwawi, nie protestuje). Takie wyjaśnienie nie zadowala, choć poparte kilkoma autorytetami, o które nietrudno, aparatem przypisów, uczoną mową i utyskiwaniem na ogólne zamieszanie w humanistyce może by i wystarczyć. Można tu jeszcze dodać wyjaśnienie leniwego outsidera. Jest ono pierwszą i zapewne nie ostatnią próbą wyprzedzenia zarzutów, które można tej pracy postawić już na poziomie zamierzeń. W przyjętym tu ujęciu zaproponowany wybór można wytłumaczyć tak oto: Ingarden jest filozofem raczej zapomnianym, a fenomenologia nie zajmuje szczególnie uprzywilejowanej pozycji wśród dyskursów filozoficznych, co daje badaczowi sięgającemu po taką aparaturę komfort pozornego dystansu wobec oszalałej i niepewnej siebie współczesności oraz pozwala mu się cieszyć z tego, iż rzekomo nie bierze udziału w „wyścigu szczurów”, szczególnie że nie wiadomo dokładnie, dokąd one biegną. Takiego badacza cieszy fakt, że biegną one w stadzie, podczas gdy on – osobny i wyniosły – ma odwagę pochylić się nad starociami. Wyposażony w odkurzone instrumentarium sięga po *Robotników wezwanych o jedenastej*, powieść w dojrzałym dorobku Parnickiego najcieńszą. Bilans jest dodatni: leniwy outsider nie zmęczy się uciążliwym wyścigiem, a na dodatek oszczędzi sobie kilkuset stron lektury, na które byłby skazany, wybierając – by wymienić dla przykładu – powieści *Muzę dalekich podróży* lub *Palec zagrożenia* (każda ponad sześćset stron drobnym drukiem).

Rzeczy mają się jednak inaczej. Każda praca, więc także i ta, ma swą prehistorię i o tej prehistorii parę słów wypada teraz powiedzieć. *Nowa baśń* nie jest takim cyklem powieściowym, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Od takich tytułów, jak np. *Trylogia* Sienkiewicza, *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta czy *Człowiek bez właściwości* Musila, różni ją wysoki stopień samodzielności poszczególnych tomów oraz różnorodność problematyki poruszanej w każdym z nich. Tomy te nie mogłyby jednak z pełnym powodzeniem funkcjonować jako osobne powieści, w taki sposób funkcjonować może tylko tom I. Można – w skrócie – stwierdzić, że łączy je to samo, co je dzieli: historia.

Przykładowo, w obrębie I tomu, którego akcja toczy się na przełomie XI i XII wieku, postaci – o czym była już mowa – sporządzają kilka fingowanych tekstów. Teksty te wyrastają z historii tego okresu i z jednostkowej historyczności ich twórców. Przechowane w ukryciu (dokładne okoliczności nie są w tej chwili istotne, warto jednak wspomnieć, że teksty te wydobyte zostają – dosłownie – ze studni. Ze studni czasu także – chciałoby się powiedzieć) trafiają w ręce postaci tomu II (*Czas siania i czas zbierania*), którego akcja zaczyna się w wieku XV. Nowi czytelnicy odczytują je z punktu widzenia zastanego przez siebie świata oraz własnej, innej niż jedenastowieczna, historyczności. To są już po prostu inne teksty, choć słowo w słowo identyczne¹². *Nowa baśń* stanowi – na jednym z poziomów – taki właśnie, obrastający komentarzami i dodatkami, zbiór tekstów. Jest historią tekstów uwikłanych w ludzką dziejowość i to owa dziejowość w największym stopniu decyduje o odrębności poszczególnych tomów.

Początkowym moim zamierzeniem miało być opanowanie w jej ramach tej różnorodności, czyli opis całego cyklu powieściowego. Prędko jednak – z przyczyn już sygnalizowanych – okazało się to niemożliwe; ani umysł badacza, ani standardowa wielkość rozprawy doktorskiej tak rozległej problematyki nie pomieszczą. Ograniczenie tematyki niniejszej pracy wynika więc w dużej mierze z rozpoznania własnej porażki.

Ostatecznie w przekonaniu o konieczności chronologicznego śledzenia *Nowej baśni* trzeba było podjąć decyzję o ograniczeniu badawczych zamierzeń do monograficznego ujęcia tomu I *Robotnicy wezwani o jedenastej*. Chronologia całego dzieła Parnickiego również przemawia za takim wyborem. Wskazywano już, że parnickologia ma w swym dorobku próby syntez tego pisarstwa, brak jej jednak monografii poszczególnych utworów (ZP, s. 7). Od tej konstatacji minęło

12 Opisywana sytuacja w jakimś sensie jest analogiczna do tej, przedstawionej przez Borgesa w opowiadaniu *Pierre Menard autor Don Kichota*. Chodzi mi szczególnie o scenę, w której fingowany biograf Menarda analizuje fragment *Don Kichota* napisany przez Cervantesa, a potem ten sam fragment napisany przez Menarda. Okazuje się, że fragmenty te – choć słowo w słowo identyczne – głęboko się od siebie różnią pod względem swego znaczenia, stylu, przesłania.

już trochę czasu i tekstów przybyło, ale *Nowa baśń* pozostaje wciąż zbiorem nietkniętym, a z punktu widzenia chronologii dzieła właśnie na ten cykl powinna przyjść teraz kolej¹³.

Nie oznacza to, że – moim zdaniem – w twórczości autora *Słowa i ciała* da się wykryć wyraźną ewolucję jakichś zjawisk, która przebiegałaby z tomu na tom. Może nawet ewolucja w obrębie tego potężnego dzieła nie jest do wykrycia i amatorzy idei postępu będą ostatecznie rozczarowani. Na razie jednak stwierdzić tego nie sposób, a wiele powieści pozostaje, jak dotąd, poza obszarem dokładniejszej, a nawet jakiegokolwiek, interpretacji. Jeżeli chodzi o *Nową baśń*, to najprawdopodobniej wraz z pojawieniem się autora w tekście powieści na równi z literackimi postaciami, co następuje w tomie V (*Wylęgarnie dziwów*), coś nowego się w tym dziele pojawia, coś nowego się zaczyna. Jest to strategia, którą z dużą konsekwencją będzie Parnicki stosował już do końca swej pisarskiej drogi. Dopóki jednak – przynajmniej tak sędzę – nie powstaną szczegółowe analizy wcześniejszych tomów cyklu, dopóty sens tej zmiany i jej konsekwencje pozostaną dla nas niejasne.

Parnicki stworzył cykl tak dalece różnorodny, wielotematowy i wielowątkowy, że pojęcie wielowątkowości mogłoby dla jego twórcy stanowić obrazę. Mamy do czynienia z sześcioma kompletnie różnymi powieściami, które jednak w przedziwny sposób, na wielu poziomach, na zasadzie trudno uchwytnych osmoz, łączą się ze sobą. Chociażby kwestia takiego, a nie innego, wspólnego tytułu jest zagadką, wprowadzającą takie problemy, jakich dziś nawet nie potrafimy przewidzieć.

13 Szymutko – poza cytowaną już książką, będącą monografią *Końca „Zgody narodów”* (1955) – opublikował kilka szkiców o *Słowie i ciele* (1959), które zapewne złożył się na przyszłą książkę; Ryszard Kosiółek opublikował pracę poświęconą trylogii *Twarz księżyc* (tomy I i II – 1961, tom III – 1967), a wcześniej tekst o powieści *I u moźnych dziwny* (1965); powieści *Tylko Beatrycze* (1962) kilka tekstów poświęcił – oprócz mnie – Ireneusz Gielata. *Nowa baśń*, która zaczęła ukazywać się w roku 1962 (tom I), a której kolejne tomy wychodziły właściwie co roku przez następne lata (do 1970), znajduje się w samym centrum mniej lub bardziej obficie komentowanych tekstów Parnickiego, sama pozostając poza orbitą krytycznych zainteresowań. Podjęta przeze mnie próba opisu tomu I może stanowić początek usuwania tego braku.

Filozofia Romana Ingardena, a w szczególności jego filozofia literatury wraz z tradycją fenomenologiczną wydają się kontekstem istotnym dla twórczości Parnickiego. Odgrywają tu rolę nie tylko wspomniana wyżej deklaracja samego autora zaczerpnięta z *Muzy dalekich podróży*, ale także kontekst biograficzny. W roku 1928 Parnicki wstąpił na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie¹⁴, gdzie od wiosny roku 1927 Ingarden prowadził wykłady na temat swojej koncepcji dzieła literackiego¹⁵. Jest więc bardzo prawdopodobne, że młody pisarz zetknął się z tą koncepcją jeszcze w trakcie jej powstawania w życiu wykładowym, chociaż w jego listach z tego okresu, adresowanych do Konstantego Symonolewicza, opiekuna z charbińskiego okresu, brak na ten temat wzmianki¹⁶.

Do takich „zewnętrznych”, deklaracyjnych przesłanek, dochodzą jeszcze i inne. Dwaj interpretatorzy Parnickiego zwracają uwagę na Ingardenowskie inspiracje niektórych formalnych rozwiązań w jego prozie. Stefan Szymutko stwierdza:

W zakresie estetyki literackiej Parnicki, znający doskonale najnowsze propozycje, idzie śladami Ingardena: dzieło literackie to byt intencjonalny, rekonstruowany i konkretyzowany przez odbiorcę – ostatecznie przedmiot kontemplacji. Wpływ koncepcji Ingardena można było wskazać już wcześniej. Synekdochiczność tekstu utworu (konieczność rozwinięcia go w tekst historii) jest, najprawdopodobniej, również pochodną filozoficznej tezy o schematyczności dzieła literackiego¹⁷.

(ZP, s. 121)

14 Por. M. CZERMIŃSKA: *Teodor Parnicki*. Warszawa 1974, s. 13 i 208.

15 R. INGARDEN: *O dziele literackim*. Przeł. M. TUROWICZ. Warszawa 1960, s. 397. Dalej cytaty z tej pracy lokalizuję bezpośrednio w tekście, podając numer strony po skrócie ODL.

16 Informacji tej udzielił mi Tomasz Markiewka, który opracowuje ten zbiór korespondencji Parnickiego. Dziękuję mu za to.

17 W przytoczonej wypowiedzi Szymutko posługuje się wcześniej przez siebie wprowadzoną opozycją: tekst utworu – tekst historii, którą tak wyjaśnia: „Przeczytać [powieść Parnickiego] oznacza poradzić sobie z niewystarczalnością tekstu utworu”; „Tekst utworu i tekst historii różnią głównie pod względem wielkości. Obszar dzieła jest

Łatwość koniunkcji pojęć intencjonalności i konkretyzacji dzieła literackiego może budzić niepokój, chociaż zapewne wynikała ona z potrzeby skrótowego mówienia o sprawach dla wyводу Szymutki mniej istotnych. Tak czy owak, trudno się nie zgodzić z trafnością przywołanego rozpoznania Ingardenowskich śladów.

Inny badacz, Ryszard Koziołek, znajduje u Parnickiego wpływ Ingardena w odmiennym zakresie. W książce *Zdobyc historyię* przywołuje on myśl Ingardena dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy analizuje różnicę między przedstawieniem wyglądnw przedmiotów a przedstawieniem przedmiotów w dziele literackim. Rozróżnienie Ingardena jest dla Koziołka przydatne, kiedy dowodzi on, że w analizowanej przezeń trylogii (*Twarz księżycy*) „uderza troska autora, aby nie pozwolić wypowiedzi opisowej uwolnić się od postaci i sytuacji, które powołały obecność przedmiotu. Przedmiot ukazany w powieści jest najczęściej prezentowany w wypowiedzi konkretnej postaci i przedstawiony ze względu na nią; wskazuje zawsze na ciało, któremu staje na drodze, bądź wobec którego jest na podporędnym”¹⁸.

Dotychczasowe moje doświadczenia zdobyte podczas lektur powieści autora *Srebrnych orłów* wskazują na większą w tym względnw subtelność pisarza. On bowiem odróżnia (być może właśnie za Ingardenem?) przedstawienie wyglądu przedmiotu od przedstawienia przedmiotu i wie, że przedstawić można i wyglądnw, i przedmiot, co za każdym razem ma odmienne skutki, szczególnie że wchodzą tu jeszcze w grę dodatkowe czynniki: kontekst przedstawienia, powód – najczęściej polityczny – przedstawienia, sposób i stopień mediatyzacji

zamknięty: niczego nie można do niego dopisać. Tekst historii przeciwnie – nie ma granic”; „Owa gra między utworem a historią, aktywizująca wyobraźnię, pozwala sformułować jasno główną zasadę lektury powieści. [...] dzieła Parnickiego, podobnie jak metafory, nie czytamy, lecz interpretujemy. Pierwszą fazą interpretacji jest odebranie znaku w powieści jako znaku pewnej rzeczywistości dziejowej, z której możemy jednak zdać sprawę tylko za pomocą języka. Historia może być jedynie horyzontem wypowiedzi”; „Tekst historii znajduje się między światem zdarzeń i osób a utworem, bliżej jednak tego drugiego” (ZP, s. 36). Zapamiętajmy tę definicję, będzie ona bowiem w tej pracy nie raz jeszcze w użyciu.

18 R. KOZIOŁEK: *Zdobyc historyię. Problem przedstawienia w „Twarzy księżycy” Teodora Parnickiego*. Katowice 1999, s. 86–87.

cji (pamięć, pośrednictwo fingowanego tekstu, np. listu, naoczność, praca snu itd.).

Drugi raz Koziółek wspomina Ingardena, gdy zajmuje się zasadniczym rozróżnieniem zawieszonej i „odwieszonej” asercji *quasi*-sądów i sądów *sensu stricto* w literackich działach historycznych i w historiografii naukowej. „Parnicki – zdaniem Koziółka – nie zachowuje ostrości rozróżnienia Ingardena. Byt historii nie odpowiada ani jednemu, ani drugiemu intencjom”¹⁹. Ingarden istotnie wprowadza takie rozróżnienie i w zasadzie trzyma się go w całej swej pracy, jest to wszak jeden z filarów jego koncepcji i to nie tylko w orbicie historycznych dzieł literackich²⁰, lecz literatury w ogóle.

Komplikację wprowadza pewien przypis, w którym filozof stwierdza: „Jeżeli zważymy, że [...] każde dzieło naukowe jest szczególnego rodzaju «dziełem literackim», to ma to bardzo ważne konsekwencje dla teorii nauki” (ODL, s. 322). Ten bardzo tajemniczy przypis wygląda jak zapowiedź dekonstrukcjonistycznego raju. Jeśli całkiem serio potraktować cytowany wcześniej fragment z *Muzy dalekich podróży*, to może się okazać, że takim dekonstrukcjonistą teorii Ingardena jest autor *Nowej baśni*²¹. Byłby to powód, dla którego na temat „tożsamości Majstra” niczego „nie potrafią” powiedzieć przywołani tam mistrzowie intelektualni Parnickiego, a wśród nich Roman Ingarden. Twórcze rozwinięcie myśli mistrza, dokonane na dodatek w wypowiedziach literackich, a nie dyskursywnych, czyni Parnickiego „Majstrem” oryginalnym, ale nie anuluje jednocześnie zaciągniętego u Ingardena długu.

Taki też jest zamiar tej pracy. Chodzi o ukazanie twórczego rozwinięcia rozpoznania fenomenologii w tekście Parnickiego. Chodzi o to, jak pisarz „uruchomił” i zoperacjonizował myślenie fenomenologiczne

19 Ibidem, s. 103.

20 Posługuję się tu i w dalszej części tekstu tą kategorią Ingardena, która znaczy według niego po prostu tekst o tematyce historycznej bez kwalifikacji rodzajowej czy gatunkowej. Nie określa natomiast tekstu dawnego.

21 Oczywiście, pod warunkiem, że potraktuje się dekonstrukcję jako strategię dysjunktywną, a nie destruktywną, co jest już, na szczęście, normalną praktyką; por. np. M.P. MARKOWSKI: *Efekt inskrypcji. Jacques Derrida i literatura*. Bydgoszcz 1997, *passim*.

w immanentnej poetyce pisania. Można zatem powiedzieć, że fenomenologia potraktowana jest tutaj jako żywy element literackiego światopoglądu Parnickiego, jaki można próbować wyczytać z jego powieści, a nie jako powieści tych interpretacyjny ekwiwalent. Wydaje się, że dla Parnickiego zasadnicze problemy fenomenologii pozostały obecne, żywe, inspirujące i – co być może najważniejsze – nierozstrzygnięte.

Fenomenologia w tej pracy nie będzie wyjaśniającym korelatem, epitekstem, metatekstem czy językiem, w którym wypowiedziana zostanie problematyka tekstu pisarza. Nie posłuży więc za język prostej translacji literatury na dyskurs akademicki. Czym zatem będzie? Jak pozytywnie określić jej obecność?

Odpowiedź wypada chyba zacząć od wyrażenia zasadniczego przekonania o tym, że fenomenologiczne dziedzictwo pierwszej połowy naszego stulecia do dziś nie zostało ostatecznie przekroczone. Martin Heidegger, utyskujący na „szachrajstwa i frazesy – zwłaszcza fenomenologiczne”²², do końca pozostał fenomenologiem bycia albo: w swym (przytomnym) byciu doświadczał trudu pytań fenomenologii. Roland Barthes, ten może największy poeta literaturoznawstwa, pisał swą prywatną fenomenologię czytania, najwyraźniej może w *Przyjemności tekstu* i w *S/Z*. Jacques Derrida swoje myślenie rozpoczął od fenomenologii i chyba nigdy nie przestał być fenomenologiem języka, mowy i pisma. Do tego „słabo obecny” w rodzimej myśli (zarówno filozoficznej, jak i literaturoznawczej) Roman Ingarden, przez lata dopisujący swój *Spór o istnienie świata* do *Medytacji kartezjańskich* Edmunda Husserla.

Prawdopodobnie (jest nadzieja, że w trakcie pracy uda się tego dowieść) Teodor Parnicki w swych powieściach poszedł tą samą ścieżką, krążył wokół podstawowych pytań fenomenologii, pytań zasadniczych, fundamentalnych – o byt, o świat naszego życia, o rzeczywistość, o doświadczenie świata i (wy)mówienie świata, o stosunek między słowem, pojęciem i rzeczą, o możliwość i możność bycia wobec

22 M. HEIDEGGER: *Nietzsche*. Warszawa 1998, t. 1, s. XII. Cytuję wyimek z listu Martina Heideggera do Karla Jaspersa, cytowanego przez C. WODZIŃSKIEGO, autora wstępu.

tego świata w przytomności, o sposób, w jaki świat się przejawia. Być może – trzeba będzie to osobno przemyśleć – wybór gatunku, powieści historycznej, powstał właśnie z fenomenologicznego, by tak powiedzieć, natchnienia, przynajmniej wiele na to wskazuje.

Może się więc okazać, że powieść Parnickiego nie kwalifikuje się jako powieść historyczna, lecz jako powieść dziejowa lub dziejowego bycia. Możliwe jest także i to, że głęboka niepopularność Parnickiego, fakt, iż jest on pisarzem jakby nie na nasze czasy, bierze się z tego samego źródła: z podjęcia problemów najbardziej zasadniczych i najtrudniejszych, które zapewne najpełniej w naszym stuleciu dyskursywnie sformułowała fenomenologia. Krok „poza”, który Parnicki zapewne wykonuje, polega chyba na tym, że dostrzegł on konieczność rozważania owych pytań w ich dziejowym zjawieniu, co prowadzi do fenomenologicznej, więc również ontologicznej rewizji historyczności w polu literatury.

Zacznijmy od tego, co najlepiej widoczne. Ingarden, analizując wartość znaczenia nazwy, wyróżnia między innymi moment egzystencjalnej charakterystyki oraz moment – należy chyba rozumieć: nie zawsze występujący – egzystencjalnej pozycji. Wcześniej wyróżnia w nazwie: intencjonalny wskaźnik kierunkowy, treść materialną i treść formalną (ODL, s. 100). Akcentuje dalej, że składniki te nie występują w nazwie konglomeratywnie, lecz systemowo albo paradygmatycznie: „Znaczenie nazwy jest [...] zwartą całością, w której te wymienione elementy można tylko wyróżnić. Zwartość [...] tym się zaznacza, że wyróżnione [...] składniki są nie tylko ściśle ze sobą powiązane, lecz nadto w wieloraki sposób od siebie wzajemnie zależne” (ODL, s. 101). Dalej tłumaczy trzy pierwsze składniki, posługując się przy tym „prostymi” przykładami, które na ogół w takich sytuacjach się przywołuje (stół, barwy, trójkąt). Gdy natomiast przechodzi do omawiania obu „egzystencjalnych momentów”, wówczas opiera się na przykładach nieoczekiwanych. Pojawiają się oto Atlantyda i Hamlet. Filozof stwierdza:

Należy [...] odróżnić moment „egzystencjalnej charakteryzacji” od momentu „egzystencjalnej pozycji”. W pierwszym

chodzi jedynie o to, jak coś istnieje o ile w ogóle istnieje. Natomiast w drugim chodzi o to, że coś faktycznie (tak lub inaczej) istnieje. [...] Jeżeli [...] ktoś mówi o Atlantydzie, to – w obecnym stanie wiedzy – w znaczeniu tej nazwy występuje moment charakteryzacji egzystencjalnej (określający ją jako coś „realnego”), ale ponieważ nie ma żadnej pewności co do tego, czy Atlantyda kiedykolwiek naprawdę istniała, więc w nazwie jej brak momentu pozycji egzystencjalnej. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że podobnie przedstawia się rzecz w wypadku nazwy „Hamlet” (jako znanej postaci dramatu Szekspirowskiego). Nazwa ta wyznacza pewien przedmiot, który *realiter* nigdy nie istniał, który jednakże według intencji tekstu wspomnianego dramatu, gdyby istniał kiedykolwiek, należałby do przedmiotów, którym przysługuje egzystencjalny *modus*: „rzeczywistość” (*realitas*).

(ODL, s. 114–115)

Hamlet i Atlantyda – nazwy wypowiedziane przez Ingardena jednym tchem – pojawiają się w I tomie *Nowej baśni* i w powieści Parnickiego odgrywają istotną rolę. Atlantyda, zwana też w powieści Przeciwnością, Toltecją, Winlandią, Białą Irlandią, czyli prekolumbijska Ameryka, jest zasadniczym i jednocześnie najdziwniejszym elementem świata powieści. Hamlet wypełnia mniej miejsca w tekście utworu, pojawia się zawsze jako tajemnicza postać z odległej przeszłości (niecałe 200 lat dzieli go od czasu powieściowych zdarzeń), w przypomnieniu, relacji, czyimś uroszczaniu, nawet w śnie i w stanach obłądki, dla nas jest jednak nie mniej interesujący od Atlantydy i jako pierwszy stanie się bohaterem tych rozważań.

Za tym, by analizę rozpocząć od problemu Hamleta, pozostawiając Atlantyde na czas późniejszy, przemawia dodatkowo to, że Hamlet w powieści jest postacią czasowo odległą, elementem skomplikowanej przedakcji, Atlantyda natomiast stanowi swoisty punkt odniesienia, punkt docelowy – nieznany i mglisty – wędrówki i żeglugi, staje się obiektem przewidywań i marzeń, niezmiernie trudnym do opisanego konglomeratem mitów i rzeczywistości, podległym

zresztą w ostatecznym rachunku historii, czyli zmienności i śmierci. Pewne doświadczenia wyniesione z omówienia kwestii Hamleta mogą się później, przy okazji rozważań nad problemem Atlantydy, okazać użyteczne. Tym bardziej że opisując problem Hamleta w powieści autora *Tylko Beatrycze*, wypadnie przywołać cały szereg rozległych wątków, innymi słowy: wzbogacić trzeba będzie następny rozdział o obszerne elementy streszczenia powieści, bez których – czego już dowodzono (por. ZP, s. 36 i nast.) – interpretacja któregośkolwiek z powieściowych motywów, chociażby najdrobniejszego, okazuje się po prostu jałowa.

Tak jest właśnie z motywem Hamleta. W tekście zajmuje mało miejsca, łącznie nie więcej niż kilka stron, parę wzmianek rozsianych po całej powieści. W tekście historii jednak ma znaczenie równie istotne, jak najrozleglejsze zasadnicze wątki, dodatkowo sprzężony jest z nimi całą siecią dość skomplikowanych powiązań, przebiegających na różnych poziomach komunikatu. Jeżeli więc nie podejmie się próby ujęcia go w przestrzeni owej komplikacji, pozostanie on niemy, niejasny i równie nieefektywny, co nieefektywny.

Mimo że dalszy wywód przez dłuższy czas ukaże coś innego: nieefektywną komplikację, nudne streszczenie, to jednak – moim zdaniem – obyć się bez tej złożoności nie można. Parnicki jest bowiem pisarzem złożoności dziejów, permanentnej i nieprzekraczalnej komplikacji. Spróbuję dalej dowieść, że wątek Hamleta – jak zresztą i inne, znacznie obszerniejsze wątki – paradoksalnie odśłania swą literacką efektywność dopiero w złożoności i poprzez złożoność. Bycie i dziejowość są zawsze „ponad siły” skomplikowane, a literatura, chociaż na ogół to czyni, nie powinna, przynajmniej według Parnickiego, złożonego czynić prostym ani nawet prostszym.

Hamlet i inni

(Od powieści historycznej do powieści dziejowej)

Hamlet Duńczyk – otwarcie

Jedno jest pewne: z punktu widzenia historii pojawienie się Hamleta w powieści historycznej, która obejmuje okres od roku 1016 (s. 118¹) do roku 1124 (s. 245), jest zjawieniem niejako przedtekstowym, poprzedza źródło pisane, kronikę Saxo Gramatyka, która powstała na przełomie XII i XIII wieku². Poprzedza też, oczywiście, wszystkie inne teksty o Hamlecie, późniejsze wobec wspomnianej kroniki, z *Hamletem* Szekspira na czele.

Większość powieściowych wzmianek na temat Hamleta datowana jest na rok 1017 (s. 82) i rok 1059 (s. 9 i wiele innych; sprawa umieszczenia w czasie zdarzeń przedstawionych bezpośrednio w trzech pierwszych rozdziałach powieści nie nastręcza trudności, te pojawiają się wtedy, kiedy próbujemy wyznaczyć dokładny czas dziania się zdarzeń, o których w rozdziałach tych jedynie mówi się lub rozmyśla). Biskup Eryk, gdy w 1124 roku wspomina Hamleta, czyni to na skutek lektury dziennika Łukasza Żydzięty (tzw. „Dziennika podróży ku śmierci” – Łukasz napisał ten tekst w 1059 roku).

Historyczność Hamleta, o jaką chodzi w tej powieści, jest z zamierzenia historycznością „przedźródłową” i przedhistoriograficzną, przede wszystkim jednak przedliteracką. Parnickiego interesuje moment, w którym Hamlet Duńczyk nie stał się jeszcze ani zapisanym i przechowanym przez źródło imieniem własnym, ani – w dalszej kolejności – postacią literacką. Chociaż zapewne zarówno dzieło Saxo Gramatyka, jak i inne teksty o Hamlecie, a zwłaszcza arcydzieło

1 W nawiasach wskazuję strony powieści, na których pojawiają się oznaki czasu.

2 Por. S. HELSZTYŃSKI: *Wstęp*. W: W. SZEKSPIR: *Hamlet*. Przeł. W. TARNAWSKI. Wrocław 1966, s. III–VII.

Szekspira, stanowią metatekstową ramę powieści Parnickiego, rezygnując z intertekstualnej analizy tego motywu w obawie, że z analizy tego rodzaju niewiele wynikłoby dla zrozumienia istoty wprowadzenia i opracowania tego motywu w *Robotnikach wezwanych o jedenaściej* (do problemu tego będzie jeszcze okazja powrócić).

Można powiedzieć, wyprzedzając i zapowiadając dalszą analizę, że Parnicki wprowadza nie motyw hamletyczny, nie postać Hamleta, ale raczej poszukuje osoby Hamleta, próbując odnaleźć ją w obrębie historyczności, do której dziejowo i egzystencjalnie przynależała oraz w której istniała prymarnie nie jako tekst podlegający różnicującemu przepisowywaniu, ale jako niejednorodne i dziejowo zmienne wspomnienie innego (mam tu na myśli rozróżnienie postać-tekst – postać-osoba; por. ZP, s. 105–119).

Wszystkie postaci u Parnickiego posiadają w oczywisty sposób prymarnie byt tekstowy, historia bowiem udostępnia się nam pod postacią tekstu, nie istnieje jednak ostra ontologiczna różnica między tekstowym sposobem istnienia arcybiskupa Arona a Hamletem³, różnica jest tylko taka, że Aronowi Szekspir nie poświęcił dramatu (kto wie, swoją drogą, co by było, gdyby Szekspir zapoznał się z jakąś przeróbką kronik Galla bądź Kadłubka⁴). Do problemu z oczywistych powodów prymarnej tekstowości powieści historycznej oraz do ruchu przekraczającego tę tekstowość, który granicę między tekstowym i nietekst-

3 Ingarden twierdzi inaczej – o czym była już mowa przy okazji omawiania wywodu Koziółka – choć sam, jak próbowałem pokazać, osłabia ostrość swego rozróżnienia. Do problemu trzeba będzie jeszcze wrócić z racji tego, że Ingarden sposób istnienia przedmiotów w literackim dziele historycznym traktuje bardzo podejrzliwie, czyniąc dzieło tego rodzaju wypadkiem granicznym, swoistym pod względem ontologii przedstawionych w nim przedmiotów.

4 W IV tomie *Nowej baśni*, w *Glinianych dzbanach*, czytelnikiem *Dziennika Łukasza Chazara ku śmierci*, w którym pojawia się Hamlet – niezmiernie smutny młodzieniec w czerni, wędrujący po scenie, ubrany na czarno na tle czerwieni, stanie się autor *Hamleta*. Celowo piszę „autor *Hamleta*” zamiast po prostu Szekspir, ponieważ w powieści tej autorstwo – czy raczej tożsamość – Szekspira zostaje podana w wątpliwość. U Parnickiego autor *Hamleta* docenia inspirującą siłę *Dziennika Łukasza* i niepochlebnie wyraża się o dostępnej sobie przeróbce kroniki Saxo Gramatyka. Problem *Hamleta*, jak również atrybucji dramatu pojawia się także w powieści *I u możliwych dziwny... Powieść z wieku XVII* (1969).

towym czyni nieostrą, opanowując jakby przestrzeń wewnętrzną tej opozycji, wypadnie jeszcze wielokrotnie powracać. Teraz natomiast zajmiemy się prześledzeniem powieściowych miejsc pojawiania się Hamleta w *Robotnikach wezwanych o jedenastej*.

W I tomie *Nowej baśni* problem Hamleta pierwszy raz pojawia się w okolicznościach, które są przedmiotem licznych wątpliwości. Rzecz dzieje się gdzieś na przełomie 1016/1017 roku, w czasie, gdy Aron, jeszcze wówczas opat tyniecki, wraz z Bolesławem Lambertem, bratem Bolesława Chrobrego, okrężną drogą płyną z Brytanii do Polski. Aron na Wyspy Brytyjskie wyprawił się na polecenie Bolesława Chrobrego, jak pamiętamy, wówczas jeszcze księcia.

Misja Arona miała dwa cele. Po pierwsze z rozkazu Bolesława Chrobrego miał przywieźć do Polski jego brata (syna Mieszka I i Ody), też Bolesława, noszącego przydomek Lambert, który, wygnany z księstwa polskiego w wyniku walki o sukcesję po Mieszku, interesom pierwszego króla Polski szkodził za granicą. Opat Aron miał więc Lamberta sprowadzić z powrotem do Polski, gdzie Bolesław Chrobry szykował dla młodszego brata karę za bunt, do której zresztą Aron nie dopuścił. Misja Arona powiodła się. Bolesław Lambert znalazł się w Polsce. Opatowi tynieckiemu dał się sprowadzić na zasadzie ugody i polubownie, w zamian nie tylko za uniknięcie kary (zapewne obawiał się zamachu skrytobójczego na własne życie za granicą), ale również za obietnicę wysokiego stanowiska kościelnego. Drugie zadanie pojawiło się już po przybyciu Arona do Brytanii (gdzie przebywał Bolesław Lambert) i dotyczyło spraw brytyjskich. Król Danii Kanut zwycięsko najechał Anglię i planował, w celu umocnienia swego panowania, zgładzić sieroty (dwóch chłopców) po zmarłym królu Edmundzie Żelaznobokim (Ironsides), którzy to chłopcy byli prawowitymi sukcesorami brytyjskiego tronu. Aron, za namową przyjaciela z lat młodości Eldreda, biskupa w Anglii, stronnika zmarłego króla Edmunda, a przeciwnika Kanuta, zgodził się wywieźć z wyspy brytyjskiej owych chłopców i pożeglować z nimi gdzieś daleko na północ (można się domyślać, że żeglowali, opływając Półwysep Skandynawski od jego zachodniej strony, mijając po lewej stronie Islandię), gdzie miał umówione spotkanie właśnie z Eldredem. Statek uniknął pogoni wysłanej

przez Kanuta dzięki znakom wuja Kanuta, Bolesława Chrobrego, pod którymi płynął (ojciec Kanuta, Swen Widłobrody, poślubił siostrę Bolesława Chrobrego).

W drodze powrotnej z dalekiej północy statek wciąż przystawał *na wyspach niezliczonych podwładnych królowi Kanutowi* (s. 98). Przepłynął jednak niezatrzymywany, ponieważ:

sygnalizowali jarlowie z wysp duńskich nad Tamizę [czyli Kanutowi], wiezie okręt ten nie wojowników, tylko mnichów dwu, z których jeden należy do polskiej rodziny książęcej; jawnie zaś nieszkodliwy jest drugi, Iryjczyk, który, owszem, moc natarczywych pytań stawia Duńczykom; są przecież wszystkie te pytania, mało rzec, mniszo, bo dziecięco wręcz niewinne; dotyczą bez reszty dziejów szaleństwa pozornego, którym miał przed półtora wiekiem syn króla Horwendyla Juta, a wnuk Ruryka, co w Nowogrodzie słowiańskim na stare lata osiadł, Hamlet, tajemnicę zręcznie osłaniać nienawiści do matki i zemsty, jaką potem dosięgnął w rzeczy samej ją, jak drugiego męża jej, przedtem szwagra, a zwał się ów – Feng.

(s. 99)

Cytowana tu pierwsza wzmianka powtarza dokładnie tekst źródła: w kronice Saxo Gramatyka szaleństwo Hamleta istotnie było pozorne, a plan rodzinnej zemsty taki sam, jaki znajdujemy w pytaniach stawianych Duńczykom przez Arona⁵. Już tu jednak można dostrzec strategię Parnickiego. Aron pyta Duńczyków o dzieje pozornego szaleństwa Hamleta – o „podzielność” historii na drobne i coraz drobniejsze elementy: zdarzenia, miesiące, chwile, o czasowość, o działanie się.

Fakt źródłowy ustatycznia historię, wstrzymuje przemijanie, Hamlet udający szaleństwo zjawia się w źródle jakby zatrzymany w kadrze i tym samym pozbawiony własnej czasowości, czasowości swego bycia. Nie istnieje w przeżywanej rzeczywistości absolutne *teraz* zapisu lub, jak w przypadku Arona, *teraz* zasłyszanej (zapewne) informacji

5 Por. S. HELSZTYŃSKI: *Wstęp...*, s. III–IV.

(powieść nie informuje, skąd Aron dowiedział się o zdarzeniach związanych z Hamletem). Aron, pytając o dzieje (pozornego szaleństwa), pyta o szczegóły, dziejowość dziejów rozwija się w szczegółach, a fakt historyczny ma zdolność, być może nieskończonej, podzielności, która warunkowana jest historycznością, zmiennym trwaniem, czasem wypełnionym przez życie.

Historię tę opowiada narrator, tyle tylko, że nie jest to narrator wszechwiedzący. Opowieść o podróży Arona z Bolesławem Lambertem pojawia się w słowie narratora, który znajduje się w centrum orientacji, jakim jest świadomość Łukasza Żydzięty. Narrator w tej powieści w ogóle nie podaje informacji, które przewyższałyby wiedzę którejś z wybranych na centrum orientacji postaci. Nastręcza to kilka wątpliwości: Skąd Łukasz Żydzięta zna dzieje wyprawy i powrotu Arona z Brytanii, tzn. kto i po co mu o tym opowiedział? Dlaczego ta historia Łukasza interesuje?

Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice

W zakończeniu rozdziału I znajdujemy pytanie umierającego Arona skierowane do Stanisława Szczepanowskiego (późniejszego biskupa krakowskiego i świętego Kościoła katolickiego) oraz Łukasza Żydzięty:

Co któryś z was dwu wie o okolicznościach towarzyszących wyświadczeniu przez tynieckiego opata Arona polskiemu rodowi książęcemu największej [...] przysługi, mianowicie o przeobrażeniu przezeń zawziętego wroga Bolesławowego, też Bolesława, brata przyrodniego a wygnańca, w sługę wiernego, więcej jeszcze: w przyjaciela?

To i owo wiedzieli; Stanisław więcej jeszcze aniżeli Łukasz, przy czym z bardzo wiarygodnego źródła, bo od samego Eldreda, wysokiego dostojnika kościelnego w królestwie angielskim.

(s. 79–80)

Od Eldreda (wspomnianego już przyjaciela Arona z lat młodości) dowiedział się Stanisław, od Stanisława – Łukasz. Jak już wiemy, Eldred jest rzeczywiście wiarygodnym informatorem, ponieważ w całej „ak-

cji” brał czynny udział. Dlaczego jednak Stanisław wypytywał Eldreda o Arona? Dlatego że przez wiele lat zbierał o Aronie wszelkie informacje, podejrzewając, że jest on jego biologicznym ojcem.

Tu jednak tkwi pewien szkopuł: należy ustalić, po co Aron w ogóle zadaje obu swym rozmówcom pytanie o dzieje swej wyprawy na Wyspy Brytyjskie. Odpowiedź splata się z podejrzeniami, że Aron jest ojcem Stanisława Szczepanowskiego, i z prawdopodobnymi uwikłaniami historycznymi celtyckiej legendy o Pwylu, Peredurze i Araunie (Aronie!). Parnicki jakby chce „sprawdzić” historyczne podstawy tego, co legendarne, zakładając niejako, że legenda posiada przyczyny swego dziejowego zjawienia, zakorzenione w jakiejś konkretnej historii, że prehistorią, zaczynem legendarnego jest historyczność. Ponieważ jednak nie da się interpretować tekstów Parnickiego w oderwaniu od całego, na ogół skomplikowanego splotu zdarzeń, czyli bez odesłań do tekstu historii, musimy więc, kontynuując wstępne rozpoznania, w dalszym ciągu gromadzić fakty.

Całą historię wypada rozpocząć od roku 1018, czyli od znanej łupieżczej wyprawy Bolesława Chrobrego na Kijów. Jednym z najbliższych doradców Chrobrego był wówczas opat tyński Aron. Po wkroczeniu do Kijowa Chrobry postanowił przypieczętować zdobycie miasta poprzez dokonanie gwałtu na córce księcia kijowskiego Włodzimierza – Przecławie, i zamysł ten wykonał. Wchodził tu zapewne w grę jeszcze jeden czynnik: wcześniej mianowicie Włodzimierz nie dał Chrobremu swej córki za żonę, jej zhańbienie miało zatem dodatkowo aspekt zemsty. Aron – „dobrotliwy i łagodny”, jak często wyrażają się o nim powieściowe postaci – nie chciał dopuścić do gwałtu, ale nie mógł przeciwdziałać. Wykupiony przezeń z niewoli od Pieczyngów (pogańskich sprzymierzeńców Chrobrego w czasie kijowskiej wyprawy) Łukasz (zwany później Żydziętą, Chazar z pochodzenia⁶, przyszły bi-

6 Łukasz był tzw. białym Chazarem, więc powieściowe informacje na temat jego wyglądu (z listu Tymoteusza: „Żydziak zapewne jakiś” – s. 23; z listu Teodory Bazylissy: „turkusowoskośnooki” – s. 24) nie wykluczają się. Łukasz – jako Chazar – wychował się w orbicie judaizmu, który Chazarowie przyjęli; jest to jeden z bardzo nielicznych tego rodzaju przypadków w dziejach. Aron więc niepotrzebnie dziwi się pozornie sprzecznym informacjom: Łukasz jest Żydem intelektualnie, a do pewnego momentu także religijnie, nie posiada natomiast cech wyglądu, które Aronowi znane są jako elementy wyglądu Żydów.

skup w Nowogrodzie), wtedy kilkuletni chłopak, był świadkiem osobliwej sceny. Oto z polecenia Bolesława Chrobrego⁷ Aron miał opiekować się Przecławą Włodzimierzówną przed jej „egzekucją”. W nocy poprzedzającej zgwałcenie Łukasz widział pijanego Arona w nagich ramionach Przecławy. Rano księżniczka kijowska, w czarnej szacie na nagim ciele, bosa, miała udać się z siedziby Arona do dworu, gdzie zdobycie miasta świętował przyszły król Polski. Łukasz widział Przecławę idącą boso przez miasto, w czerni i z poranionymi nogami – *Czerń na plecach, pod czernią czerwień krwi na piętach, ranionych przez kamienie bruku ulicy...* (s. 48).

Zestawienie czerni z czerwienią okrwawionych stóp, obserwowane w tych okolicznościach, wywarło na Łukaszu bardzo silne wrażenie, które później będzie powracać jako motyw w licznych modyfikacjach i w różnych okolicznościach (także w motywie Hamleta). W motywie tym Parnicki pokaże dziejowość naoczności, jak również jej egzystencjalną doniosłość. Obraz ten, co także nie jest bez znaczenia, traumatyzuje Łukasza, toteż jego późniejsze przekształcenia w myślach, snach i zapisach mogłyby skłaniać nas do użycia języka psychoanalizy w interpretacji tego wątku. Spróbuję więc pokazać dalej, że Parnicki robi rzecz karkołomną: próbuje zaprzeczyć Husserlowskiemu podziałowi na *ego* transcendentalne i *ego* psychologiczne, jakby „odpytać” fenomenologię z psychoanalizy i psychoanalizę z fenomenologii. Wróćmy jednak do opisu zdarzeń.

Po zdobyciu Kijowa Bolesław Chrobry wysyła Arona z poselstwem do cesarza Bizancjum Bazylego Bułgarobójcy. Aron ma zwrócić uwagę Bazylego na „zdobywcy Kijowa potęgę i chwałę” oraz wywiedzieć się o możliwości uzyskania ewentualnego wsparcia militarnego w przyszłości. Razem z Aronem z Kijowa do Konstantynopola wyjeżdża Łukasz. Przed odpłynięciem z Kijowa Aron odbywa długą rozmowę z biskupem poznańskim Tymoteuszem, przyjacielem z „rzymskich

⁷ Chrobry wie, co robi. Chcąc, by Przecława pozostała dziewicą do momentu, aż on sam ją zgwałci, zleca opiekę nad nią komuś, o kim wie na pewno, że nie ulegnie – nawet kuszoną – kobiecym wdziękom. Scena, którą widzi Łukasz, jest z pewnością kuszeniem Arona: Przecława chciała zapewne oddać się mnichowi, aby zakpić z przyszłego gwałciciela.

lat młodości”⁸. Przebiegu tej rozmowy nie znamy, ale kilku spraw możemy się domyślać. Otóż wówczas Aron zobowiązał Tymoteusza do opieki nad nienarodzonym jeszcze wtedy dzieckiem Przeclawy, a także najprawdopodobniej do dopomożenia jej w zemście za jej kijowską hańbę. Wtedy też najpewniej zapadła decyzja o tym, że Aron więcej w obszar panowania Bolesława Chrobrego nie powróci. I jeszcze jeden szczegół, który okaże się niezmiernie istotny przy okazji rozważań o Atlantydzie: łódź rzeczna, którą odpływają Aron z Łukaszem, posiada na dziobie znak – hełm z rogami, świadczący o tym, że jest to łódź Wikingów, pewnie ma również załogę z nich złożoną. Na łodzi mógł się Aron dowiedzieć, od Wikingów, o lądzie znajdującym się „po stronie oceanu zachodniej”.

Zapłodniona przez Chrobrego Przeclawa zostaje wywieziona do Polski jako branka. Rodzi syna, synem tym jest późniejszy święty Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski. W 1025 roku Tymoteusz wyprowadza się w podróż śladem Arona, po którym – odkąd pojechał pakować z cesarzem Bazylim – wszelki śluch zaginął. O tynieckim opacie wiadomo tyle, że przybywszy do Konstantynopola, zaprzyjaźnił się z Teodorą Bazyliisą, siostrzenicą Bazylego, pozostawił jej pod opieką Łukasza, sam zaś pojechał do Aten, tam bowiem Bazyl Bułgarobójca świętował na Akropolu zwycięstwo nad Bułgarami. Wiemy, że Aron odbył z Bazylim poufną rozmowę „w cieniu Erechtejonu Kariatyd”, treści jej i ewentualnych wyników nikt jednak nie poznał. Można jedynie przypuszczać, że Aron nie chciał, by jego misja zakończyła się sukcesem, nie darował Chrobremu zhańbienia Przeclawy⁹.

8 Aron i Tymoteusz są także bohaterami powieści *Srebrne orły*. Sprawę powinowactw tych dwóch powieści zostawiam otwartą, wymagałoby to bowiem przeprowadzenia bardzo skomplikowanych analiz porównawczych obu powieści, podczas gdy praca ta – zwłaszcza zaś wprowadzane w niniejszym rozdziale elementy streszczenia – wspiera się na przekonaniu o informacyjnej samowystarczalności pojedynczego tekstu sygnownego przez Teodora Parnickiego.

9 Aron z Bolesławem Chrobrym „miał na pieńku” już wcześniej, tyle że wtedy udało się Aronowi przeprowadzić swoją wolę. Chodzi o zdarzenia z 1017 roku, kiedy to Aron przywiózł do Polski Bolesława Lamberta, zbuntowanego przyrodniego brata Chrobrego. Gdy Chrobry chciał ukarać Bolesława Lamberta za bunt, wówczas Aron sprzeciwił się temu

Tymoteusz także zabrał ze sobą z Polski dziecko, Stanisława, którego następnie zostawił w Konstantynopolu. W Konstantynopolu przebywał również do tego czasu Łukasz, pozostawiony tam przez Arona. Odtąd dwaj chłopcy przebywają razem pod opieką Teodory Bazylissy, co ważne – dziewczycy. Właśnie tam Stanisław dowiaduje się od Łukasza, że ten widział obnażoną do połowy Przeclawę, leżącą razem z Aronem na skórze niedźwiedziej. Wtedy właśnie pojawia się domysł, że to Aron jest ojcem Stanisława. Teodora, wtajemniczona w kijowskie obserwacje Łukasza, przytakuje takiej możliwości. Jako kobiecie „nieświadomej spraw ciała”, wersja młodziutkiego Łukasza wydaje się prawdopodobna. Dowiadujemy się także, iż Przeclawa potwierdziła w rozmowie z synem wersję Łukasza. Nie powinniśmy jednak w to wierzyć. Dlaczego? Otóż księżniczka kijowska odczuwała głęboką i zrozumiałą odrazę i do popełnionego na niej gwałtu, i do – w większym jeszcze stopniu – osoby gwałciiciela: Bolesław Chrobry był odrażający. W swym dzienniku z podróży Łukasz zanotuje to, co na temat kijowskich przeżyć Przeclawy usłyszał od Stanisława:

i zażądał, by Chrobry uczynił swojego przyrodniego brata biskupem krakowskim. I książę, i jego rada przyboczna byli przeciwni pomysłowi Arona, trwały więc na Wawelu zacięte spory. Wreszcie Bolesław Chrobry zawarł „układ z Bogiem”, podobny do układu szatana z Bogiem w sprawie Hioba. Otóż wysłał Arona do obleganej przez Niemców, wspomaganą przez pogan, twierdzy Niemcza. Miał tam Aron stać pod pogańskim ostrzałem i „przeciwstawiać” znak krzyża podobiznom pogańskich bogów. Aron nie wiedział, że oddanych mu do dyspozycji tarczowników starannie wyselekcjonowano, aby swymi umiejętnościami dopomogli „bożym zamysłem”. I Aron wrócił z Niemczy. W ten sposób Bolesław Lambert został biskupem krakowskim. Warto przy tym zwrócić uwagę na pewną poszlakę wyłaniającą się z tej historii. Wygląda bowiem na to, że Bolesław Chrobry nie był przeciwnikiem pomysłu Arona, tylko – najwidoczniej – musiał liczyć się ze zdaniem rady, w której zasiadali przeciwnicy oddania Lambertowi biskupstwa krakowskiego. Aby zamknąć usta krytykom, Chrobry potrzebował więc symbolicznego potwierdzenia, że to, co zamierza, czyni w zgodzie z wolą boską, której nikomu nie godzi się sprzeciwić. A powracając do konfliktu Chrobrego z Aronem – skoro często podkreślana łagodność Arona kazała mu się sprzeciwić skrzywdzeniu Bolesława Lamberta, to tym większy sprzeciw musiał wywołać gwałt na kijowskiej księżniczce Przeclawie.

[...] *to przeżycie przedstawiało się jej samej jako komedia, a nie tragedia, tym mniej jeszcze jako Golgota, bo jeśli i cierpiała, to nie na górze, ale pod górą – z mięsa i tłuszczu. Upokorzenie?! Owszem, było, ale nie jej [...].*

(s. 150–151)

Swe upokorzenie oswaja Przeclawa kpinami z męskości Bolesława, a przyznając się Stanisławowi do – w rzeczywistości nieodbytego – stosunku z Aronem, unieważnia niejako dodatkowo ten gwałt.

Obaj dorastający chłopcy mają powody, by interesować się kolejami życia Arona: Stanisław, ponieważ podejrzewa – jak się okazuje, błędnie – że Aron jest jego ojcem, Łukasz natomiast zawdzięcza Aronowi wykupienie go z niewoli Pieczyngów. Gdy Aron w roku 1018, po spotkaniu z Bazylim Bułgarobójcą, odpływa z Pireusu gdzieś w nieznaną i ślad po nim ginie, chłopcy zainteresowani są jego losem. Ale nie tylko oni. Arona wypatrują z niecierpliwością biskup poznański Tymoteusz, który wyprawi się jego śladem w 1025 roku, oraz Rycheza Starsza, małżonka drugiego króla Polski Mieszka II.

Wydarzenia w porządku chronologicznym wyglądają następująco: Cztery lata po wypłynięciu z Pireusu Aron pojawia się w Persji, gdzie spotyka Awicennę – jest rok 1023. Stamtąd wyrusza dalej na wschód, czyli w stronę Chin. Następna wiadomość z nim związana przypada na rok 1028, kiedy zostaje wyłowiony z morza w pobliżu wybrzeży Anglii (*gdzieś między Anglią a Fryzją*). Uratowany Aron jest w złym stanie, nie ma władzy w ciele, nie może mówić, cierpi na utratę pamięci. Stopniowo odzyskuje mowę i władzę w ciele, nie odzyskuje natomiast pamięci, musi *nauczyć się siebie dawnego*. Trafia do klasztoru w Brauweiler (okolice Kolonii), którego opat Ello, jak Aron będący Iryczykiem z pochodzenia, uczy wyratowanego topielca jego własnej przeszłości, przekazuje mu wiedzę o świecie. Aronowi pozostała jedynie znajomość języków – *władny jest jedynie przepisywać z ksiąg wielojęzycznych*; zapamiętajmy ten fakt, okaże się dalej istotny.

Gdy Aron z Brauweiler przybywa nad Wisłę, wówczas trudu uczenia go świata na nowo podejmuje się Rycheza, już wtedy (od roku 1034) wdowa po Mieszku II, który zginął w tajemniczych okolicznościach,

w czasie wystąpień antyfeudalnych – na ich czele, zgodnie z sugestią powieści, stała Przecławka (motyw zemsty za kijowską hańbę), a udział w nich brali przede wszystkim kijowscy brańcy Bolesława Chrobrego. Stanisław, przybywszy w roku 1034 do Polski, gdzie kupił sobie stanowisko rękodajnego przy królu Mieszku II, dopomógł matce finansowo w buncie przeciw władzy królewskiej, w buncie zresztą brał czynny udział. Buntownicy nie tylko pozbawili Mieszka II władzy, ale także okaleczyli go, wykastrowali, a Stanisław z Przecławką doprowadzili go do samobójstwa.

[...] król Lambert takich straszliwych doświadczył ciosów nie tylko we władztwo jego, ale i w samą osobę człowieczą godzących, jak kalectwo, co go w rzezańca przeobrazić miało, obłąkanie, wreszcie śmierć tajemnicza, jak kiedykolwiek gdziekolwiek mało zaiste czyja; był w wieży samotrzeć: z jakąś kobietą i młodzieńcem [Przecławką i piętnastoletnim wtedy Stanisławem]; miał to być – powiadano – nowy króla rękodajny; gdy w wieżę wieży wstępował, dokładnie przeszukała go straż przybramna; żadnej wtedy przy nim broni nie znaleziono, znaleziono natomiast w kilka godzin potem Mieszka Lamberta króla ciało wyzbyte już życia, przebite mieczem, kobieta zaś równie jak młodzik znikli byli już z wieży.

(s. 32)

Wieża ta posiadała tajne wyjście, o którym wiedzieli nieliczni – najpewniej tylko: Bolesław Chrobry, w owym czasie nieżyjący już, Mieszko II, jego żona Rycheza, Tymoteusz i być może także Aron. Zbudowali je sami: Tymoteusz razem z Mieszkim II, nie ufano bowiem murarzom. Na pomysł wpadł natomiast Bolesław Chrobry. Należy się domyślać, że wiadomość o tajnym wyjściu z wieży zdradził Przecławie Tymoteusz, być może na mocy układu z Aronem, o którym wyżej była mowa.

Okazuje się, że – rozpatrując sprawę na szerszym tle politycznym – bunt przeciw władzy królewskiej w Polsce był sterowany z Konstantynopola. Chodziło o osłabienie w młodym królestwie wpływów Zachodu oraz doprowadzenie do wzmocnienia ekonomicznych

i politycznych wpływów Bizancjum poprzez wyparcie wpływów łacińskich i wprowadzenie obrządku greckokatolickiego. Kijowscy brańcy byli tu, jako przedstawiciele chrześcijaństwa wschodniego, niezwykle użyteczni, niemniej bez pieniędzy przywiezionych przez Stanisława (być może też przez jakichś innych emisariuszy) bunt by się nie udał. Ze strony Bizancjum sterował nim Jan Jałmużnik, wysoki dostojnik na dworze cesarza w Konstantynopolu; wiemy przynajmniej, że to on bezpośrednio finansował misję Stanisława.

Co dzieje się w tym czasie, czyli po roku 1025, z Tymoteuszem? – nie wiadomo. W powieści jest wzmianka o tym, że popłynął na północ *pod zorzę północną, między ruchome skały lodowe* i zapewne tam zginął. List Tymoteusza do Teodory z roku 1032, informujący o ocaleniu Arona, należy najpewniej uznać za falsyfikat, chociaż nie udało się ustalić, kto był autorem mistyfikacji. Tak czy owak autor listu podaje prawdziwą informację o ocaleniu Arona, mistyfikacja polega na wprowadzeniu imienia nieżyjącej postaci. Być może autorem był „przewielebny Herman” – postać tylko raz wzmiankowana w powieści, ale nie sposób orzekać o tym z całą pewnością.

Niełatwo dotrzeć w tym streszczeniu do sceny śmierci Arona w 1059 roku, trzeba wcześniej zgromadzić jeszcze parę faktów. Istotne są dla nas losy Łukasza. Jako pierwszy z dwójki chłopców dorastających na dworze Teodory Bazylissy w Konstantynopolu miasto opuszcza Stanisław, po nim wyjeżdża Łukasz. Obaj wcześniej otrzymują święcenia, oczywiście w obrządku wschodnim. Łukasz wyrusza na poszukiwanie pierścienia, o którym już wyżej wspomniano. Za pierścień ten Aron wykupił Łukasza z niewoli Pieczyngów w Kijowie. Miał ów pierścień wartość podwójną: materialną i symboliczną. Była to ozdoba znakomitej roboty, w której połączono rubiny z turkusami. Pierścień, który Aron otrzymał po cesarzu Ottonie III, symbolizował, przynajmniej dla siostrzenicy cesarza Rychyzy Starszej, polityczną i – można tak powiedzieć – ideologiczną spuściznę Ottona III, czyli Europę podzieloną politycznie na trzy strefy wpływów: wschodnią (Bizancjum), zachodnią (Rzym z cesarstwem niemieckim) i „środkową” (słowiańską). Rychyza naiwnie wiązała z tym przedmiotem nadzieje na odbudowanie swych politycznych wpływów. Za przykładem swego znakomitego wuja

widziała Polskę jako najważniejszy kraj w owej słowiańskiej strefie wpływów, kraj ciężący, oczywiście, ku Zachodowi i łacińskości. Aron, pozbywający się pierścienia w zamian za życie chłopca, był trzeźwieszym politykiem. Wiedział, że plan taki jest utopią. Nie była natomiast tego zdania Rycheza, która pozostała wierna ideom zmarłego Ottona III przez wzgląd na rodzinne sentymenty i pamięć o świetnej przeszłości cesarza. Podobnie myślał Łukasz, chociaż w jego przypadku myślenie takie oparte była na innych, teologicznej natury, przesłankach, o których opowiemy później – wrócimy do tematu przy okazji dokładniejszych rozważań nad postacią Łukasza. Tak czy owak, Łukasz wyprawił się z Konstantynopola na poszukiwanie pierścienia i znalazł, nie ten sam, chociaż podobny.

Pomiędzy rokiem 1034 a 1059 obaj wychowankowie Teodory przemierzają ogromne przestrzenie. Stanisław wyprawia się na północ, najprawdopodobniej szuka Tymoteusza, choć nie jest to całkowicie pewne. W 1039 roku odpływa z Grenlandii na zachód, czyli w stronę Ameryki. Ponownie pojawia się na Grenlandii w roku 1047. Co robił przez ten czas? Gdzie był? – tego możemy się jedynie domyślać. Do zagadnienia tego wrócimy w rozdziale o Atlantydzie. Na razie czytelnik musi mi wybaczyć dalsze śledzenie powieściowych faktów. Rekonstruowane tu ciągi zdarzeń są bowiem niezbędne do przeprowadzenia zaplanowanych analiz.

Łukasz w tym czasie przebywa, tak jak wcześniej Aron, w Persji, tyle że z powodu swego chazarskiego pochodzenia i związanego z tym obrzezania jest tam zdecydowanie życzliwiej przyjmowany. To Łukasz właśnie przywozi stamtąd informację, że Aron spotkał się z Awicenną i jakiś czas przebywał w mieście Ekbatanie (Hamadanie). Dzięki obrzezaniu Łukasz jest jednak znacznie bliżej dopuszczony do medycznych tajemnic uczonego Persa. Dlatego po powrocie zostaje – właśnie z racji swej wiedzy medycznej – mianowany przez Jerzego Jarosława, księcia kijowskiego, biskupem Nowogrodu. Jego współzawodnikiem do tego urzędu jest Efrem, z którym jednak Łukasz wygrywa walkę o biskupstwo. Po śmierci Jerzego Jarosława, Efrem, będący już wówczas metropolitą kijowskim, ma szansę zemścić się za dawną porażkę. Czyni to przy pierwszej sposobności. Więzi Łukasza, począwszy od

roku 1054, w „kijowskim więzieniu przykatedralnym”. W czasie pięcioletniego uwięzienia Łukasz ma tylko jednego gościa – w roku 1057 odwiedza go Stanisław. Następnym razem spotykamy ich obu w 1059 roku w Sandomierzu, gdzie Łukasz, po uwolnieniu z więzienia w Kijowie, zatrzymuje się, przerywając podróż do Nowogrodu. Podróżuje tam jednak drogą okrężną przez Polskę, aby spotkać się z żyjącym jeszcze Aronem. Stanisławowi także zależy na tym spotkaniu, kupuje więc sobie stanowisko kierownika służby u biskupa sandomierskiego Lamberta Sylasa, nie udało mu się bowiem dotrzeć do Arona w Krakowie niecały rok wcześniej. W jaki sposób Stanisław zdołał zwabić Arona do Sandomierza? – to jest tu mniej istotne. Ostatecznie więc – okazuje się to zresztą nie od razu – w sandomierskiej siedzibie Lamberta Sylasa staje się tłoczno. Poza wymienionymi już Aronem, Stanisławem i Łukaszem znajdują się tam: biskup Hieronim, spowiednik Arona – Anchoras, Rycheza Młodsza, książę Roman i Gnup Islandczyk¹⁰.

Wszyscy oni gromadzą się nad „sędziwym arcybiskupem Krakowa” (s. 9) w czasie jego ostatnich chwil. Zanim jednak to nastąpi, trwają dwa wielkie dialogi: Arona ze Stanisławem i Arona z Łukaszem.

Oba te dialogi krążą wokół spraw już tu wcześniej poruszanych, one też są głównym, choć nie jedynym, źródłem zestawionych wyżej informacji, które przedstawiono tu z uwagi na – przypomnijmy –

10 Byli to [świadkowie śmierci Arona]: Ottona, brata króla drugiego Polski, Lamberta Mieszka, syn, na Sandomierzu i Haliczu udzielny, jakkolwiek krakowskiego władzę zwierzchnią nad sobą uznający na pozór, Roman książę; Rycheza, młodszą zwaną, tegoż Lamberta Mieszka córką; z Węgier Romana gość, w Krakowie aż dotąd nie nazbyt mile widziany zauszniak (kochanek – naszeptywali niektórzy teź Rychezy), rębajło, obieżyświat, twierdzący o sobie, iż zowie się po ojcu ojca swojego, któremu na imię było Birning – Gnup; pochodzi zaś z Łodów Wyspy. Dalej, jak drugi król Polski zowiący się Lambert teź, przecież nie Mieszko na drugie imię, bo Sylas (Sulą zwali go Polacy), Ottona Bolesławowica teź syn, z nieprawego jednak łoża, a biskup przy tym [...]. Mnich stanął na prawo od sandomierskiego biskupa, a najbliżej krzesła, w którym rozstawał się z życiem starzec współplemieniec, przeor kapituły na Wawelu, a i osiedla w Tyńcu, Anchoras [...]; na lewo od Lamberta Sylasa [...] łacinnik, mediolańczyk, kapłan z żoną ongiś tam, możny przy tym pan, [Hieronim, biskup wrocławski]. Obok Hieronima Łukasz, szukający we wzroku i starca [umierającego Arona], i Stanisława dowodów, władnych zaświadczyć, że nienadaremnie okrężną wyprawił się był drogą z Kijowa z powrotem na swe biskupstwo nowogrodzkie (s. 89–90).

pytanie zadane przez Arona Stanisławowi i Łukaszowi. Pytanie to dotyczyło wiedzy ich obu na temat przysługi, jaką Aron oddał polskiemu dworowi książęcemu. To pytanie Arona poprzedzone zostaje także legendą o Pwylu, Araunie i Peredurze. Zdaniem Stanisława i Łukasza legenda ta jest zmityzowaną w ludową opowieść wersją historycznych wydarzeń, które są ściśle związane z osobą opata Arona, nie tylko rzecz jasna ze względu na zbieżność, i to niedokładną, imion: Araun i Aron. Zaczniemy jednak od samej legendy. Zwięźle przedstawia ją Teresa Cieślukowska, pisząc o *Robotnikach wezwanych o jedenastej*:

Otóż jeden z mitów celtyckich zawiera opowieść o dwóch bliźniaczych braciach: Pwylu – ojcu lub synu (wedle innych wersji) Peredura – i Araunie, księciu podziemi. Na przeciąg roku bracia postanowili wymienić się królestwem, Pwyl zstąpił do podziemi, a Araun objął władzę Pwyla¹¹.

A oto wersja powieściowa. Z 1059 roku pochodzi informacja, że wypadki te rozegrały się czterdzieści lat wcześniej, czyli około roku 1020. Wiemy tymczasem, że Aron wypłynął z Pireusu w 1018 roku, w Persji zaś pojawił się dopiero pięć lat później. Co robił przez ten czas? Odpowiedź sama się narzuca i ma podłoże polityczne – dopiero później ulega przekształceniu w legendę. W Kambrii (Cymbrii) pojawia się samozwaniec, który podaje się za prawowitego dziedzica kambryjskiego księstwa Dyfed po zmarłym królu Maredudzie. Samozwaniec określa siebie jako Brian (Rian) – słowo to nie jest imieniem, lecz jakimś tytułem (w powieści nie dowiadujemy się jakim, zapewne Brian odpowiada tytułowi książęcemu lub królewskiemu albo tytułowi rodowemu¹²). Tymczasem Brian nie żył już wtedy od dwóch lat, gdyż „poległ był w bitwie zwycięskiej, jaką stoczył z Duń-

11 T. CIEŚLIKOWSKA: *Pisarstwo Teodora Parnickiego*. Warszawa 1965, s. 216. Cieślukowska interpretuje ten motyw, czyni to jednak nader skromnie. Na temat omawianej legendy por. także: M. DILLON, N.K. CHADWICK: *Ze świata Celtów*. Przeł. Z. KUBIAK. Warszawa 1975, s. 273–278.

12 Historiografia mówi o Brianie Boru jako o królu; por. A. TOYNBEE: *Studium historii*. Skrótu dokonał D.C. SOMERVELL. Przeł. J. MARZĘCKI. Warszawa 2000, s. 149.

czykami czy Norwegami nad Dublinem, miastem panującym naonczas" (s. 66 – Łukasz zwraca się do Arona w Sandomierzu). Bajarze jednak z dwóch osób czynią jedną, utożsamiając Briana, rzekomego (samozwańczego) syna króla Mareduda, z Pwylem lub z Pwyla synem – Peredurem. Pwyl lub Peredur łatwo opanował księstwo Dyfed, niedługo jednak „wpadł w przerażenie, dowiedziawszy się, że od północy ciągnie przeciw niemu wojsko innego księstwa kambryjskiego” (s. 66) – księstwa Gwynned. Przywołany na pomoc Araun nie jest przybyszem z zaświatów – sugerują adwersarze umierającego opata tyńieckiego – lecz bratem bliźniakiem Pwyla lub Peredura, Aronee (legendarnym Araunem). Domysł o bliźniaczym braterstwie bierze się mianowicie stąd, że skoro możliwa staje się „zamiana osobowości” między Aronem a Pwylem bądź Peredurem, a taką właśnie zamianę głosi legenda, to łączyć ich musi takie podobieństwo, zwłaszcza fizyczne, o jakie najłatwiej między bliźniakami. Bliźniaczość stanowi więc jakby warunek spójności opowieści, staje się fabularną koniecznością wymuszoną przez zasadę koherencji narracji – można zatem powiedzieć, że mamy tu doczynienia z kształtowaniem narracji pod dyktando mimesis. Doświadczenie świata – ostatecznie naoczność, jako jeden z elementów tego doświadczenia – zostaje jednym z zasadniczych parametrów literackości:

[Mówi Łukasz:] *Natura – przez mądrość Bożą kierowana, a ta z kolei przez Boga też wolę – nigdy aż do takiego stopnia nie powtarza siebie tworząc życie. Kto więc (powtórzę natomiast, nie będąc wszak naturą) może być ten drugi? i skąd się wziął? kto go stworzył? Łudziłbyś się, próbując powiedzieć: Szatan. Nie posiada mocy tworzenia; niweczenia moc wyłącznie.*

– *Bracia bliźniacy...*

– *Oczywiście! Choćby dlatego już, że byłoby to jedyne jako tako prawdopodobne łamigłówek rozwiązanie. Lecz czy znowuż nie byłoby tylko lekkomyślnością niewybaczalną poleganie na tej jedynej możliwości?* [fragment dialogu Łukasza ze Stanisławem w więzieniu w Kijowie w roku 1057]

Wersja, która wprowadza Peredura jako osobnika tożsamego z samozwańcem, rzekomym synem króla Mareduda, i dokłada do niej „historyczne” rozwinięcie, zakłada, że Pwyl jest także ojcem Arona. Powieściowe postaci – Łukasz i Stanisław – przejęte ideą tropienia, w związku z zagadkowymi losami Arona, historycznego tła legendowej opowieści, nie biorą tego szczegółu pod rozwagę. Zapewne nie chcą komplikować fikcji, w którą bardzo chcą uwierzyć i która – chociaż z różnych przyczyn – jest im potrzebna. Powieść w ogóle milczy na temat ojca Arona, o jego matce zaś znajdujemy tylko jedną, raczej mglistą wzmiankę, która dodatkowo jest silnie obciążona perswazyjnie, pojawia się bowiem w momencie, gdy Łukasz rozpoczyna rodzaj przesłuchania Arona właśnie w sprawie jego współudziału w tworzeniu „historycznego” podglebia legendy.

Rzecz dzieje się w komnacie, gdzie Aron umiera. Jest to część dialogu umierającego arcybiskupa krakowskiego z Łukaszem, dialogu, w czasie którego będzie on próbował sprawdzić swoje i Stanisława domysły na interesujący nas tu temat. Trzeba jednak koniecznie pamiętać, że Łukasz jest tu tylko „ustami” Stanisława, ten bowiem ma nadzieję, że Aron nie skojarzy wmawianej mu fikcji z jego politycznymi zamiarami. Początkowo Łukasz, zapewne na polecenie Stanisława, zwodzi Arona, opatrując swą opowieść zwyczajowym znakiem fikcyjności, baśniowości. Czyni to tak, jakby opowiadał bajkę na dobranoc po to, by osłabić czujność starca, który od wielu miesięcy cierpi na bezsenność. Stanisław jest przebiegły – nie dość, że sam o tym z Aronem nie rozmawia, jedynie nie wprost wspomina, że Aron w rzeczywistości nie posiada praw do piastowanej godności arcybiskupiej (m.in. s. 22), to jeszcze na dodatek wprowadza rodzaj literackiej gry, która ma na celu oczarować Arona i osłabić jego podejrzliwość; wcześniej zresztą przechwalała się wobec arcybiskupa swą wielkoduszością w stosunku do wrogów, będącą „cnotą rodową”, odziedziczoną po matce (s. 19):

Baśń z krainy, gdzie matka swym mlekiem karmiła was – zresztą nie tylko was samych, bo i jeszcze kogoś poza wami [w tym miejscu Łukasz jakby przygotowuje grunt dla wprowa-

dzenia domysłu, że Aron miał brata bliźniaka] – iryjską więc baśń niby, a niby, bo po trosze i cymbryjską też posłyszycie baśń.

(s. 65)

Łukasz opowiada Aronowi legendę, nie próbując zrazu zakwestionować jej fikcyjności. Gdy jednak do tego w końcu przystępuje, nie rozpoczyna od próby przekonania Arona, że legenda zawiera w rzeczywistości prawdziwe dzieje jego i jego brata, ale inaczej – od wskazania na podobieństwo pewnych „obyczajowych” szczegółów iryjskiej baśni z rzeczywistością. Parnicki wprowadza tu jakby kpinę z realistyczności realistycznej konwencji:

I zważcie jeszcze: baśń, nierozsądna tak bardzo w cudowności swej, jest przecież zatroskana o zgodność swą z rzeczywistością w szczegółach, że się tak wyrażę, obyczajowych; ktoś by – istoty celtyckiego obyczaju kościelnego nieświadomy – mógł chcieć powątpiewać czy sztydzić nawet: takie, jak chwilę temu zarysowane przeze mnie, wyłuskiwanie prawdy z łupin wokół niej, jakie wyobraźni są tworem, musi o tyle być bezprzedmiotowe, iż żonami mieli też zamienić się bracia bliźniacy; opaci zaś żon nie mają. Wiecie jednakże lepiej chyba jeszcze aniżeli ja, iż żenią się właśnie, a i dzieci też mają opaci iryjscy, równie jak kambryjscy.

(s. 69)

Jej czytelnik (słuchacz) – Stanisław, a potem przekonany przez Stanisława Łukasz – ulega opowieści, wierząc w jej zgodność z rzeczywistością, rozpoznaje bowiem zgodność szczegółu z nabytą przez siebie wiedzą o świecie, w tym przypadku z wiedzą o celtyckim obyczaju kościelnym. To wstępne rozpoznanie rządzi odbiorem opowieści (baśni). Wskutek tego uruchamia się proces poszukiwania odpowiedzi tekstowego z nietekstowym. Nietekstowe zatem podlega (musi podlegać) utekstowaniu, oczywiście w obrębie świadomości czytelnika, tego, który wykonał pierwszy krok ku utożsamieniu baśni z faktycznie zaistniałymi wydarzeniami. Nietekstowe czasem broni się przed utekstowaniem, czasem – jak w przypadku umierającego

Arona – nie stawia oporu. Dzieje się tak w wyniku działania *praxis* polityki. Aron – spostrzegłszy, że wpisanie go w nieprawdziwą z punktu widzenia obiektywności historii opowieść z pozycji jego celów jest korzystne – zaczyna używać owej opowieści w ramach języka polityki (por. ZP, s. 76–105)¹³.

Nasłany przez Stanisława¹⁴ Łukasz, dla którego moc pozornie realistycznego argumentu jest rozstrzygająca co do zgodności legendy z biografią Arona, po chwili zada Aronowi ostateczny – we własnym przynajmniej mniemaniu – cios. Stwierdzi, że przybywszy do Irlandii:

[...] rzeczywisty Aron, nie baśniowy, opat tyniecki [odnaleźć musiał] swego brata bliźniaczego; on to był, tamten właśnie, tym Mareduda króla synem rzekomym; możecie sami sobie dopowiedzieć resztę, jakkolwiek niecałą. Coś bowiem muszę sobie jeszcze pozostawić – prawo do ujawnienia, mało rzec: domysłu, bo oto przekonania najgłębszego: z morza między Anglią a Fryzją wyłowiony został rzekomo tylko Aron, naprawdę zaś bliźniaczy jego brat, Pwyl czy też Peredur, Pwyla syn. Na czym moje przekonanie wspiera się? Na ujawnionej przez was mało co temu znajomości rzeczywistych rodzimych nazw księstw kambryjskich [...].

(s. 69)

Zmierzamy z wolna do ujawnienia stawki całej tej rozgrywki. Okaże się już wkrótce, po co narażam czytelnika na dokładne śledzenie tej

13 Zobaczymy dalej, że to, co tekstowe źródłowo (legenda o braciach bliźniakach) i przekształcone w (pozornie) nietekstowe, zaczyna silnie oddziaływać na dalsze wypadki. Legendę o Pwyla i Peredurze zapisze Łukasz w swym dzienniku, którego czytelnikiem będzie Eryk, syn Gnupa Islandczyka. Na mocy przesłanek, których nie udało się odkryć, utożsamia on biskupa Bangoru Dawida, autora *Kroniki polskiej* (Gall Anonim – *sic!*) i kochanka swej córki Izabeli z nieistniejącym w rzeczywistości wnukiem Pwyla bądź Peradura, brata Arona. Aron nie miał brata, nie mógł więc istnieć wnuk kogoś, kto nigdy nie istniał.

14 Deklaracja Stanisława (s. 22), że to Łukasz nasłał go na Arona, nie jest prawdziwa. Najprawdopodobniej właśnie Stanisławowi zawdzięcza Łukasz uwolnienie z więzienia kijowskiego. Przybywając do Sandomierza i godząc się na wzięcie udziału w grze Stanisława z Aronem, po prostu spłaca dług wdzięczności.

powikłanej opowieści. Aron, zorientowawszy się, o co naprawdę chodzi, woła:

Pomyśleć tylko! O swe zbawienie wieczne zatroskany, wysyłałem moce wszystkie gasnącego nieodwracalnie umysłu, by walczyć z wami dwoma o duszę własną i owszem, walczyliśmy z sobą, ale oto okazuje się, walka ta nie o duszę niczyją toczyła się, ale – w przyszłość rzutowana – o doczesnego, nie wiekuistego świata królestw zdobywanie.

(s. 85)

„Zdobywanie królestw”, o którym nieprecyzyjnie wypowiada się Aron, oznacza w istocie doniosłe dla królestwa polskiego kwestie związane ze schedą biskupią po umierającym – chodzi mianowicie o arcybiskupstwo krakowskie, a w szerszym zakresie – o zależność Kościoła polskiego od Rzymu (stolicy Piotrowej) bądź od Konstantynopola (patriarchatu nadbosforskiego). Nie wypowiedziany głośno układ, jaki zostaje zawarty między Aronem a Stanisławem, najprawdopodobniej jest taki: Aron godzi się na swe pozorne współtworzenie historycznego tła zdarzeń przedstawionych w legendzie o Pwylu i Peredurze, zdaje sobie bowiem sprawę, że ujawnienie tej pozornej prawdy jako zdarzeń rzeczywiście zaistniałych stanowiłoby niebezpieczeństwo dla powagi opuszczanego przezeń arcybiskupiego urzędu – po prostu Aron nie miałby prawa do jego sprawowania, a wszystkie jego czynności można by uznać za bezprawne. Przyznając się do wersji „tekstowej”, „kupuje” w zamian polityczną stabilność, musi jednak dać coś w zamian. Tym „czymś” jest zgoda na objęcie krakowskiego arcybiskupstwa przez kandydata, którego najpewniej wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę – Lamberta Sylasa, biskupa sandomierskiego.

Aron rozważa wybór między dwoma kandydatami: biskupem wrocławskim Hieronimem a Anchorasem, własnym spowiednikiem, przeorem wawelskiej kapituły i swym rodakiem z Irlandii. Lambert Sylas jest kandydatem Stanisława, który dotąd był szefem jego służby biskupiej. Lambert – od tego momentu zawdzięczający wszystko właśnie Stanisławowi – staje się odeń politycznie zależny:

Lambert Syłas też zdawał się rozumieć: nie wszystko oczywiście, przecież niezawodnie tyle przynajmniej: jeśli zasiądzie na osieroconym stolcu krakowskim, utrzyma się na nim tylko o tyle, o ile liczyć będzie mógł na swego oto dworzanina tego – Stanisława, zwanego aż dotychczas Stefanowskim – mocne wsparcie [...].

(s. 117)

Kandydaci Arona – Hieronim i Anchoras – którykolwiek z nich zająłby miejsce sędziwego arcybiskupa, pozostałoby w niezależności od Stanisława. Aron godzi się na zamieszkanie w fikcji (w baśni) jakby „dla świętego spokoju”, poza tym chce odsunąć od kolei swego życia uwagę Stanisława i Łukasza. Przyznanie się do tego, czego oni dwaj od niego chcą, jest – w jego mniemaniu – przebiegłością („rozeznanie gołębia i węża”¹⁵ – s. 79), szczególnie że Lambert Syłas, nie brany wcześniej pod uwagę, okazuje się w ocenie Arona kandydatem nie najgorszym. Pozwala mu ponadto na naprawienie pewnego politycznego błędu z przeszłości, którego jednak nie będę tu omawiał, spowodowałoby to bowiem niepotrzebną komplikację, połączoną

15 Ten fragment należy do większej, bardzo interesującej całości. Jest to – co ważne – cicha modlitwa (nikt jej nie może podsłuchać; por. ile razy dwaj rozmówcy na początku rozdziału I zmieniają język rozmowy w obawie przed podsłuchującymi). Brzmi ona tak: *Oto bowiem mówił Bogu, za czyjego owiec pasterza nadal się uważał: prawdziwego, bo ani kłamnego, ani łudzającego się: „Nie nam, Panie, nie nam, lecz tylko ku większej chwale twojej, z prawem malusińskim, skromniutkim do w chwale twej, jaki to prawo Sam przyznać raczyłeś, zapewniając, że kto wiernie Ci służy, ten na wzór Hioba trędowatego zawstydzi swych – niby to przyjaciół – rozmówców, wielce też niby mądrych rzekomo; lecz jeśli nie tylko głupcami są, ale i nieprzyjaciółmi twoimi tajnymi, mało rzec: zawstydzeni będą, bo wręcz pośmiewiskiem wiernych twych sług się staną, pośmiewiskiem zaś stawszy się, czyli w prochu się znalazłszy, owszem, może i zostaną z prochu podniesieni, ale tylko jak Piotr po zaparciu się Ciebie, bo oto idąc, przepasawszy się, nie tam, gdzie iść będą chcieli, ale gdzie Ty im każesz sługi Swojego ustami, a ustami tymi jak też rozeznanie gołębia i węża zarazem poza nimi iśćcie twoja własna – więc nieomylna – niech kieruje wola. Amen”* (s. 79). Modlitwa ta jest istotna ze względu na ustalanie tekstu historii – gdyby nie ona, stwierdzenie fałszu tożsamości Arona z Araunem i całą legendą byłoby dużo trudniejsze, chociaż nie niemożliwe. Przytaczam ją w całości, aby pokazać na jednym przykładzie technikę zbierania informacji w powieści Parnickiego.

z koniecznością wprowadzenia dodatkowych imion i biografii. Wystarczy stwierdzić tyle, że Lambert Syłas dąży do podporządkowania Sandomierszczyzny, przynajmniej w zakresie kościelnego obyczaju, Bizancjum, co grozi destabilizacją polityczną, a nawet odłączeniem tej ziemi od królestwa. Przeniesienie więc Lamberta do Krakowa jest posunięciem zręcznym, zmusza go bowiem do porzucenia decentralistycznych dążeń i – pozornie wzmacniając – w rzeczywistości osłabia go politycznie. Lambert, zawdzięczając awans Rzymowi, zostaje zmuszony do posłuszeństwa:

[...] orzekną w Rzymie [mówi Stanisław do Arona], iż tutejszemu niby to pasterzowi ni paliusza nie przyślą, ni na tryb nabożeństw słowiański nie zgadzają się, wyprze się przewielebny Lambert Syłas z Rzymem na odmianę w Chrystusie łączności; samego patriarchę Michała w zawziętej do łacinników nienawiści prześcignie, chyba iż...

– ...Rzym [dopowiada Aron] moim następcą go uczyni, przeniesie z Sandomierza na Wawel...

(s. 103)

Lambert Syłas jest mianowany następcą Arona, jego natomiast następcą zostaje ten, któremu Lambert swą nominację zawdzięcza – Stanisław.

Nie bez znaczenia jest tu jeszcze pochodzenie Stanisława. Z racji swych przodków należy Stanisław, chociaż dziecko z nieprawego łoża, do najpotężniejszych postaci na terenach słowiańszczyzny. Po matce, Przecławie Włodzimierzównie, jest spokrewniony z cesarzami Bizancjum, po ojcu, Bolesławie Chrobrym – z Piastami. Umierający Aron obawia się jego nadmiernych ambicji politycznych, wynikających z dostojęstwa przodków. Próbuje więc temu zaradzić. Czyni to na trzy sposoby.

Przyznanie się do zamiany osobowości z Pwylem lub Peredurem stanowi pierwszą taką próbę. Możliwość takiej zamiany, w którą najprawdopodobniej wierzy Stanisław, przynajmniej jeśli chodzi o dzieje Arona, łączy się z zapowiedzią umierającego arcybiskupa kra-

kowskiego, że będzie on żyć dalej „w Stanisławie” jako wchłonięta przezeń osobowość (świadomość) Arona. Jedną fikcją Aron chce „nakarmić” drugą fikcję: możliwość pozornego „przeżycia” w Stanisławie. Stanisław – w przeciwieństwie do „letniego” Arona – „letni” być nie potrafi, jest natomiast albo „gorący”, albo „zimny”. Mamy więc tu przeciwstawienie dwóch zasad – maksym: pierwszej, według której postępuje Aron: *In duubis libertas*, i drugiej, według której żyje – i, co gorsza, żyć zapewne będzie – Stanisław: „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Stanisław – w przeciwieństwie do Arona – potrafi, tak jak starotestamentowi prorocy, nienawidzić (wrogów, politycznych przeciwników). Składa więc Aron Stanisławowi propozycję oddania mu swej duszy „na przechowanie”, licząc, że Stanisław uwierzy, wierząc zaś, pozostanie wierny duchowej spuściźnie Arona:

Wolałbym mieć swoją duszę, choćby i w ciele innym, cudzym czuwającą. Miałbym, przyznam się, wielką ochotę tchnąć ją w kogoś, czyli – innymi słowy – komuś na przechowanie oddać, właśnie aż do chwili powrotu Chrystusowego. Oczywiście, powtarzam, może to być (zapewne i jest też) tylko baśń, niemniej jednakże, skoro oto mędrzec między apostołami Pana rzekł był, że IN DUUBIS LIBERTAS, synku najmiłszy, wzięłbyś moją duszę w siebie właśnie na przechowanie?

(s. 87–88)

Po części Aronowi to się udaje: zapewne on właśnie powoduje, że Stanisław opiera się pokusie walki o władzę świecką. Nie udaje się jednak powstrzymać nienawiści Stanisława do wrogów, co w końcu doprowadza go do buntu przeciw władzy świeckiej (Bolesławowi Śmiałemu) i w jego wyniku do gwałtownej śmierci. Stanisław, gdy patrzy na martwe ciało Arona, spogląda – wydaje się tak Łukaszowi – oczami Arona: *Z tym tylko, że nie było już we wzroku jego łagodności, dobrotliwości ni tym mniej jeszcze – letniości* (s. 125).

Potwierdza nasz domysł druga próba powstrzymywania politycznych zakusów Stanisława. Obserwujemy jej przeprowadzenie, gdy konający starzec napomina przyszłego biskupa krakowskiego:

Życzę ci umierając, byś tyle osiągnął w Słowiańszczyźnie władztwa, na ile masz – poprzez swe dziedzictwo w krwi, więc też z krwią odżywianym wszak, póki żyjesz cielesnie – umyśle...

– ...mocy?

– Nazw wedle woli swej, jakich chcesz tylko, używaj... Jednakże, co do środków... Wmyśl się w siebie, po świecie dookoła siebie rozejrzyj się uważnie, a ze zrozumieniem... Nie zapomnij jednego nigdy: masz święcenia kapłańskie...

(s. 86)

I jeszcze raz, chwilę później, w przedśmiertnym bełkocie, w ostatnich wypowiedzianych zdaniach przed ostatecznym zamknięciem. Cytuję ten fragment ze świadomością, że słowom wygłaszanym na łożu śmierci przez Arona nie należy wierzyć bez zastrzeżeń. Albo inaczej: należy im wierzyć o tyle, o ile stanowią one wyraz jego przebiegłości, którą niejako „obiecał Bogu” w ostatniej swej modlitwie (w całości cytowanej w przypisie).

Jest w błędzie ten, kto sądzi np., że przedśmiertne przyznanie się Arona do zamiany osobowości z Pwyłem czy Peredurem rzeczywiście miało miejsce w ramach jego powieściowej biografii. U Parnickiego w większości przypadków (w *Robotnikach wezwanych o jedenastej* wyjątkiem jest umierający w zakończeniu powieści Eryk; dalej będzie o tym mowa) bohaterowie na łożu śmierci wypowiadają komunikaty sformułowane w języku polityki (por. ZP, s. 79–80):

Lecz żebyś święceń nie lekcewał w własnych... chcesz zaś właśnie, powiedziałeś... niby odwrotnie aniżeli ja... otóż, żebyś siebie i przed tą nedorzecznnością uchronił... Łowy – mówiłeś – wszcząć chcesz... zwierzyną ma być władztwo... owszem, mówiłem właśnie tak: krwi dziedzictwo nie mojej... Jednakże i to mówiłem: zginiesz...

(s. 88)

Trzeci sposób jest bardziej skomplikowany. Aron „wyznacza” Stanisławowi świeckiego strażnika-opiekuna. Zostaje nim wskazany

przez niemogącego już mówić Arona Gnup Islandczyk, rycerz (rę-bajło, „płatny morderca”), który *Polskę umiłował, jak miłował Mojżesz Ziemię obiecaną* (s. 193), zbrojny – i to już w drugim pokoleniu – strażnik domu Piastów (gdy Stanisław, już wtedy biskup, zbuntuje się przeciw Bolesławowi Śmiałemu, Gnup, razem z synem Erykiem, zabije go, sam oddając życie; por. dalej). Wskazanie na Gnupa jest ostatnim przed śmiercią gestem Arona:

[...] wysiłkiem niewątpliwie ogromnym wskazał starzec zakrzywionym końcem pastorału na Islandczyka Gnupa, syna jakoby Birninga, a wnuka – też Gnupa. Ten zbladł, zachwiał się, ale wnet wyprostował. Położył dłoń na rękojeści miecza. Ze spojrzenia Aronowego znikło zdziwienie, pozostało w nim już tylko zadowolenie.

(s. 124)

Gest niemogącego już mówić Arona wygląda jak proroctwo, wiesz czy znak w kontekście późniejszego o dwadzieścia lat współdziału Gnupa w zabójstwie biskupa Stanisława. Gest ten jednak nie jest efektem profetycznego objawienia, lecz politycznej rozgrywki, która obliczona zostaje po prostu na dłuższe trwanie. Wydaje się więc, że interpretacja tej sceny, zmierzająca do stwierdzenia, iż umierający widzi więcej i dalej od tych, których „życie w szacie ciała”, ma jeszcze jakiś czas potrwać, nie odpowiada prawdzie, nic jej w powieści nie potwierdza.

W ten sposób doszliśmy do momentu, gdy Aron już nie żyje. Zestawiliśmy najważniejsze wątki powieści aż do tej chwili. Nie stanowi ona jednak ich zakończenia, historia toczy się dalej („pisze się kolejny rozdział w księdze dziejów”). Wyposażeni jesteśmy teraz w niezbędne informacje, które w pierwszej kolejności wyjaśniają dwukrotnie już wspomniane pytanie Arona, skierowane do Stanisława i Łukasza, o jego udział w wyprawie po Bolesława Lamberta, a w dalszej kolejności pozwolą na prześledzenie wątku Hamleta w „Dzienniku podróży ku śmierci” Łukasza Chazara.

Prawda, fałsz, zdarzenie

Aron swe pytanie wypowiada tuż po tym, jak przyznaje się do zamiany osobowości z Pwylem lub Peredurem. Pytanie to ma w jego zamierzeniu potwierdzić ową zamianę: Aron, dobrotliwy i łagodny mnich, mędrzec „książkowy”, który nie zna „życia poza bramą klasztorną” – a za takiego uważają go obaj przedśmiertni rozmówcy (jak też właściwie wszyscy, z którymi stykał się w życiu), nie zdecydowałby się na przeprowadzenie akcji tego rodzaju, dodatkowo połączonej z dużo niebezpieczniejszą: wywiezieniem sierot po Edmundzie Żelaznobokim z Wysp Brytyjskich. Swym przyznaniem się, uprawdopodobnia rzeczywistość za pomocą fikcji i tylko pozornie ją przez to komplikuje. W rzeczywistości Aron kpi ze swych rozmówców, prawdę potwierdzając fałszem, który w paradoksalny sposób prawdę tę czyni prawdziwą, chociaż czytelnik wie, że prawda bez tego zwiększonego prawdopodobieństwa znakomicie się obywa. Parnicki więc z jednej strony pokazuje sytuację, w której prawda uzależniona jest od prawdopodobieństwa swego wystąpienia, z drugiej zaś strony, w ramach tej samej sytuacji, osłabia probabilistyczną koncepcję, ponieważ prawda potwierdza się jako prawda, opierając się na fałszu, który jednak musi koniecznie charakteryzować się tym, że ktoś (jednostka) traktuje go jako prawdę.

Aron podsuwa Stanisławowi i Łukaszowi pewien gotowy schemat, gotowy tekst, w który można wpisać lub którym można wyjaśnić nieusuwalne sprzeczności. Tekst ten, raz „nałożony” na jakiś wycinek dziejów, będzie odtąd wyjaśniał to, czego nie da się zrozumieć. Stanowiąc początkowo nieprawdę, stanie się jakby nieprawdą prawdziwą, która mieć będzie siłę pozornego wyjaśnienia tajemnicy jednostkowego bycia – w tym przypadku pewnych szczególnie powikłanych zdarzeń z życia Arona.

Tajemnica budzi lęk i domaga się wyjaśnienia, choćby za pomocą fikcji, pozoru, baśni. Ważna w tym kontekście wydaje się przywołana w powieści, w ramach krótkiego dialogu, przemiana, która dokonuje się pomiędzy wczesną myślą Nietzschego, a jego myślą późną, na temat stosunku myśli i słowa do rzeczywistości. W powieści czytamy:

– *Ludzka prawda, wszelka możliwa prawda ludzka, jest to – wiecie co? Oto ni mniej, ni więcej jak tylko argument tak prze-myślnie sformułowany, iż nie sposób, by ktoś – ktokolwiek bądź – zdołał go zbić.*

– *Pożyjecie dłużej, jeszcze ze dwadzieścia lat, to stwierdzicie, że i ludzka prawda jest to coś nieporównanie więcej niż tylko i naj-przemysłniejszy choćby argument...* [pierwszą kwestię wypowiada Łukasz, drugą – Aron]

(s. 74)

U młodego Nietzschego, w tekście *O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie*, znajdujemy fragment odpowiadający słowom Łukasza. Przywołam go w tym miejscu dla ukazania podobieństwa, choć częstotliwość jego pojawiania się w literaturoznawczych i filozoficznych tekstach ostatnich lat jest tak duża, że cytowanie tych zdań staje się już niemal zajęciem wstydliwym:

Czym jest prawda? Ruchliwą armią metafor, metonimii, antropomorfizmów, krótko, sumą ludzkich stosunków, które zostały poetycko i retorycznie wzmożone, przetransponowane i upiękzone, a po długim użytkowaniu wydają się ludowi kanoniczne i obowiązujące: prawdy są złudami, o których zapomniano, że nimi są, metaforami, które się zużyły i utraciły zmysłową siłę wyrazu, monetami, których powierzchnia się starła i które teraz są traktowane jak metal, już nie jak monety¹⁶.

Warto zwrócić uwagę na podobieństwo budowy retorycznej obu cytatów: i Nietzsche, i w ślad za nim Parnicki rozpoczynają od pytania, następnie pojawia się twierdzenie o zretoryzowaniu prawdy, o tym, że jej kształtowanie podlega raczej prawom figur retorycznych niż logice, a sąd nie podlega weryfikacji w odniesieniu do istoty rzeczy, która pozostaje ustawicznie zakryta.

16 F. NIETZSCHE: *O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie*. W: IDEM: *Pisma pozostałe 1862–1875*. Przeł. B. BARAN. Kraków 1993, s. 189.

Aron natomiast podąża w swej odpowiedzi, już niedokładnie, tropem późnego Nietzschego z *Tako rzecze Zaratustra*, gdzie czytamy między innymi:

Jakże rozkosznem jest to, że słowa i dźwięki na świecie są: czyż słowa i dźwięki nie są to tęcze i mosty złudne nad wieczną rozłąką rzeczy? Do każdej duszy odrębny świat przynależy; dla każdej duszy jest inna dusza zaświatem. Między największymi zwłaszcza podobieństwami kłamię pozór najpiękniej; zaś przez najmniejszą szczelinę najtrudniej mosty przerzucać. Dla mnie – jakżeby „poza mną” być mogło? Nie masz „na zewnątrz”! Lecz zapominamy o tem przy dźwiękach; i jakże rozkosznem jest to, że zapominamy! Czyż rzeczy wszelkie nie obdarzono nazwami i dźwiękami, aby się człowiek przy rzeczach orzeźwiał? Pięknaż bo pustotą jest mowa: płąsa nią człowiek nad rzeczami wszelkimi. Jakże rozkoszna jest wszelka mowa i wszystkie kłamstwa dźwięków! Dźwiękami płąsa miłość nasza po barwistych tęczach¹⁷.

Parafrazując Nietzschego, można stwierdzić, że dzięki legendzie, pięknemu pozorowi Stanisław i Łukasz płasają nad istotą osoby Arona – jak się płąsa nad istotą wszelkiej rzeczy. Lęk przed tajemnicą ulega osłabieniu w „orzeźwieniu” pozorną prawdą, jednak – na co wyraźnie zwraca uwagę autor *Woli mocy* – ów pozór prawdy jest dla każdego z nich innym pozorem prawdy, innej prawdy, ponieważ każdy z nich stanowi odrębny świat, a zatem pozór tego, co poza, jest zawsze odmiennym pozorem zewnętrżności, inną nieistotową prawdą.

Nie zmienia to jednak faktu, że u Parnickiego opozycja: subiektywne – obiektywne nie ulega prostej anihilacji, ponieważ Nietzschowski „zaświat”, czyli wszelkie poza, jednak się nam przedstawia, zjawia się przed nami, my go bezustannie spotykamy, uczestniczymy w nim, w jakiś sposób nawet go zmieniamy, poddajemy modyfikacjom. Aron nie zamienił się na osobowości z Pwylem lub Peredurem;

17 Idem: *Tako rzecze Zaratustra*. Przeł. W. BERENT. Warszawa 1990, s. 270–271.

jako Aron, a nie jako Pwyl lub Peredur, przywiózł do Polski Bolesława Lamberta i jako Aron potajemnie wyprowadził z Anglii sieroty po królu Edmundzie¹⁸. W tym ostatnim przypadku nie tylko wpłynął na bieg zdarzeń, ale również ingerował w istotę rzeczy, skoro uratował je od śmierci, przedłużył im życie. Fikcja pozostaje fikcją, prawda zdarzeń pozostaje prawdą zdarzeń, które dopiero w wiele lat później ulegną fikcyjnemu przekształceniu (zaznaczmy, że gdy dzieją się te wydarzenia, Stanisława nie ma jeszcze na świecie, a Łukasz jest małym dzieckiem).

Aron podsumowuje problem lakonicznie, mówi, że ludzka prawda to coś więcej niż retoryka perswazji, nie dopowiada jednak, czym jest (lub czym nie jest) to, co jest czymś więcej. To „coś” wykracza poza retoryczność, stanowi więc pewien naddatek, który – podkreśla z naciskiem Aron – jest „nieporównany”, czyli zapewne odmienny pod względem ontycznego statusu, jest bytowo różny – musi taki być, skoro wyklucza wszelkie porównanie. Prawda się zjawia, pozostaje jednak niewyraźna.

Jeśli więc prawda – w pierwszym rozumieniu – jako argument nie do obalenia, a zatem prawda podporządkowana z jednej strony prawom retoryki, z drugiej strony woli mocy, jest prawdą, która zapewne nie może opuścić horyzontu słowa, to wtedy prawda w drugim rozumieniu musi w jakiś sposób wykraczać poza ontologicznie językowe zakorzenienie. W takim razie, a przynajmniej w tym ujęciu, językowy byt prawdy, jeżeli w ogóle jest możliwy,

18 Motyw wywiezienia z Anglii dwóch chłopców – sierot po królu Edmundzie Żelaznobokim – może wydać się podobny do chronologicznie późniejszego motywu wywiezienia z Polski Łukasza przez Arona i Stanisława przez Tymoteusza – obu wywieziono także jako małych chłopców. Jednak tych motywów – poza podobną ramą fabularną – nic nie łączy. Przeciwnie – różnią się one za każdym razem im tylko właściwą i niepowtarzalną historią. Historia staje się jakby silniejsza od literackiego motywu, a szerzej – od literackości. Gdzie nawyk czytelnicy nakazuje doszukiwać się i oczekiwać podobieństwa, tam mnożą się różnice wynikające z historyczności. Wspominam o tym już teraz, chociaż powieść przynosi jeszcze jeden podobny motyw: gwałtu. Oprócz – już opisywanego – zgwałcenia Przeclawy przez Chrobrego, drugi raz motyw gwałtu pojawia się w zakończeniu powieści: zbiorowe gwałcenie Hildy Grenlandki przez Cziczimeków; będzie o nim mowa dalej.

to musi być wtórny wobec jej niejęzykowego zjawienia w nieomówionej czy przedmownej sferze bezpośredniego doświadczenia czy przeżycia. Nietzsche zdaje się twierdzić, że rzecz zjawiająca się w doświadczeniu naoczności, zmysłowości objawia się w pełnej grozy prawdzie zjawienia – tajemnicy, rozdziału, odrębności. Mowa ustala niejako ponad tym niebezpiecznym doświadczeniem rodzaj fikcyjnego przymierza z obcą, choć wszak mimo wszystko obecną, rzeczą – nie przypadkiem pisze filozof o „barwistych tęczach”, które w tym przypadku nie są, rzecz jasna, symbolem przymierza z nadświatem, fikcją absolutu, lecz z najgłębszą i twardą konkretnością świata: rzeczami, osobami, zdarzeniami.

Parnicki jednak idzie dalej. On najpewniej nie wierzy w ostrą opozycję. Sądzi, że mamy tu do czynienia z kolejną fikcją, która jest jednym ze sposobów płasania „nad rzeczami wszelkimi”.

Może jest tak, że rozważania o mowie, prawdzie i rzeczy należy wzbogacić o kategorię dziejowości. Okazać się może, iż dziejowość stanowi nadrzędny parametr. Rzeczywistość dziejowo się ustala, zamiera w pewną niezmienną postać, i dopiero wtedy jakby ustępuje pola mowie, prawdzie, zafałszowaniu, retoryce, grze rozumu. Ale czy oznacza to, że mowie zabroniony jest wszelki dostęp? Ustalony w jednokrotnym zjawieniu (zaistnieniu) przebieg i kształt zdarzenia to coś innego niż jego złożony, zróżnicowany sens, który przychodzi zawsze z opóźnieniem i na ogół w powtórzeniu. To, co istotowo dziejowe, a często naocznie przeżyte, jeśli w ogóle ma powrócić, musi powrócić w strukturze gramatycznej jako wypowiedzenie. Zniesieniu ulega tu także teraźniejszość. Wyparta przez dziejowość, ustanawia się na nowo jako fikcja, jako upraszczająca metafora myślenia i zasadniczy schemat zdania.

Łukasz – o czym już była mowa – przytacza w swym dzienniku wypowiedzi Przeclawy na temat popełnionego na niej w Kijowie gwałtu. Z punktu widzenia niniejszych rozważań jest to wypowiedź niezmiernie – w pewnym swym fragmencie – istotna:

[...] jeśli powiada się, że [Przeclawa] zostałaomalże publicznie zhańbiona, żałuje, iż właśnieomalże publicznie tylko, bo gdyby

dało się było (niestety, nie da się) z rzeczywistości raz zaistniałej już, więc nieodwracalnej, jedno jedyne usunąć to „omalże”, byliby w tamten poranek kijowanie samym grzmiącym śmiechem zbiorowym władni przeciwstawić się – a skutecznie – polskiemu orężowi [...].

(s. 151)

Parnicki wskazuje na ontologicznie dwuznaczny status sformułowania „omalże publicznie zhańbiona”. Nieodwracalnie zaistniała rzeczywistość domaga się obiektywności swego przebiegu ogranicznika „omalże”. Musi tu zachodzić relacja odpowiedniości: rzeczywistość domaga się tego słowa, właśnie tego, a nie jakiegoś innego.

Trzeba w tym miejscu rozróżnić prawdę zdarzenia i sens zdarzenia. Prawda zdarzenia bliższa jest dziejowemu zjawieniu w jego nieodwracalnym kształcie, sens zdarzenia pojawia się z opóźnieniem, przychodzi bowiem wraz ze słowem, a prawda zdarzenia (byłaby więc tym samym, co obiektywna rzeczywistość, która z istoty nie może być nieprawdziwa) zostaje wystawiona na deformujące działanie słowa i być może ostatecznie staje się kwestią etyczną: posiadam słowo, z którym mogę zrobić, co zechcę. Aron zgodził się na taką deformację, bo było to dlań korzystne.

Może trzeba tu – za Janem Patočką – wyróżnić dwa rodzaje fenomenalności: bezpośrednią fenomenalność zjawienia w nieskrytym oraz fenomenalność pochodną. Cytuję w tym miejscu fragment wywodu czeskiego ucznia Husserla, chociaż jego ustalenia wymagać będą w dalszym ciągu przekroczenia, a nawet daleko idących modyfikacji. Chodzi mi jednak o niezwykle użyteczne dla mojego wywodu pojęcie fenomenalności pochodnej.

Zawsze jest [...] tak, że coś istniejącego wstępuje do sfery otwartej w pewien szczególny sposób; zawsze jako fenomen na tle swojej skrytości, jako „wejście” do określonego horyzontu (odkrytej skrytości), jako „urzeczenie” czy jako „fascynacja” i „zainteresowanie” pewnym horyzontem, który albo się całkowicie ukrywa, albo jest jako taki odsłonięty.

Ale istnieje również fenomenalność pochodna. Nie polega ona na tym, że coś jest dawane samo z siebie, lecz na ukazywaniu czegoś, co się ukazuje samo; jest to fenomenalność, która ukazuje ukazywanie, a w nim wtórnie to, co się ukazuje pierwotnie. Z taką pochodną fenomenalnością spotykamy się w mowie, a zwłaszcza w wypowiedziach. Wypowiedzi nie mieszczą w sobie sensu, który jest już w nich zawarty, lecz wskazują na coś, co się ukazuje bezpośrednio¹⁹.

Nie zawsze jednak, co jest widoczne w przykładzie Arona, mowa ogranicza się do funkcji wskazywania, podlega bowiem także innym czynnikom: woli, pamięci, powtórzeniu itd. Zresztą w zakresie samego wskazywania uobecnienie uwikłane jest w ontyczne przejście: słowo „omalże” nie stanowi składnika rzeczywistego zdarzenia, to raczej składniki tego zdarzenia wymagają jego użycia, więc słowo to jakby nie należąc – należy, nie uczestnicząc – uczestniczy, jest zarazem wewnątrz i na zewnątrz. To podwójne uwikłanie, przystawanie odrębnych porządków, otwiera naszą analizę na problem intencjonalności. Gdy zdarzenie pojawia się w nieskrytości, wówczas nakierowujemy się na nie intencjonalnie albo raczej intencjonalność staje się warunkiem tego, że coś ku nam wychodzi ze skrytości. Nieskrytość wymaga spełnienia intencjonalnego aktu. Słowo „omalże”, przychodząc z opóźnieniem wobec zjawienia, jest już pochodną intencjonalnego aktu orzekania o czymś. Pochodna fenomenalność zakłada pochodną (wobec zdarzenia, tego, o czym się wypowiada) intencjonalność. Wypowiedź posiada swój – jak go nazywa Ingarden (ODL, s. 100 i n.) – intencjonalny wskaźnik kierunkowy, który kieruje ją w stronę niejęzykowego, czyli tego, co zjawia się w prześwicie, wchodzi w nieskrytość.

Parnicki jednak pokazuje – i to jest jądro tej analizy – że oba rodzaje fenomenalności są nie do rozdzielenia. Chociaż dają się z osobna rozpatrywać w ramach teoretycznego modelu, w praktyce jednak są nierozłączne. Zdarzenie, które wychodzi ze skrytości, które się

19 J. PATOČKA: *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*. Przeł. J. ZYCHOWICZ. Warszawa 1998, s. 15.

przedstawia, przedstawia się *jakoś*. Pozostając zdarzeniem zaistniałym w obiektywnej rzeczywistości, natychmiast traci niewinność obiektywności, ponieważ *ktoś* jest tym, komu się ono przedstawia. Czysta obiektywność nie ma takich świadków, którzy mogliby o niej obiektywnie orzekać. Przecławia zachowuje w pamięci obiektywność zdarzenia przeżytego (doświadczonego) w naoczności, ale każde wypowiedzenie przez nią tego doświadczenia powoduje, że to, co językowe, odrywa ją od obiektywności tego zdarzenia. Z czasem też pamięć naoczności przekształca się pod wpływem struktur omawiania.

Przypomnijmy fragment już raz cytowany w innym kontekście, dotyczący gwałtu Chrobrego na Przecławie:

[...] to przeżycie przedstawiało się jej samej jako komedia, a nie tragedia, tym mniej jeszcze jako Golgota, bo jeśli i cierpiała, to nie na górze, ale pod górą – z mięsa i tłuszczu. Upokorzenie owszem, było, ale nie jej.

(s. 150)

W tym przypadku obiektywne przeżycie przedstawia się poprzez liczne kody: literackość, komizm, historię męki Chrystusa, wnosząc od razu w czystą zdarzeniowość elementy interpretacji. Uruchamia się zatem proces usensowniania (nadawania / naddawania sensów) przez wpisanie pewnej konkretności w przestrzeń utekstwowioną. Paradoksalnie jednak zachodzi równocześnie także proces odwrotny. Spół (typ) przedstawienia obiektywnie zdarzenia raz i niepowtarzalnie zaistniałego wzbogaca je o nowe elementy, które jakby powracają ze sfery przedstawieniowej do sfery przedmiotowej, o ile wcześniej tę ostatnią w ogóle opuściły.

Sformułowanie „cierpieć na górze” odsyła do archetypu archetypów wszelkiego cierpienia. Rzeczywistość domaga się jednak modyfikacji metafory poprzez zmianę przyimka „na” – „pod”. Zmiana ta nie unieważnia metafory, ale sprawia, że odsłaniają się nowe elementy zdarzenia: leżąca na wznak naga kobieta z krwawiącymi stopami, zapewne raczej szczupła (jeśli Łukasz za jej plecami dostrzegł twarz Arona), niemająca wtedy lat więcej niż dwadzieścia, leżący na

niej otyły i spocony Bolesław, zmęczony całonocną pijatyką (gwałt odbywa się rankiem), jego seksualna słabość, drwiące spojrzenie gwałconej księżniczki – postrzeganie przez nią tej sceny posiada wewnętrzną dynamikę.

Najpierw, zapewne gdy jest jeszcze w drodze na egzekucję, postrzega siebie jako osobę, która egzystencjalnie wypełnia mit. Zmierza na Golgotę, na górę, gdzie się cierpi, zwłaszcza, że kroki sprawiają jej ból (nagie stopy ranią kamienie), idzie więc z wysiłkiem, podobnie, jak idzie się pod górę. Zauważmy, że to, jak się jej idzie, w pewnej mierze steruje sposobem spostrzegania (w ramach biblijnej historii) owego zmierzania w określone miejsce, w określonym celu. Właśnie: „steruje w pewnej mierze”, ponieważ niezbędny jest tu jeszcze element nie mniej istotny – znajomość Biblii i pewien poziom jej rozumienia. Znów więc mamy do czynienia z sytuacją, w której rzeczywiste jest splecione z tekstowym.

Ten gotowy tekst nie wytrzymuje jednak konfrontacji z rzeczywistością, która zmusza księżniczkę do „przerobienia” metafory pod dyktando rozwijania się zdarzenia. Schemat, w który wpisała zawczasu to, co ją czeka, pozostaje jednak elementem zmodyfikowanego sposobu przedstawiania tego, co właśnie – w *aktualności (swego) działania* – się rozwija. Sytuacja się powtarza. Porządek gramatyczny splata się z porządkiem i działaniem się zdarzenia: zamiana „na” w „pod”, rozgrywając się w przestrzeni mowy, rozgrywa się także, a może przede wszystkim, w niejęzykowym. Domysł ten zostaje wzmocniony dodatkowo przez fakt, że mówimy o doświadczeniu przeżywanym osobiście, które rozpada się na różne składowe, na różne bodźce: ból (zapewne zmieniający się: najpierw bolą Przecławę poranione nogi, potem zapomina o tym bólu, bo pojawia się nowy, ten który przychodzi wraz z utratą dziewictwa), dotyk i przygnięcie ciężkim ciałem gwałciciela, zapach, może także smak, ruchomy obraz kołyszającej się nad nią głowy. Zamiana dokonuje się poprzez zmianę położenia jej ciała w przestrzeni: księżniczka najpierw idzie, potem stoi, potem leży: najpierw patrzy z perspektywy postawy stojącej, potem spogląda z dołu w górę i widzi „górze ciała” Bolesława. Zmodyfikowana metafora bierze udział w kształtowaniu sceny z punktu widzenia albo – szerzej – ze złożo-

nego odczuwania zmysłowego doświadczania gwałcenia. Podporządkowuje się sposobowi, w jaki doświadcza go księżniczka. Jednak elementy zmysłowego doznawania nie są jedynymi, nie tylko one biorą udział w całości postrzegania. Dodatkowo pojawiają się odraza, wstyd, zraniona duma (Przećława nie jest byle kim, jest kijowską księżniczką, blisko spokrewnioną z cesarzami Bizancjum – z jej punktu widzenia gwałci ją barbarzyńca, pół-człowiek, pół-bydłę), zapewne chęć odpłacenia się gwałcicielowi także przychodzi już wówczas, tak jak też pierwsza ku temu sposobność. Zmęczony Bolesław – co czuje „w sobie” Przećława – nie ma pełnej erekcji. Im dłużej gwałciciel próbuje doprowadzić się do ejakulacji²⁰, tym bardziej drwiąco patrzy nań Przećława.

Z literackiego punktu widzenia można dodatkowo w tej scenie dostrzec jej symboliczny, wertykalny układ. Cierpienie „na górze” zbliża córkę Włodzimierza do cierpienia Chrystusa, do uświęconej męki; „dół” natomiast wiąże się z ciałem, cielesnością, biologią. Przećława myśli w układzie: góra – dół (na górze – pod górą). Ten jeden z głównych schematów naszego myślenia steruje jej sposobem widzenia przeżywanego. Symboliczny układ ulega jednak zachwianiu. Góra mityczna nie zamienia się w dół (na to, co na dole), lecz także w górę – górę ciała. Bierze w tym zachwianiu udział wieloznaczność słowa „góra”, które można intencjonalnie kierować ku rozmaitym elementom rzeczywistości. Parnicki, grając polisemią, gra jakby układem symbolicznym, który przestaje być układem sakralnym, jednocześnie pozostając uwewnętrznionym porządkiem myślenia²¹.

Doświadczenie rzeczywistości uwalnia Przećławę od myślenia w obrębie mitu, pozostawiając jednak ogołoconą z sacrum strukturę

20 Ostatecznie udaje mu się. Owocem gwałtu jest Stanisław.

21 Nietzsche doskonale wiedział, że łatwiej jest Boga uśmiercić, niż z faktu tego wyiągnąć ostateczne konsekwencje dla struktur myślenia, które trwale pozostają uwikłane w metafizyczne układy (w tym wypadku wertykalne). Dobrze tę świadomość ilustruje słynny aforyzm 125. z *Wiedzy radosnej*, w którym oszalały głosiciel śmierci Boga napotyka na rynku niewierzących, którzy – będąc ateistami – nie dostrzegają konsekwencji Bożej śmierci. Oszalały człowiek zaś dostrzega je, mówi bowiem o świecie: „nie spadamyż ustawicznie? I w tył, i w bok, i w przód, we wszystkich kierunkach?” F. NIETZSCHE: *Wiedza radosna*. Przeł. L. STAFF. Warszawa 1910–1911, s. 168.

porządkującą przestrzeń doświadczania. Mamy tu także do czynienia ze stopniowym obniżaniem tradycyjnej „wysokości” gatunków: od tekstu objawienia, poprzez tragedię, aż po komedię (por. ostatni przywołany cytat z powieści).

Cierpiący na górze Chrystus dramatycznie doświadcza pustki nieba, która zderza się z realnością cielesnej męki. Jego cierpienie jest wątpliwą epifanią: „epifanią” ciała, skoro pytanie: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” pozostaje ostatnim zdaniem żyjącego ciała, wypowiedzianym w bezgłos śmierci. Przecława, która początkowo myśli w obrębie mitu, ostatecznie doświadcza podobnej epifanii: góry mięsa i tłuszczu, nadmiaru ciała w całej jego konkretności. Moment ten jednak stanowi nie tyle zapowiedź, co biologiczny początek nowego życia: owocem gwałtu jest Stanisław, późniejszy biskup i święty Kościoła katolickiego.

Ciało więc ostatecznie stanowi o ocaleniu jedyne pewnego porządku rzeczywistości: trwania poprzez przekazywanie i mieszanie genów. Niepewność wszelkiej metafizyki przeciwstawiona zostaje dziejowej konkretności ciała. Świadom tego porządku jest umierający Aron, który napomina Stanisława, by ten sięgnął po takie „władztwo w Słowiańszczyźnie”, które owo dziedzictwo dopuszcza, które jakby otwiera się przed Stanisławem („poprzez swe dziedzictwo w krwi, więc też z krwią odżywianym wszak, póki żyjesz cielesnie – umyśle”). Jest to pewien dziedziczony „tekst”, który Stanisław może swym życiem wypełnić (od-czytać). Ciało ostatecznie staje się także tekstem do czytania i to jest zapewne istotniejsze. Ciało stanowi ślad innych ciał, co staje się widoczne poprzez różne stopnie rodzinnego podobieństwa (poprzednio, przy okazji analizowania legendy o Pwylu, Peredurze i Araunie, cielesne podobieństwo było warunkiem spójności opowieści). Powiada Łukasz do Arona:

Nie możecie pamiętać głosu Teodory Bazyliissy ni nawet wyglądu jej: rysów twarzy, ruchów w chodzie... Ja pamiętam. Między nią a Stanisławem wielkie jest podobieństwo, przecież nie takie jak między matką a synem, tylko ogólne – że tak powiem – rodzinne... Skąd wzięło się? Przecława, córka księcia

Włodzimierza, tym samym po matce, Annie Bazylissie ma w sobie krew Romana Bazyleusa.

(s. 47)

Na interpretatora sceny kijowskiego gwałtu czeka jednak pułapka. Otóż powyżej opisywana scena jest w tekście wielorako zapośredniczona – ani nie obserwujemy jej bezpośrednio z punktu widzenia Przecławcy (w słowie narratora), ani nawet nie w jej słownej relacji. Zasadniczy zrąb tej sceny, który głównie (choć nie wyłącznie) złożył się na przedstawione wyżej zestawienie, znajdujemy w fingowanym tekście: w zapisie jednej z postaci, w „Dzienniku podróży ku śmierci” biskupa nowogrodzkiego Łukasza Żydzięty, a zatem w narracji drugiego stopnia, właściwie: co najmniej drugiego stopnia, na opowieść Łukasza składają się bowiem różne relacje oraz skomplikowane doświadczenia jego samego. Czy i na ile ten fakt zmienia dotychczasowe wnioski interpretacyjne? W jakim zakresie je modyfikuje? Czy nie unieważnia ich całkowicie?

Relacja o gwałcie Bolesława Chrobrego na Przecławcu wychodzi spod pióra homoseksualisty²², który sam najchętniej utożsamia

22 Informacja ta jest zaledwie prawdopodobna, zdobyta została bowiem na podstawie raczej mglistych poszlak: (1) Łukasz snuje opowieść o perskich łaźniach, gdzie był dobrze przyjmowany: *A żem się właśnie urodził jako Biały Chazar, rozpoznawali oni mnie w kąpeli (błędnie właściwie, przecież z wielkim dla umysłu mojego pożytkiem) jako jednego ze swoich, więc nie mieli przede mną tajemnic; cokolwiek sami wiedzieli – i mnie też wprowadzali w to* (s. 72–73). Pisałem już o znaku obrzezania, który mógł wówczas gwarantować (i zapewne gwarantował) dobre traktowanie Łukasza w Persji, samo jednak sformułowanie, zwłaszcza *passus* o „odkrywaniu tajemnic”, brzmi dwuznacznie, szczególnie że Persowie nie mogli raczej w człowieku o turkusowych oczach i jasnej karnacji widzieć współziomka. (2) Łukasz nie nosił „świntuszenia” szkolnych kolegów: *Jako wyrostek, kolegów szkolnych zapobiegliwością zadziwiającą, bo natarczywą a niestrudzoną, wprowadzany nawet wbrew swej woli w tajniki spraw płci i rozmnażania się* (s. 45). (3) Łukasza szczególnie podniecają kobiece (ludzkie?) kształty, widziane od tyłu: plecy, pośladki. (4) Łukasz wspomina siebie jako ulubionego ucznia Abu Ali Ibn Siny – Awicenny. Wzmiankę tę, zestawioną z „kąpielowymi” wspomnieniami Łukasza wywiezionymi z Persji, proponuję odczytywać jako śladową informację, że Łukasz, wówczas mężczyzna trzydziestoletni, utrzymywał być może z samym Awicenną nie tylko intelektualne stosunki. Domysł ten może potwierdzać informacja kolejna, którą podaję w toku głównym. Łukasz utożsamia się z kastratem

się z kastratem czy nawet – by tak powiedzieć – z „człowiekiem niemożliwym”, nigdy nienarodzonym: dzieckiem kastrata²³. Relację tę sporządza człowiek, który jako kilkuletnie dziecko widział księżniczkę obnażoną do połowy, leżącą z Aronem w nocy przed jej kijowską „egzekucją” (pomieszczenie oświetlone było łuną – czerwona²⁴ – pożaru miasta) na skórze niedźwiedziej, który obserwował Przeclawę idącą w czarnej opończy i z poranionymi nogami przez ulice Kijowa do dworu, gdzie ucztował Bolesław, i który relację samej zgwałconej poznał wiele lat później za pośrednictwem Stanisława. Czy fakty te (i inne, o których za chwilę wypadnie wspomnieć) obniżają wiarygodność Łukaszowego zapisu? Wydaje się, że zmieniają status owego przekazu, modyfikują go, nie czynią jednak mniej wiarygodnym.

W pierwszej kolejności należy poddać weryfikacji status poszczególnych elementów opisu Łukasza poprzez wskazanie ich źródeł. Po-

lub „podstawia się” w miejsce niemożliwego dziecka wykastrowanego Jana Chazara. Homoseksualizm byłby więc być może równoznaczny z kastracją – jako właściwość wykluczająca z otaczającej wspólnoty seksualnej. Być homoseksualistą to znaczy mieć zamkniętą drogę do płciowego spełnienia. To powód, dla którego Łukasz z taką nostalgią wspomina przeżycia w Persji – tam dozwolone było to, co w granicach chrześcijaństwa zostało zabronione; Teodora Bazylissa mówi do Łukasza z przekąsem: *Mówią, żeś znów wiarę zmienił, Mahometa masz teraz za większego i od Mojżesza, i od Chrystusa* (s. 172).

23 Łukasz utożsamiał się z nienarodzonym nigdy dzieckiem Jana Chazara – nienarodzonym, ponieważ Jan był kastratem: *wnuk z krwi jego nie urodził się nigdy i nie urodzi; syna bowiem mu uczynili (właśnie Jana, rozmówcę mojego) jakieś dzikusy stepowe, Arabów wojsko posiłkujące, rzezańcem* (s. 129–130) – pisze Łukasz w swym dzienniku. Do motywu tego trzeba będzie powrócić wówczas, gdy przystąpimy do dokładnej analizy postaci biskupa Łukasza. Na szczególną uwagę zasługuje motyw silnej więzi, jaka wytwarza się między Łukaszem a Janem Chazarem – rzezańcem. [...] *ja więc to może na odmianę jestem – choćby i częściowo tylko – urzeczywistnieniem nadziei Janowego ojca? Należę wiekiem wprawdzie raczej (jakkolwiek młodszy jestem) do Janowego pokolenia [...]. Mniej jestem znacznie – całą działalnością swego umysłu, (słowa kaznodziei i pióra) – niż z marzenia ojca Janowego wnuk, który nigdy nie był się urodził; z drugiej przeciw strony – i znacznie też więcej; jednakże na pewno mogę o sobie rzec: jest ze mnie właśnie to* (s. 130).

24 Warto zapamiętać ten szczegół. Gdy w swym dzienniku Łukasz będzie śnił Hamleta, sny jego „posłużą się” zestawieniem czerni (opończa Przeclawy) z czerwienią (krew na jej stopach i czerwona łuna pożaru). Por. rozdział *Hamlet – zamknięcie*.

staram się je wyszczególnić według chronologii ich pojawiania się w tekście dziennika nowogrodzkiego biskupa.

Najpierw występuje biblijna metafora (o Golgocie Przecławcy), którą Łukasz dwa i pół miesiąca wcześniej²⁵ zasłyszał w tym samym kontekście od umierającego Arona:

– Czy nad ranem przyglądaliście się drodze krzyżowej, jaką odbywała Przecławca między swą górą Oliwną a Golgotą?

– Ostrzegam was, stąpacie, takich właśnie używając porównań, nad przepaścią: otchłanią piekielną...

– Przeczę. Nauczono mnie: mówić mi miał kiedyś papież Sylwester Drugi, iż życzeniem Boga jest, by człowieczeństwo stało się tak doskonałe, jak doskonała jest boskość... Miał papież na myśli, zgaduję, doskonałość mocy umysłu i woli. Dodam: może też być doskonałość cierpienia.

(s. 47–48)

Łukasz dobrze sobie zapamiętał słowa Arona, skoro powracają one w jego zapisie po dość długim czasie. Dzieje się tak zapewne dlatego, że opisywana przezeń scena, o czym już wyżej była mowa, jest jego traumą, jednym z dwóch najlepiej zapamiętanych zdarzeń z dzieciństwa²⁶.

W zapisie Łukasza „słyszać” też to, co on sam widział w Kijowie jako dziecko: „Czy widziałem? – odpowiada Łukasz na pytanie Arona – Czerń na plecach, pod czernią czerwień krwi na piętach, ranionych przez kamienie bruku ulicy” (s. 48). Okazuje się zatem, że w tym zakresie relacja Łukasza ma swe źródło zarówno w przeżyciu z dzieciństwa, jak i w dialogu z Aronem: to właśnie w tym dialogu tamte dawne przeżycia powracają do świadomości Łukasza. Gdyby nie dialog z Aronem, być może nie trafiłyby one na karty „Dziennika podróży ku śmierci”.

25 Noc śmierci Arona wypada 24 lipca 1059 – *W roku tysiąc pięćdziesiątym dziewiątym, w wigiliu uroczystego dnia świętego Jakuba apostoła i męczennika* (s. 9), komentowany tu zapis z dziennika Łukasza jest datowany 12 października tego samego roku – *Trzeci przed idami października* (s. 150).

26 Drugim zdarzeniem jest scena z jaszczurką (por. s. 118–119).

Trzecim – i zapewne ostatnim – źródłem wiedzy o przeżyciach Przeclawy był Stanisław, który powtórzył Łukaszowi to, co usłyszał na ten temat od matki (s. 46)²⁷. Były to szczegóły związane bezpośrednio z gwałtem we dworze, gdzie Bolesław świętował zdobycie Kijowa. W tej relacji pojawiają się szczegóły dotyczące cielesności zdobywcy miasta.

Analizowana scena staje się więc rekonstrukcją dokonaną przez Łukasza na drodze połączenia różnych elementów (i różnych bodźców): cudzych opowieści, cudzych metafor, własnych wspomnień z dzieciństwa. Mało tego. Rekonstrukcja ta powstaje pod piórem człowieka o niezwykle powikłanej psychice, a zwłaszcza mocno pokomplikowanej wyobraźni seksualnej: mam tu na myśli zarówno homoseksualizm Łukasza, a wszak w owych czasach homoseksualizm był ciężkim grzechem sodomii, jak i związane z tym wyobrażenie siebie jako dziecka rzeźnia – człowieka biologicznie niemożliwego.

Pojawienie się tej sceny okazuje się – ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu – pojawieniem przypadkowym. Mógł Łukasz nie dojechać do Sandomierza (wtedy zapewne przeżycia te nie stałyby się treścią jego zapisów, czyli – podkreślmy to! – fingowanego źródła historycznego); Aron mógł umrzeć wcześniej, tak samo Łukasz mógł umrzeć jeszcze w więzieniu w Kijowie. Na dwa i pół miesiąca przed opisaniem w dzienniku historii Przeclawy Łukasz w Sandomierzu stwierdza w rozmowie z Aronem:

Pięć lat w więzieniu ujęło mi wszystko, cokolwiek bym mógł jeszcze przed sobą mieć, czyli – inaczej nieco sprawę stawiając całą – Efre metropolita na śmierć mnie skazał. Łudzić nie chcąc was, samego siebie tym mniej zwodzić skłonny. Może, owszem, zdążę jeszcze do Nowogrodu wrócić, choćby jedno kazanie

27 Łukasz nigdy nie spotkał Przeclawy. Widział Przeclawę idącą na egzekucję, nie widział natomiast samego gwałtu (a był on publiczny „omalże”), który miał miejsce we dworze, gdzie Bolesław uczłował. Wiadomo zaś, że Stanisław spotkał się z matką w Polsce w roku 1034 – było to ich jedyne spotkanie w życiu. Zapewne wówczas poznał relację matki, którą potem powtórzył Łukaszowi: uczynił to albo w czasie wizyty w więzieniu w Kijowie (w 1057 roku), albo dopiero przy okazji spotkania w Sandomierzu (w 1059 roku).

o Kościele przyszłym, trzecim, słowiańskim, wygłosić, potem słowo owo żywe w piśmie utrwalić, lecz czy naprawdę zdążyć, wcale nawet tego chociażby tylko pewien nie jestem...

(s. 75)

„Dziennik podróży ku śmierci” zawiera liczne wzmianki informujące o szybkim pogarszaniu się stanu zdrowia Łukasza, a interpretowany zapis w dzienniku jest zapisem przedostatnim²⁸. Mógł Łukasz nie zdążyć ze sporządzaniem go. Parnicki buduje sytuację, w której odnajdujemy wyraźną sugestię, że zapis historyczny (fingowany) mógł się w historii nigdy nie pojawić, że scena ta – zapisana tak, jak widział, konstruował i modyfikował ją Łukasz – mogła z historii zniknąć na zawsze.

Spostrzeżenie to, oczywiście, trzeba uogólnić. Wiadomo, że Parnicki tworzy nieistniejące źródło: zapis Łukasza jest historycznie prawdopodobny, mógł się pojawić, może nawet kiedyś istniał – tego nie wiemy, wiemy jednak, że dziś go nie ma. Parnicki – przestudiowawszy ocalałe do naszych czasów źródła – „udaje” przed nami, że taki zapis istnieje. Z dalszych tomów *Nowej baśni* „wiemy”, że „przechował się” jeszcze przez dalsze sześć wieków. Uogólnienie mogłoby chyba polegać na stwierdzeniu, że ów „łut szczęścia”, przypadkowość ocalenia (zapisu, przechowania zapisu) jest nieredukowalnym i zasadniczym udziałem dziejów, który stanowi o istotowej różnicy między obiektywnie dziejowo zaistniałym a zapisanym i przechowanym. Wrócimy do tych, zaledwie tu zasygnalizowanych, rozważań nieco dalej, przy okazji zakończenia analizy motywu Hamleta.

Łukasz i pisanie

Przemyśleć trzeba teraz doświadczenie Łukasza – pisarza. Dlaczego Łukasz opisuje scenę gwałtu Chrobrego na Przecławie? Już wiemy: traumatyczne przeżycie z dzieciństwa, relacja Stanisława, rozmowa z umierającym Aronem. Są to jednak tylko składniki, cegiełki, z których

28 Właściwie ostatnim spisanym własnoręcznie; jeszcze jeden, późniejszy, podyktował, nie mógł już bowiem pisać o własnych siłach.

Łukasz tworzy scenę, jakby opracowuje ją literacko, i to fenomenalnie pod względem artystycznym.

Łukasz na kilka sposobów komentuje w swym dzienniku podróży powody i sens pisania. Twierdzi między innymi, że pisanie albo przy najmniej jeden z jego rodzajów przychodzi wraz z przeżyciem wielkiej klęski, na przykład klęski ojczyzny, jakby rodzi się na gruzach dawnej świetności (por. s. 130)²⁹. Nas jednak bardziej interesuje tu inna spośród jego metatekstowych wypowiedzi – ta mianowicie, która zawiera wyjaśnienie psychoanalityczne. Warto od razu zwrócić uwagę, że Parnicki (Łukasz Żydzietta) daleki jest tu od zbanalizowanego modelu, zakładającego, że pisanie (czy ogólniej – tworzenie) odzwierciedla nieświadome kompleksy i lęki piszącego:

Chcieć pisać – to znaczy chcieć też wydobywać z tajników, gdzie kłębi się bezład doznań nieuporządkowanych przez świadomość, coś, czego osobnik, który jest tak chory, że dłużej jak ćwierć roku na pewno nie przeżyje, dotykać myślą czy wyobraźnią nie powinien; nadwrażliwość bowiem, właściwa powolnemu a nieuchronnemu umieraniu nie w wieku nazbyt podeszłym [...], przetworzyć może łatwo – właśnie poprzez zetknięcie się z zawartością tajników pozaświadomościowych – kres życia w piekło, jeszcze przedśmiertne, a co najmniej – jakby łacinnicy wyrazili się, nowinkarze w dziedzinie sztuk bogo- i duszoznawstwa – w czyściec, co ma tym tylko różnić się od piekła, że żar w nim nie jest wiekuisty.

(s. 134)

Psychoanalityczny model wyrasta z jednostkowej historyczności i wikła się w nią – „piszę ja, Łukasz, tylko ja, nikt inny, ja, który jeszcze żyję, chociaż wiem, że nieodwołalnie umieram”³⁰. Nieświadomość –

29 W ujęciu tym znajdujemy echa koncepcji bodźców sformułowanej przez Arnolda Toynbee, którego wielotomowe *A Study of History* było ulubioną lekturą Parnickiego, co przy różnych okazjach podkreślał.

30 Parafrazuję tu – nieudolnie, może niepotrzebnie – cytat ze *Słowa i ciała*, który brzmi: *Jesteś sobą, tylko sobą – raz jesteś, jedyna, niepowtarzalna*. T. PARNICKI: *Słowo i ciało. Powieść z lat 201–203*. Warszawa 1959, s. 57–58.

związana z przeżytym i zapamiętanym – jest strażniczką pamięci, ontycznie uwikłaną w pamięć na zasadzie dwustronnej relacji opartej na przyległości. Nadwrażliwość jest przede wszystkim uwarunkowana egzystencjalnie (pewność nadchodzącej śmierci) i dopiero z tej perspektywy może wywoływać przerażenie tym, co z pamięci nieuporządkowanej (czyli z zawartości nieświadomości) wkracza w porządek świadomości (w jeden z licznych możliwych porządków świadomości, skoro w wypowiedzi tej znajdujemy dwie zasadniczo odmienne koncepcje eschatologiczne, czyli właśnie przykładowe porządki świadomości, a szerzej – modele wszechświata: 1. świat ziemski – piekło – raj; 2. świat ziemski – piekło – czyściec³¹ – raj).

Zestawienie cytowanej deklaracji Łukasza z jego opisem gwałtu daje interesujące wyniki. Oto ze skrawków ocalałych w pamięci oraz z cudzych wypowiedzi, które Łukasz przechowuje w sobie, wydobywa historię zhańbienia Przeclawy w porządek tekstu, w strumień narracji („z tajników, gdzie kłębi się bezład doznań pozaświadomościowych”). Jego emocjonalnym stosunkiem do tej historii rządzi nadwrażliwość, która – zrodzona z dojmującego przeżywania własnego cierpienia – pozwala mu niemal w dosłownym sensie przeżywać cierpienie Przeclawy. Ruch w kierunku cudzej sytuacji egzystencjalnej rozpoczyna się we własnej, indywidualnie przeżywanej. Ból odczuwany we własnym ciele³² steruje najpierw myśleniem, potem wy-

31 Pozostawiam motyw czyścica poza niniejszą analizą, trzeba jednak zwrócić uwagę, że wprowadzenie tzw. „teologii trzeciego miejsca” do powieści, której akcja rozgrywa się w XI wieku, otwiera ogromną problematykę historyczną i teologiczną. Jest to jedyna wzmianka na ten temat w *Robotnikach wezwanych o jedenastej*. Parnicki motyw ten, oczywiście w zupełnie innym kontekście historycznym, rozwinie w powieści *Tylko Beatrycze* (1962).

32 Powieść kilkakrotnie informuje o dolegliwościach Łukasza: [...] *białobrody szkielet ruchomy ludzki, ledwie powleczoney na twarzy ziemistą cerą* (s. 44); [...] *dobije go ta okrężna tak bardzo podróż powrotna do Nowogrodu po pięciu latach więzienia* (s. 85); [...] *przydarzą mi się (a wypatruję ich) poważniejsze zasłabnięcia*; [...] *Dziś rano zasłabłem* (s. 137); *Moczyłem nogi w wodzie z solami leczniczymi* (s. 138); *Musiąłem [...] przedwczoraj nakazać przeniesienie mnie do łóża; zresztą, poza wszelkimi innymi dolegliwościami, w więzieniu kijowskim nabytymi, wróciła i oczna* [...]; [...] *mogę – okazuje się – pisać po okładach kilkugodzinnych*

obrażaniem sobie cudzego bólu³³ (*dotykać [tenże ból] myślą czy wyobraźnią*).

„Nadwrażliwość” Łukasza ma swe źródła także w szerszym planie biografii tego bohatera, nie tylko w doznaniach związanych bezpośrednio z kilkoma dniami poprzedzającymi śmierć. Homoseksualiście łatwiej jest niż heteroseksualiście wyobrazić sobie doznania kobiety podczas stosunku z mężczyzną, zapewne również doznanie bycia gwałconą (gwałconym) oraz ból pierwszego zbliżenia.

Można zatem snuć domysły (podkreślam: są to tylko domysły), że Łukasz w dzieciństwie (zapewne przed wykupieniem go przez Arona z niewoli Pieczyngów, czyli przed rokiem 1018 – nie miał jeszcze wtedy dziesięciu lat) został zgwałcony. Domysł ten ulega wzmocnieniu przez fakt, że był on świadkiem i uczestnikiem klęsk zadawanych Chazarom przez różnych najeźdźców, zapewne wtedy, bardzo wcześnie, stracił rodziców, dzieciństwo miał trudne³⁴. Jeżeli domysł ten jest prawdziwy, to jednocześnie dodatkowo potwierdzałby on tezę o homoseksualizmie Łukasza. Dlaczego Łukasz broni się przed uświadamianiem przez szkolnych kolegów? – właśnie dlatego, że on już wtedy to wie, posiada wiedzę zgwałconego dziecka.

Podsumowując powyższe rozważania, można po Ingardenowsku stwierdzić, że materialne i formalne składniki wypowiedzi Łukasza są pochodnymi jego własnych przeżyć, intencjonalny zaś wskaźnik kierunkowy owej wypowiedzi skierowany jest ku historii Przecławcy. Co wdziera się w tę przestrzeń i co w związku z tym dzieje się z wypowiedzią Łukasza? Pomiędzy – odpowiedzmy – jest historia, nieustanne dzieanie się, ów Nietzscheański zaświat³⁵, w którym jednak Łukasz (jak

(s. 147); [...] więzień niepowstrzymanie a długo śmiał się, potem zasłabł; [...] śmiech [...] powodował teraz krwotok z ust (s. 181).

33 Do umierającego Arona powiada Stanisław: *Ból – wiem coś niecoś także i o tym, nie z ksiąg, z doświadczenia – to olbrzym, mocarz; kto mówi, iż pokonać go zawsze władny jest, ten najstrasliwszą zaiste grzeszy pychą...* (s. 19).

34 Por. s. 118–119; nie znajdziemy w powieści ani jednej wzmianki, uwagi, poszlaki, sugestii na temat jego rodziców, możemy się jedynie domyślać, że Łukasz właśnie w wyniku owych wyniszczających najazdów bardzo wcześnie został sierotą.

35 Chodzi mi tu nie o „zaświat” w znaczeniu „nadświat”, lecz o to, co wielorako zewnętrzne wobec zanurzonego w świecie podmiotu. Przywoływałem już to stwierdzenie Nietzschego, cytując fragment z *Tako rzecze Zaratustra*.

każdy z nas) uczestniczy, w którym jest bez reszty zanurzony (on nie tylko słyszał o zhańbieniu Przecławcy, on to także widział, sytuację tę przeżył w pełni własnej naoczności).

Własne egzystencjalne oraz własne dziejowe bycie czynią jakby wyłom w granicy między światem (tym, co wkracza w porządek świadomości) a zaświatem (tym, co poza: świadomością, ciałem). Łukasz (każdy z nas) nie może siebie przekroczyć, wyjść poza siebie, toteż w inną (cudzą) historię wybiera się – by tak powiedzieć – ze sobą, on w tę historię całego siebie zabiera albo raczej w sobie jej poszukuje, zresztą tylko w sobie może ją odnaleźć: nie poprzez przedstawienie, ewokację, lecz poprzez jej przeżycie.

Pisanie owej historii zamienia ostatnie dni (dokładnie: ostatni dzień) życia Łukasza w piekło, ponieważ pisanie staje się przeżywaniem i jakby odzyskiwaniem (zdobywaniem³⁶) minionego zdarzenia. Ono powraca – oczywiście – w zapisie, ale jakby równocześnie nie tylko w nim samym. Odzyskanie minionej historii we własnym przeżywaniu okazuje się możliwe, ale – co trzeba podkreślić – niebezpieczne: przeżycie przeżycia poprzez tekstowe (literackie!), z pozoru więc niewinne, uobecnienie staje się piekłem, otchłanią cierpienia. Porządek literatury jest jednak wtórny wobec egzystencjalnego wysiłku odzyskiwania rzeczywistego: *rzeka słów przesłania rzekę historii, swą praprzyczynę* (ZP, s. 213) – rzeczywistość. Być może jednak – dodaje Łukasz – nie jest to piekło, tylko czyściec, a z mroku czyścica (który nie trwa nieskończenie) ostatecznie się wychodzi – w jasność raju³⁷. Owo wyjście jest więc drogą do esencji, istoty bytu, do odzyskania raz zaistniałej rzeczywistości. To wyjście w pozajęzykowe i poza-swoje. Byłby tu Parnicki bliiski Nietzscheańskiej metaforze zamkniętości bytu: piekło i czyściec to

36 Używam tu tytułu książki R. Koziółka *Odzyskać historię*, ale zapewne wbrew tezm autoru. U Koziółka odzyskiwanie historii odbywa się poprzez jej przedstawienie, gdy tymczasem u Parnickiego historii zdobyć w ten sposób się nie da. Można ją zdobyć jedynie, przeżywając ją, odzyskując w przeżyciu.

37 Metaforą wydobywania się z mroków czyścica w jasność raju posługuje się Parnicki też w powieści *Tylko Beatrycze*, czyni to jednak w całkiem innym kontekście; przywoływanie go tu nie ma głębszych podstaw dla niniejszego wywodu. Por. T. PARNICKI: *Tylko Beatrycze*. Warszawa 1962, s. 152.

właśnie zaświat (zaświaty), to wszelkie poza. Droga – ostrzega Łukasz (Parnicki) – okazuje się trudna, ale nie jest beznadziejna, nie prowadzi donikąd, u jej kresu czeka nagroda.

Łukasz wykracza nie tylko poza językowe przedstawienie historii (opowieści Arona i Łukasza), ale także poza własną naoczność, w której dostępna postrzeżeniu jest jedynie forma. On przekracza i słowo, i formalną strukturę zjawiania się bytu. W tym miejscu czeka wspomniana nagroda. Jest nią zbliżenie do istoty, immanentnej prawdy zdarzenia i bytu, do której droga wiedzie poprzez słowo i poprzez formę, by ostatecznie i słowo, i formę przekroczyć. Proces ten jest istotowo dziejowy. Dziejowość bytu czyni go, z jednej strony, bardzo powikłanym, z drugiej jednak strony – w ogóle możliwym, dostępnym „dwunogiemu zwierzęciu”, jak często człowieka w swych powieściach określa Parnicki.

Zdarzenie i byt zanurzone w dziejowości podlegają dziejowości bez reszty, są dziejowe w mocnym sensie. To podstawowe i nieprzekraczalne uwikłanie wydaje je na złożoność. Ale też dziejowa złożoność doświadczana w byciu otwiera się na inną (nie własną) dziejową złożoność. Tylko ta perspektywa umożliwia takie otwarcie, tylko w obrębie tego niełatwego doświadczenia otwarcie staje się możliwe. Trzeba być doświadczonym w doświadczaniu złożoności tego, co dziejowe, i należy wykonać trud jego przeżywania, dzięki któremu inne, cudze dziejowe podlega zdobywaniu, odzyskiwaniu, wydobywaniu ze skrytości, z mroku jednokrotnego zaistnienia.

Historia natomiast stanowi intelligibilny porządek. Zawsze, jak wszelkie słowo, przychodzi w opóźnieniu, wprowadza ład, zawsze nie-otożsamy z doświadczaniem świata. Jego ceną jest jednak wyciągnięcie zdarzenia i bytu z ich zawsze złożonej dziejowości. Historia może się pisać tylko tak: poprzez redukcję dziejowego i pozór nieskrytości.

Próbkę takiej strategii znajdujemy w powieści. Można to zapewne traktować jako ostateczne zamknięcie wątku zgwałcenia Przeclawy, a zarazem jako impuls do uogólnień w zakresie pisarskiej strategii Parnickiego. Nie wdając się w szczegóły fabularne tych zdarzeń, aby zamknąć opisywany wątek, przypomnijmy fragment listu Eryka (był on zabójcą biskupa Stanisława i synem Gnupa Islandczyka, jednego

ze świadków śmierci Arona) do Dawida, biskupa Bangoru (sugerowanego przez Parnickiego w powieści autora *Kroniki polskiej*). List – pochodzący z roku 1119 – zawiera między innymi stwierdzenie, które jest oceną dziejopisarskiej działalności Dawida; jej owocem była – według przypuszczeń Parnickiego – właśnie *Kronika polska*:

[...] poprzez zwyczajną ludzką cześć dla prawdy pogardzam mojego brata bliźniaczego prawnukiem, co zwie się Dawid, za beztroskie a i bezmyślne też [...] przeinaczenie zdarzeń z czasów, w których nie był się jeszcze narodził nawet. To wyszczerbianie miecza Bolesławowego o kijowską Złotą Bramę z wtórem słów, co nie tylko Przecławie, ale i samemu krzywdzicielowi jej [...] ubliżają! Nie było przecież wcale jeszcze tam – właśnie w Kijowie – Bramy Złotej!

(s. 219–220)

Chodzi Erykowi o bardzo znany fragment *Kroniki*, który opisuje kijowską wyprawę Bolesława Chrobrego. Oto fragment tekstu Galla Anonima (powieściowego biskupa Dawida):

Bolesław bez oporu wkroczył do wielkiego i bogatego miasta i dobywszy z pochew miecza uderzył nim w Złotą Bramę, gdy zaś ludzie jego się dziwili, czemu to czyni, wyjaśnił [im to – przyp. tłum.] ze śmiechem a wcale dowcipnie: „Tak jak w tej godzinie Złota Brama miasta ugodzoną została tym mieczem, tak następnej nocy ulegnie siostra najtchórzliwszego z królów, której mi dać nie chciał. Jednakże nie połączy się z Bolesławem w łożu małżeńskim, lecz tylko raz jeden, jak nałożnica, aby pomszczona została w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie”. Tak powiedział i co rzekł, to spełnił³⁸

38 ANONIM TZW. GALL: *Kronika polska*. Przeł. R. GRODECKI. Wstęp i oprac. M. PLEZIA. Wrocław 1982, s. 22.

W późniejszym o sto lat w stosunku do kijowskich wypadków zapisie przechowany zostaje najogólniejszy zarys zdarzeń, który poznamy w anegdocie. Skądinąd interesująca to anegdota; w pewnym stopniu uprawdopodobnia ona tak częste występowanie w powieściach Parnickiego Freudowskich modeli. Gall (Dawid) pisze tak, jakby się nie rozstawał ze *Wstępem do psychoanalizy*, chociaż żył ponad osiemset lat przed Freudem. Mieczem jako symbolem fallicznym gra z pełną świadomością rzeczy, a anegdotycznym tonem stara się tużować nieodparte wrażenie zbyt dosadnej oczywistości wprowadzenia symbolu.

Eryka jednak nie śmiesz tekst Galla (Dawida), wręcz przeciwnie. Martwi go, że tym dziełem historycznym *może jeszcze nie teraz, za dwa przecież pokolenia na pewno – będą szczyścić się Polacy. Obyż tylko szczyścili się!* Obawiam się, że zaczną przekazowi twych ksiąg wierzyć, przy czym może bez zastrzeżeń (s. 219). Opóźnienie, z jakim słowo kronikarza „przykrywa” minioną rzeczywistość, skutkuje nie tylko jej drastyczną redukcją, ale również przeinaczaniem faktów – mogą być one traktowane jako prawda o historii, która się dokonała.

Wbrew wszelkiej krytyce prawdy, wbrew druzgocącej krytyce referencjalności, które charakteryzują dwudziestowieczną *epistémé*, Parnicki domaga się ocalenia prawdy zdarzenia w egzystencjalnym i – przede wszystkim – dziejowym wysiłku jej poszukiwania. Istnieje bowiem wspólność egzystencjalnego doświadczenia dziejowości, wspólność oczywistości zjawiającego się w doświadczeniu świata, wspólność doświadczenia własnej cielesności – istnieją zatem wspólne nam wszystkim porządki rzeczywistego, które są bardziej egzystencjalne niż racjonalne oraz bardziej dziejowe niż tekstowe. Prawda u Parnickiego nabiera statusu czegoś po ludzku bliskiego i ocalająco istotnego. Właśnie z tym wymiarem prawdy i takim rodzajem doświadczenia świata najgorzej radzą sobie logika i filozofia. Zapewne są to najtrudniejsze do opisu fenomeny, z którymi przychodzi im się borykać. Jest to problem myślenia i mówienia tego, co poza. Na tym terytorium rozgrywa się pisarstwo Parnickiego.

Historia, powieść, dzieje

Jaką rolę odgrywa tu literatura? Odpowiedź jest z pozoru prosta. Zestawione powyżej fragmenty powieści i *Kroniki polskiej* oraz cała do tychczasowa interpretacja motywu gwałtu na Przecławie mogą posłużyć za charakterystykę owej różnicy. Charakterystyka ta wiedzie nas ku pierwszoplanowym problemom historycznego pisarstwa Parnickiego, w szczególności zaś do – tak przezeń nazywanego – „dodtwarzania” (nie odtwarzania czy tworzenia) historii w granicach literackości. Dochodzimy powoli w tym wywodzie do opisu takiego kształtu powieści historycznej, ze wszystkimi jej zamierzeniami, jaki zaprojektował i zrealizował autor *Nowej baśni*.

Stefan Szymutko określa ów projekt za pomocą opozycji: literatura – historia. Pisze tak:

W dwudziestowiecznej *epistémé* literatura i historia, literackość i historyczność, są sobie przeciwstawne. [...] Parnicki idzie w stronę historii. [...] jest pisarzem poważnym, stawiającym bardzo trudne pytania i nie rezygnującym z prób odpowiedzi; Parnicki, pisarz podobno wyrafinowany intelektualnie, nie wyrzeka się naiwnego marzenia, by literatura była prawdziwa³⁹.

A dalej dodaje: „Literatura to dzieło umysłu, historia jest przede wszystkim zmysłowa, naoczna. Zmysły poprzedzają świadomość”⁴⁰. Polemiki domagają się kwestie terminologiczne. I nie jest to wyłącznie spór o różne słowa dla tych samych rzeczy. Wydaje się bowiem, że Szymutko dość jednostronnie, a na dodatek w swoistym dla siebie sensie posługuje się nazwą „historia”. Gdzie indziej ma zresztą tego świadomość, posługując się terminem „historia-byt”⁴¹ na nazwanie tego, co w cytowanym tekście określa po prostu jako historię. Historia tymczasem nie jest „przede wszystkim zmysłowa, naoczna” – to tylko jeden ze

39 S. SZYMUTKO: *Parnicki: między historią a literaturą*. W: IDEM: *Rzeczywistość jako zwątpienie w literaturze i w literaturoznawstwie*. Katowice 1998, s. 153.

40 Ibidem, s. 156.

41 Ibidem, s. 35.

sposobów rozumienia tego pojęcia, na dodatek bardzo głęboko uwarunkowany lekturą Parnickiego. Historia w bardzo potocznym ujęciu, któremu zresztą nie sprzeciwiają się najbardziej wyrafinowane teorie historiozoficzne⁴², jest opisem ludzi, państw, przedmiotów itd. w ich dziejowej zmienności. Dosłownie historia znaczy 'badanie', 'informacja', 'opowiadanie' (od *histōr* – 'wiedzący', 'erudyta', 'sędzia'). Można na różne sposoby ograniczać sprawność tej relacji, zdolność historii do wypowiedzenia prawdy dziejów, mnożyć ontologiczne i epistemologiczne zasadzki, nie zmieni to jednak faktu, że historia to jakiś rodzaj próby, świadomy bądź nieświadomy swych ograniczeń i licznych uwiłków, wypowiedzenia tego, co było.

Celowo pomijam tu to znaczenie słowa historia, które czyni ją synonimem dziejów, to ostatnie bowiem wydaje się korzystniejsze poprzez swą dużo większą jednoznaczność: historia może oznaczać zarówno historię-tekst, jak i historię-byt. Dzieje natomiast nie mogą znaczyć 'historia-tekst', to bowiem byłoby dziejopisarstwo. Dzieje tożsame są z „przeszłością dawno minioną i w nicość zmienioną” – by posłużyć się poetycką frazą Ingardena (ODL, s. 242).

Parnicki – co od dłuższego czasu próbuję wykazać – porusza się nie w ramach opozycji: literatura – historia, ale raczej w trójkącie: historia – literatura – dzieje⁴³.

42 Por. J. TOPOLSKI: *Jak się pisze i rozumie historię*. Warszawa 1996, passim. Można w tym miejscu wymienić dalszą literaturę opisującą współczesne koncepcje historiozoficzne (inne pozycje Topolskiego, książki Katarzyny Rosner, Barbary Skargi, Teresy Walas oraz interesujące przekłady m.in. Foucaulta, Ankersmitha, ostatnio także White'a), wydaje się jednak, że praca Topolskiego pozostaje, jak dotąd, najbardziej wyczerpującym ujęciem owych teorii w piśmiennictwie polskim.

43 W schemacie dodaję pojęcie „dziejowość” w uzupełnieniu – bardziej ogólnych – „dziejów”. Z jednej strony – jest to chyba lepsze określenie tego, o co tu chodzi: historyczności, złożonego i nieredukowalnego bycia bytu w czasie itd., z drugiej strony – jest to kategoria silnie związana z pismami Heideggera, jedna z fundamentalnych kategorii jego myślenia, głęboko tą myśl obciążona. Może to zatem dowodzić, że problem, który próbuję tu opisać, stanowi swoistą granicę mowy. Mowa napotyka barierę – dzieje w swej najgłębszej konkretności wypowiedzieć się w obrębie kategorematów po prostu nie dają. Zapewne wiedział o tym Parnicki – świadczy o tym fakt, że spośród dostępnych sposobów komunikacji wybrał literaturę.



Oczywiście, można przyjąć, że Parnicki rozpoczyna swą podróż w historii pisanej (bo inaczej przecież się nie da) i poprzez literaturę poszukuje historii-bytu, więc podąża od historii, poprzez literaturę, do historii. Komplikuje to jednak pod względem terminologicznym już i tak skomplikowany opis tej twórczości. A na dodatek przechodzi do porządku dziennego nad trudnymi kwestiami relacji „wielorako” tekstowego z nietekstowym, których modelowym przykładem może być zestawienie wzmianki o gwałcie Chrobrego z *Kroniki polskiej* Galla z jej powieściowym, literackim przetworzeniem w *Robotnikach wezwanych o jedenastej*.

Projekt Parnickiego polega na odwróceniu procesu. Dzieje zamieniają się w nicość niejako bez przerwy, ponieważ wszelkie bycie bytu jest dziejowe. Dzieje jednak nie są nieme, pozostaje po nich osad słów, który odkłada się jak nakładające się jedna na drugą sedymentacje, przypominające geologiczne uwarstwienia skalne. Problemem historii jest problem ontologicznego przejścia: bytowe zamienia się w tekstowe, a pozostałość bytu przechowuje się w tekście. Tekstowe jest śladem, że proces ontologicznej zamiany miał miejsce, bo tekst musiał mieć przynajmniej autora. Przyjmujemy, że pierwowzory swych bohaterów czerpał on z rzeczywistości. Wierzymy, jesteście przekonani, że Bolesław Chrobry zaistniał kiedyś w rzeczywistości (utwierdzają nas w tym przypuszczeniu pozostałości kultury materialnej, kości w eks-humowanych grobach itd.).

Parnicki, który wyjściowo dysponuje jedynie źródłem i jego historiograficzną interpretacją, postanawia odwrócić ten proces, a do tego potrzebuje literatury. Prawdziwa literatura wymaga prawdziwej historii, czyli prawdziwych podmiotów ją zaludniających i prawdziwych zdarzeń, w których oni uczestniczyli. Potrzeba literatury pojawia się wraz z prostą konstatacją, że opisywany wcześniej Łukasz Żydzieta (podaję, oczywiście, dla przykładu) śnił jak każdy człowiek, ale histo-

ria na ten temat nic nie mówi i już nigdy nie powie, podczas gdy sny Łukasza Żydzietę z punktu widzenia dziejów są tym samym, co jego tekst *Pocieszenie dla braci*, którego autorstwo historia przypisuje właśnie jemu. Historia przechowała wiadomość o gwałcie Bolesława Chrobrego na Przecławie, ale nie wyjaśnia, czym był ten gwałt z punktu widzenia ruskiej księżniczki, a przecież ona go w swym byciu doświadczyła, on dla niej jakoś był, bo nie mógł nie być.

Przedstawiam tu problem w modelowym uproszczeniu, wiadomo jednak, że jest on dużo bardziej skomplikowany. Chociażby fakt, że dokonany przez kronikarza opis gwałtu jest o niemal sto lat późniejszy niż samo zdarzenie, wikła opis w rozliczne uwarunkowania; sam opis podlega dziejowej złożoności już u swego zarania. Okazuje się, że dziejowe jest zdarzenie i dziejowa jest o nim relacja (*habent sua fata libelli* – przypomina Parnicki w innej powieści⁴⁴ – maksyma ta dobrze ilustruje jeden z problemów genezy powieści autora *Nowej baśni*).

Parnicki zazwyczaj dookreślał swe powieści gatunkową kwalifikacją: powieść historyczna⁴⁵ (później pojawia się też określenie „powieść historyczno-fantastyczna”). Można zaryzykować twierdzenie, że kwalifikacja ta jest charakterystyką tworzywa, stanowiącego punkt wyjścia powieści (Parnicki jest czytelnikiem źródeł i historiografii). Historia przekuwana jest w literaturę – by posłużyć się tytułem uniwersyteckich wykładów pisarza, literatura natomiast, mając historię za punkt wyjścia, czyni dzieje swym punktem dojścia. W tym ujęciu powieści kwalifikowane jako historyczno-fantastyczne, za punkt wyjścia mające historię i fantazję na temat historii, posiadają ten sam punkt dojścia: dzieje. Parnicki nie zmienia obiektu zainteresowań. Zada-

44 T. PARNICKI: *Tylko Beatrycze...*, s. 313.

45 Akurat nie uczynił tego w przypadku I tomu *Nowej baśni* (pochodząca z tego samego roku *Tylko Beatrycze* taką kwalifikację posiada), ale w wykładach deklarował: „[...] sam mogę myśleć (nie myślę tego zresztą o swoich ostatnich siedmiu książkach, ale, powiedzmy, o wszystkich poprzednich przez siebie napisanych), że rzeczywiście piszę powieści historyczne” (T. PARNICKI: *Historia w literaturę przekuwana*. Warszawa 1980, s. 34). Z cytowanego zdania wynika, że Parnicki *Robotników wezwanych o jedenastej* uważał za powieść historyczną.

nia, jakie stawia literaturze, pozostają te same, ewoluuje natomiast w pewnym stopniu metoda pracy z materiałem wyjściowym, jednak opis tej zmienionej formuły powieściowej nie jest przedmiotem niniejszej pracy.

Interesujące jest tu coś innego. Na początku tej części rozważań była mowa o możliwości, że inspiracje do opisywanego tu – i zrealizowanego – projektu twórczości Parnicki czerpał z Ingardenowskiej teorii literatury albo raczej z fenomenologii literatury. Przyszedł czas na sprawdzenie tych domysłów. Pozwoli to lepiej określić wstępnie, jak dotąd, zdefiniowany projekt powieści dziejowej autora *Słowa i ciała*.

W rozprawie *O dziele literackim* Ingarden dosyć podejrzliwie traktuje historyczne dzieło literackie, jakby mieściło się ono w całej koncepcji nie w pełni, jakby pozostawiało pewną, niedającą się w jej obrębie zamknąć resztę, jakby historyczne dzieło literackie mieściło w sobie jakąś nieredukowalną ontologiczną nadwyżkę. Kilka nieco obszerniejszych przypomnień z dzieła Ingardena powinno zilustrować powyższe stwierdzenia:

Można by – pisze Ingarden – przy powierzchownym rozważaniu twierdzić, że przedmioty przedstawione w „historycznych” dramatach, powieściach itp. są identyczne z istniejącymi niegdyś realnie osobami, rzeczami i ich losami. [...] Przeciwnie ich identyczności z realnymi przedmiotami historycznymi najdobitniej przemawia fakt, że przedmioty przedstawione jako takie porównujemy w sposób uzasadniony z odpowiednimi przedmiotami realnymi i pokazujemy zachodzące między nimi rzeczowe różnice. Jeżeli jednak każdy przedmiot przedstawiony („historyczny” lub „niehistoryczny”) zasadniczo różni się od dowolnego realnego przedmiotu i jeżeli każdy z nich jest w swym bycie i w swym jakościowym uposażeniu zdany na łaskę odpowiedniej mnogości przeżyć autora dzieła, to przy przyjętych założeniach nie tylko nie da się wykryć nigdzie miejsca, w którym by był – jeśli tak można powiedzieć – „u siebie”, lecz, co więcej, jego tożsamość i jedyność wymaga osobnego uzasadnienia.

(ODL, s. 41)

W innym miejscu, przy okazji rozważania stopni zawieszenia asercji sądów (czyli *quasi*-sądów) w obrębie dzieła literackiego, Ingarden stwierdza, że istnieje graniczny wypadek dzieł literackich, w których asercja – by tak rzec – zawieszona jest w stopniu najmniejszym, przez co rzekomość *quasi*-sądów w nich wypowiedzianych staje się najmniej rzekoma. Są to dzieła literackie, które:

[...] chcą istotnie być „historyczne” i które podejmują się jak najbardziej „wiernego” przedstawienia pewnych znanych z historii faktów i przedmiotów. Jeszcze i wtedy jednak nie mamy do czynienia z właściwymi sądami w znaczeniu logiki. Porównajmy np. opis bitwy w powieści historycznej [...] z przedstawieniem tejże samej bitwy w dziele naukowym. Różnica w charakterze występujących w obu wypadkach zdań twierdzących jest niezaprzeczalna. Nie chodzi przy tym o to, że w powieści są tu i ówdzie „odchylenia” od tego, co się faktycznie rozegrało, gdyż nawet ściśle naukowa historia nie jest zdolna – i to z zasadniczych względów – przedstawić fakty absolutnie wiernie. To, co stanowi różnicę, tkwi znowu w tym, że zdania twierdzące występujące w tego rodzaju literackim dziele sztuki są *quasi*-sądami. Zbliżamy się tu jednak o jeszcze jeden krok do zdań będących naprawdę sądami. Intencja dostosowania do obiektywnie zachodzącego stanu rzeczy (wzgl. przedmiotów) dotyczy nie tylko ogólnego typu [...], lecz nawet tego, co indywidualne. Mogą tu więc być przedstawione nie tylko „takie” i „tego rodzaju” przedmioty i sytuacje, które byłyby „możliwe” w określonej epoce czasu, lecz przynajmniej niektóre zdania twierdzące mogą wyznaczać intencjonalne stany rzeczy, wzgl. przedmioty, które jako zupełnie określone indywidua mają dokładnie być dostosowane do ongiś [...] istniejących przedmiotów (stanów rzeczy). [...] czyśto intencjonalnie sprojektowane zdarzenia, i to jako te właśnie określone indywidualne zdarzenia – tak powinny być dostosowane do owych ongiś faktycznie w historii dokonanych zdarzeń, żeby były do nich tak podobne, jak gdyby były „tymi samymi”.

(ODL, s. 241–242)

Ingarden jednak ostro odróżnia przedmioty przedstawione w literaturze od „tych samych” przedmiotów przedstawionych w pracy historyka. Pisze, że:

[...] jednak nie powinno tu dojść do zidentyfikowania obu stanów rzeczy (wzgl. przedmiotów), tak iż ostatecznie same znów intencjonalnie wytworzone stany rzeczy są bytowo charakteryzowane jako realne i uznane w bycie i w całej swej mnogości przedstawiają przedmioty, którym byt został nadany intencjonalnie i które zostały myślowo przeniesione w świat realny. Mają one za pomocą daleko idącego podobieństwa, jedynie odtwarzać przedmioty niegdyś rzeczywiście istniejące, więcej, udawać, że są nimi samymi. [...] w przypadku artystycznego przedstawienia historycznego [...] czysto intencjonalne odpowiedniki stają się przy rozumieniu zdań widoczne i dzięki daleko idącemu podobieństwu, dostosowaniu do obiektywnie zachodzącego stanu rzeczy, na pozór ucieleśniają przedmioty realne, robią je *quasi*-obecnymi. W ten sposób przeszłość dawno miniona i w nicłość zmieniona powstaje niejako na nowo przed nami w jedynie intencjonalnie ucieleśniających ją stanach rzeczy (przedmiotach). Ale nie ona jest tym, co byłoby w sądzie stwierdzone. Brak bowiem ostatniego kroku, który zdania twierdzące o charakterze *quasi*-sądu dzieli od zdań będących naprawdę sądami, mianowicie identyfikacji intencjonalnego stanu rzeczy z rzeczywistym, a wraz z tym osadzenia go w sposób zupełnie „na serio” w odpowiedniej rzeczywistości.

(ODL, s. 242)

Parnickiego, jak się wydaje, nęcił trop graniczności, skoro marzyła mu się literatura prawdziwa. To byłby pierwszy stopień: wybór graniczności w imię prawdziwości. Jak na razie jednak owa prawdziwość jest *quasi*-prawdziwością. Przedstawienie w powieści historycznej czyni przedmiot – według Ingardena – *quasi*-obecnym. Mało tego, Parnicki zapewne zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że to, co

przedstawione za pośrednictwem sądu w wypowiedzi historyka, czyni tę jego wypowiedź także skazaną na *quasi*-uobecnienie niegdyś realnych osób, zdarzeń i przedmiotów. Historia bowiem udostępnia przeszłość poprzez jej przedstawienie, które nie umożliwia odzyskania dziejów i w tym zakresie niczym nie różni się od przedstawiającej literatury. Trop ten zresztą w pewnym stopniu podpowiada sam Ingarden w cytowanym już tu na początku rozważań stwierdzeniu o możliwości traktowania dzieła naukowego jako pewnego rodzaju dzieła literackiego.

Rozpoznanie to spowodowało, że Parnicki musiał przeformułować model literatury przedstawiającej i na jego miejsce – czy raczej ponad nim – powołać jakiś inny. Stąd projekt takiego dzieła, którego pierwszym „krokiem” jest przedstawienie, dalszym zaś – rodzaj mediacji między przedstawiającą historią a z istoty niedającymi się przedstawić dziejami. Porządek przedstawienia, skomponowany na zasadzie nieustannej komplikacji (można powiedzieć: „komplikacji pączkującej”), zostaje wyparty przez transgresywny ruch w pozasłowne. Słowo przedstawia zawsze. Nawet słowa z pozoru nieprzedstawiające (zaimki, przyimki, partykuły) także przedstawiają. Przypomnijmy: „omalże”, „na”, „pod” okazały się silnie uwikłane w funkcję przedstawiania „raz zaistniałej rzeczywistości”. Widzieliśmy też jednak, że rzeczywistość jakby wymagała słowa. Pozasłowne u Parnickiego wymusza sposób przedstawienia. Szymutko formułuje pytania:

W powieści historycznej tego pisarza przedmiot opowieści jest poza opowieścią, ale czy przedmiot literatury nie jest ostatecznie poza literaturą? Może żeby ocalić literaturę (słowo), trzeba opuścić słowo?⁴⁶

Tego efektownego sformułowania nie można jednak traktować jako alibi. Parnicki wyjściowo dysponuje – jak każdy opowiadający – tylko słowem, które przedstawia. Interesujące więc jest to, jak pisarz usiłuje

46 S. SZYMUTKO: *Parnicki: między historią a literaturą...*, s. 168.

przekroczyć owo podstawowe uwikłanie pisania / mówienia. Z przedstawienia nie da się zrezygnować. Przedmiot opowieści nie jest skłonny do łatwego opuszczenia porządku przedstawienia, zostaje do tego niejako zmuszony – nie poprzez rezygnację z przedstawienia, lecz poprzez pewien odpowiedni sposób, przez żmudną strategię przedstawiania. Droga w stronę „poza” rozpoczyna się w żywiole reprezentacji.

Na najniższym poziomie oglądu powieść historyczna – w rozumieniu Ingardena – opiera się na zasadzie podobieństwa. Przedmiot w niej przedstawiony jest podobny do niegdyś istniejącego w rzeczywistości, ale literackość powoduje jego ontologiczną odrębność od tego drugiego, literackość bowiem – według definicji wprowadzonej przez Ingardena – zakłada inny rodzaj intencjonalności. Rodzaj intencjonalności w dziele literackim nie tyle wyklucza identyfikację intencjonalnego stanu rzeczy, wytwarzanego w tego rodzaju wypowiedzi, ze stanem rzeczy rzeczywistym, co raczej go nie chce, jakby go sobie nie życzy. Definicja Ingardena skazuje przedstawienie literackie na źródłową nieprawdziwość, która zresztą podlega u filozofa stopniowaniu (literatura historyczna jest jakby najmniej nieprawdziwa, choć jednak, wskutek istoty literackości, zawsze nieprawdziwa). Przedmiot przedstawiony w wypowiedzi literackiej – uważa Ingarden – jest „zdany na łaskę odpowiedniej mnogości przeżyć autora dzieła” (ODL, s. 41). Jest to jego jedyne zakorzenienie ontyczne. Kto wkracza na teren literatury, ten musi się na to zgodzić – stanowi to wstępny warunek porozumienia, który dotyczy i pisarza, i czytelnika.

Trzeba położyć tu nacisk na to, że Ingarden istotę literatury rozpatruje w zakresie opozycji: prawda – fałsz, problemy przedstawienia (np. jego wierność, odpowiedniość, stopień podobieństwa do pozatekstowego) w zakresie rozważania istoty literackości mniej go interesują lub raczej są dla jego definicji mniej istotne. Przedmiot przedstawiony w literaturze nie podlega prawdziwościowej weryfikacji – nie z powodu braku podobieństwa do przedmiotów rzeczywistych, lecz z uwagi na zjawianie się w obrębie wypowiedzi, której ramę modalną stanowi założenie o zawieszonych asercji. Ostatecznie więc nadrzędnym czynnikiem rządzącym wypowiedzią literacką jest dla Ingardena jej konwencjonalność.

Dziejowa powieść Parnickiego nie chce przystać na te warunki, chociaż bliska jej jest graniczność gatunku określona przez uczonego. Parnicki wie, że logika uwikłana zostaje w paradoksy *mimesis*, gdyż horyzontem, w którym logika podlega falsyfikacji, jest przedstawienie tego, o czym się w sądzie orzeka. Jeśli gwarantem prawdziwości nie może być przedstawienie, to musi nim być rzeczywistość, pieczęć bytu, który dziejowo istniał. Parnicki chcąc, aby powieść podlegała dialektyce prawdy i fałszu, musiał przeformułować model literatury przedstawiającej i zaproponować koncepcję mediacji poprzez literaturę. Powieść Parnickiego jest zawieszona pomiędzy historią a dziejowością. I to zapewne jest powód, dla którego pisarz nie chciał się zgodzić na miano historiozofa, dziejowość bowiem, w przeciwieństwie do historii, nie podlega żadnej historiozofii⁴⁷, każdy z nas w swej codzienności znakomicie się bez niej obywa, więcej: w swym dziejowym byciu nie może stać się dla historiozofii przedmiotem. Parnicki porzuca więc dawny model powieści historycznej, który przypisywał jej służebną funkcję do-przedstawiania i nad-przedstawiania w cieniu historii. Powieść Parnickiego nie służy historii, sięga natomiast po historyczne przedstawienie po to tylko, aby je na jego terenie przekroczyć i usytuować się w miejscu przejścia, niby drogowskaz, stworzyć warunki do przekroczenia samej siebie w drodze ku istotowo dziejowemu. W koncepcji tej ciężar rozłożony zostaje równomiernie: ponosi go zarówno pisarz, który wykonał pracę przekroczenia historii w stronę dziejowości, jak i czytelnik, dla którego powieść jest drogowskazem. Rozpoczyna się trud wielokrotnej lektury: rozpoczyna się czyścić, z końcem którego czeka nagroda. Czytelnik musi się zgodzić na inną, nową dla siebie literackość, czyli musi spełnić nowe warunki porozumienia z tekstem (por. ZP, rozdział zatytułowany *Warunki porozumienia – tekst historii*). Ponad powieścią przedstawiającą postaci i zdarzenia pojawia się powieść – drogowskaz, powieść – synekdocha oraz dwie nierównocenne ontologicznie przestrzenie: ograniczony początkiem

47 „Trzeba powiedzieć – historykiem nie jestem, historiografem nie jestem, historiozofem nie jestem”. T. PARNICKI: *Historia w literaturę przekuwana...*, s. 44.

i końcem tekst utworu oraz tekstowo – nietekstowa przestrzeń dziejowości (historii)⁴⁸.

Łukasz Żydzieta, by napisać swą relację o Przecławie w taki sposób, jak to uczynił, musi najpierw odzyskać minioną dziejowość. Kierując się własną wyobraźnią i egzystencjalnymi uwikłaniami, którym podlega, musi, „przedostać się” w miejsce jej dziejowego zjawienia. Ten niewielki objętościowo wątek można potraktować jako metaforę losu czytelnika, który w trakcie lektury, obcuując z różnymi relacjami o zdarzeniach, niejako zmuszony jest do powtórzenia drogi Łukasza, bo to na nim – przekonuje Szymutko (ZP, s. 36–40) – spoczywa konieczność stworzenia własnego tekstu historii (własnej tekstowo – nietekstowej przestrzeni dziejowości); tekstowo – nietekstowej (językowo – niejęzykowej), ponieważ rzeczywistość, jak próbowałem pokazać, ma taki właśnie dwudzielny charakter, obciążony silną przyległością i przenikaniem się jednego i drugiego składnika: językowe wpływa na pozajęzykowe i na odwrót; oba porządki wzajemnie się współkonstytuują nie w obrębie opisu, lecz w zakresie dziejowości uczestniczenia w byciu.

Pojawia się zatem przekroczenie tradycyjnego modelu literackości. Ingarden – być może paradoksalnie – sam podpowiedział Parnickiemu, jak tego dokonać.

Parnicki, żądając – wciąż to powtarzajmy – literatury prawdziwej, wybiera powieść historyczną, bo tylko ona daje możliwość przekrocze-

48 Modyfikuję tu nieco terminy Szymutki „tekst utworu” – „tekst historii”. Badacz pisze: „[...] gra między utworem a historią [proponowałem wcześniej historię zastąpić dziejowością], aktywizująca wyobraźnię, pozwala sformułować jasno główną właściwość lektury powieści. Koniec »Zgody narodów«, i późniejsze dzieła Parnickiego, podobnie jak metafory, nie czytamy, lecz interpretujemy. Pierwszą fazą interpretacji jest odebranie znaku w powieści jako znaku pewnej rzeczywistości dziejowej, z której możemy zdać sprawę tylko za pomocą języka. Historia może być jedynie horyzontem wypowiedzi. Dlatego użytecznym będzie [...] wprowadzenie opozycji tekst historii – tekst utworu. Tekst historii znajduje się między światem zdarzeń i osób a utworem, bliżej jednak tego drugiego. [...] Tekst utworu i tekst historii różnią się głównie pod względem wielkości. Obszar dzieła jest zamknięty: niczego nie można do niego dopisać. Tekst historii przeciwnie – nie ma granic” (ZP, s. 36). Próbowałem pokazać, że owa historia, do której odsyła znak w powieści, także jest uwikłana w dialektykę językowego i niejęzykowego. Ciało w historii jest ciałem, które mówi.

nia konwencji istotowej (wedle Ingardena) nieprawdziwości literackiej opowieści, daje szansę przekroczenia granicy zawieszanej asercji. Parnicki – „historioman”⁴⁹ odróżnia historię od dziejowości, ale punktem wyjścia, jak już wcześniej wspomniałem, jest z konieczności historia.

Historia ma charakter przede wszystkim czasownikowy, w prostym oglądzie jest bardziej historią zdarzeń niż ludzi. Myśleć zdarzenie jest dużo łatwiej niż myśleć człowieka, podmiot dziejów w immanencji swego bycia. Jednak zdarzenie, czyli to, co wynika z czynności, domaga się wykonawcy. W granicach historyczności zdarzenie domaga się podmiotu, który rzeczywiście istniał. Czasownik ze swej istoty pyta o imię własne oraz o rzeczywiste bycie bytu, które się za nim ukrywa. Ingarden pisze, że:

[...] składnik znaczenia czasownika, który niejako domaga się wyłuszczenia, spełnia [...] funkcję wskazywania na coś, co do czynności przynależy, co się niejako poza nią kryje. Można by ten składnik nazwać wskaźnikiem wstecz kierującym. Czynność, rozwinięta przez materialną i formalną treść czasownika, jest tu z góry pomyślana jako dokonywana przez jakiś podmiot czynności. Ten niejako „wstecz” wskazujący czynnik szuka jakby jakiegoś (czynnego lub biernego) nosiciela, spełniacza tej czynności. [...] Czasownik określony jedynie domaga się podmiotu, wskazując nań swym wstecznym wskaźnikiem kierunkowym. Wskaźnik ten wskazuje na podmiot czynności jako na taki, którego domaga się dokonywanie czynności. Tym samym i sama rozwijana przez znaczenie czasownika czynność zostaje wprowadzie przedstawiona jako odbywająca się w czystym stawaniu się, ale zarazem nie jako „rzeczywiście” spełniona przez podmiot czynności.

(ODL, s. 133)

49 T. PARNICKI: *Historia w literaturę przekuwana...*, s. 45. Określenie to pojawia się w zdaniu: *Ja mam inne słowo, o wiele mocniejsze [...] – jestem historiomanem, tak to można określić.*

Zaczerpnienie rzeczywistego zdarzenia z historii powoduje, że jej podmiot niejako się urzeczywistnia, w koncepcji Parnickiego bowiem literatura jest mediacją między tekstowym a ostatecznie – w horyzoncie literackiej wypowiedzi – pozatekstowym, dziejowym. Przechowane w historii imię własne jest jakby drugim, przychodzącym po czasownikowym, wskaźnikiem kierunkowym – wskazuje już jednak poza słowo, poza tekst. Rzeczownik poszukuje ręki, która go zapisała. Czasownikowość poszukuje rzeczownika, rzeczownik jest kolejnym – drugim – odesłaniem, tym razem jednak już poza domenę mowy. To rzeczownik przechowuje rzeczywistego sprawcę czynności: za słowem kryje się ciało, które w sposób jedyny i niepowtarzalny zaistniało w dziejach, i to ono jest wyzwaniem tej twórczości.

Parnicki – uważny czytelnik Ingardena – stawia pytanie o możliwość „rozwijania się czynności w jej czystym stawaniu się”. Dochodzimy tu do kwestii ogromnej komplikacji powieści autora *Słowa i ciała*. Czynność rozwijająca się dziejowo, rozwijana przez złożony i poddany tysięcznym uwikłaniom podmiot, nie może rozwijać się w jakiejś utopii czystego stawania się, ponieważ źródłowo wydana jest na złożoność. Tę złożoność trzeba odzyskać, trzeba do niej dotrzeć, spowodować, aby czytelnik mógł owej złożoności doświadczyć w tym sensie, by stała się ona jego przeżyciem (por. ZP, s. 212–220), które przychodzi wraz z potężną komplikacją przedstawienia. Doświadczenie nadmiernej jasności, pewności, prostoty jest wrogiem poznawania, przeczy bowiem złożoności. Przekonuje o tym Parnicki „piórem” Łukasza Żydzity. Jego zdaniem nadmierna sprawność umysłu: [...] *jest to [...] niebezpieczna sprawność, tym bardziej jasność, w tym mianowicie sensie niebezpieczna, iż zacierać władna jest granicę między rzeczywistością a złudą* (s. 138). Złuda, pozór zwalniają niejako z wysiłku doświadczania złożonego w rzeczywistym. Prawda, np. prawda zdarczenia, zawsze zjawia się w złożoności. I ostatecznie złożoność staje się fundamentem prawdziwości.

Ingarden odróżnia w ramach swej koncepcji czysto intencjonalny przedmiot literatury od substancjalnego przedmiotu zanurzonego w świecie:

Czysto intencjonalny przedmiot nie jest „substancją”. Niektóre czysto intencjonalnemu przedmiotowi przydzielone momenty udają przed nami *habitus* „nosiciela”, zdają się odgrywać rolę, której z istoty swej naprawdę odgrywać nie są zdolne, gdyż do tego byłoby niezbędne, by jakości określające były w danym przedmiocie prawdziwie immanentnie ucieleśnione. Tylko jakościowe i formalne momenty we właściwym sensie immanentne przedmiotowi mogą go naprawdę „określić”, ukształtować go jako właśnie taki. Czysto intencjonalny przedmiot nie jest w ścisłym sensie „określony”, co najmniej co do swej zawartości. W porównaniu z jakimkolwiek autonomicznym bytowo przedmiotem jest on jedynie ułudnym pozorem, takim jednakże, który swą podstawę bytową ma nie w sferze realnej, transcendentnej wobec czystej świadomości, lecz pozorem, który swe pozorne istnienie i uposażenie czerpie z „wytwarzającej” go intencji aktu świadomego.

(ODL, s. 186)

Rozróżnienie to – tak samo jak wyżej opisywane składniki koncepcji filozofa – Parnicki musi przekroczyć. I znów Ingarden podpowiada, jak tego dokonać. Czysto intencjonalny przedmiot podlega jedynie prawom wyobraźni. Tylko w nich posiada swe ontyczne zakorzenienie. Rodzą się więc pytania: Jakim prawom podlega wyobraźnia? Czy można wyobrazić sobie coś, co nie posiada struktury i właściwości typowych dla przedmiotów „bytowo autonomicznych”, naocznie doświadczanych w rzeczywistości i codzienności? Zdaje sobie z tego sprawę Ingarden, pisze bowiem o „udawaniu *habitus* nosiciela”, a nie można udawać bez pierwowzoru, zawsze udaje się „coś”. To zatem, co „pierwotnie transcendentale wobec czystej świadomości”, posłuży jako składnik literackiego pozoru, opuszczając uprzednio sferę bytowo autonomiczną. Rozpoznanie udawania nie może się powieść bez tej pozatekstowej sfery. Czytelnik winien rozpoznać owo napięcie. Silne uzależnienie czysto intencjonalnego przedmiotu w tekście literackim od przestrzeni pozatekstowej – Ingarden wskazuje na ten trop raczej mgliście – zmusza do głębszego namysłu nad ich wzajemnymi

relacjami. Musi je wziąć pod rozwagę literatura, która z zamierzenia ma być prawdziwa.

Źródłowa historyczność powoduje, że przedmiot tej literatury był uprzednio bytowo autonomicznym przedmiotem dziejów. Co zrobić jednak, by w wypowiedzi literackiej nie stał się jego ułudnym pozorem? Trzeba zadbać, aby własności konstytuujące były prawdziwie immanentnie ucieleśnione. Fakt ten nie redukuje roli wyobraźni, przeciwnie – on jej rolę drastycznie wyostrza. Wyobraźnia dopomaga w przekraczaniu jakości formalnych, czyli cech przedstawienia, i podejmuje trud odzyskania istoty jednokrotnego fenomenu. Formalna złożoność przedstawienia odsyła niejako poza przedstawienie. Ontologicznym gwarantem owego odesłania jest źródłowa historyczność, jednak nie niesie ona w swej informacyjnej zawartości własności immanentnie ucieleśnionych przedmiotu, który był, a teraz go już nie ma. Te własności bowiem należą do niepowrotnie utraconej sfery minionej rzeczywistości (dziejowości), stanowiącej horyzont literackiej wypowiedzi Parnickiego.

Wyobraźnia przestaje służyć przedstawieniu. Teraz jej zadaniem jest próba odzyskania najpierw formalnych, a w dalszej kolejności istotowych jakości przedmiotu. Czystość intencjonalności przedmiotu w dziele literackim ulega osłabieniu w tym sensie, że jego źródłowa historyczność przywraca mu niejako ten rodzaj intencjonalności, który cechuje akty świadomości skierowane wobec rzeczywistości. Filozof zdawał sobie, oczywiście, z tego sprawę. Dlatego powieści historycznej przypisywał najmniejszy stopień zawieszenia asercji. Parnicki jednak z tego faktu wyprowadził radykalne konsekwencje dla swej twórczości. Próbowaliśmy je tu opisać. Parnicki postanowił w swej literaturze przywrócić jej przedmiotowi jego dawną, bo wynikającą z historyczności, podstawę bytową w „sferze realnej, transcendentnej wobec czystej świadomości”.

Dalej Ingarden pisze o konstytuowaniu przedmiotu „we właściwym sensie” jego immanencji, tyle że owa właściwość, a raczej jej stopień jest niesprawdzalny, dlatego mówimy o właściwym konstytuowaniu jako o horyzoncie wypowiedzi. Mamy jednak tę pewność, że przedmioty pojawiające się w powieści Parnickiego ongiś były przedmio-

tami bytowo samoistnymi. Przechowała je historia. Ich bytowa samoistość skrywa się jakby pod warstwą historii, która jednocześnie otwiera i zamyka dostęp. To, co w historii (ostatecznie i jedynie w historycznym zapisie) pozostało z minionej dziejowości, nie pozostało z myślą o nas, nie przetrwało dla nas. Powstało z myślą o ocaleniu nieustannie zamierającego bycia, które przeżywało siebie jako zamierające, odchodzące i zanikające⁵⁰. Parnicki wyprowadza stąd dla swego pisarstwa ważne wnioski. Powieść historyczna godzi się pozostać na poziomie nad-przedstawienia w zakresie wyznaczonym przez historyczną reprezentację, natomiast powieść dziejowa – nie. Nie zadowala jej ułudny pozór, poszukuje więc bytowej samoistości minionego. Jej przedmiot jest zatem poza nią. Domaga się odzyskania w swym dziejowym zjawieniu w świecie swojego życia – jak powiedziałby Husserl. Rozpoczyna się proces (w ślad za pisarzem musi go podjąć czytelnik), który nie ma granic i nie ma końca. Lektura fortunna nigdy nie wykluczy lektury bardziej fortunnej, ponieważ ruch w stronę dawnego, minionego dziejowego posiada ze swej istoty asymptotyczny charakter: odległość od przedmiotu powieści dziejowej maleje w nieskończoność.

Narrator i postać

Pozostaje do rozstrzygnięcia problem strategii narracyjnej. Jak ukształtować komunikat, aby powyższe założenia stały się możliwe? Chodzi o sprawy najprostsze – o pozycję narratora wobec przedstawienia i o status wypowiedzi postaci. Jeżeli na przykład wypowiedź narratora ma z zamierzenia kreować komunikat odsyłający poza siebie, to musi ona w jakiś sposób utracić ostrą kwalifikację jako *quasi*-sąd. Jaki kształt przybiera narrator w ramach powieści dziejowej?

50 Pamiętamy ścisły związek i równoczesne współkonstituowanie zdarzenia i słowa. Słowo jest zdarzeniem w doświadczanej rzeczywistości, które podlega ocaleniu poprzez zapis: „Powiedziałem to, bo wszak zapisać, to właśnie i jest – powiedzieć, w nadziei, iż słowo nie stanie się wróblem, który, gdy odleci, nie da się już schwycić” (s. 158). Pisanie jest ocalaniem własnego słowa, zdarzeniowości, historyczności, dziejowości jego zjawienia. Byt zanurzony w historii pisze przede wszystkim z tego powodu – tak przynajmniej wydaje się sądzić Łukasz, którego zapis z dziennika podróży ku śmierci przytoczyłem.

Teza jest następująca: Parnicki tworzy komunikat w taki sposób, aby nie można było przeprowadzić ostrego podziału na słowo narratora i słowo postaci w zakresie opozycji prawda – fałsz. Przypomnijmy fragment z pracy Ingardena, który podpowiada, jak się wydaje, kierunek rozwiązania problemu:

[...] jeżeli osoba przedstawiona wypowiada pewne zdanie jako sąd, skierowując go do innej z osób przedstawionych, wówczas – o ile jest szczerą i naprawdę sądzi – zdanie przez nią wypowiedzane jest niewątpliwie sądem w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale zarazem jest sądem, który ma walor, a w szczególności jest prawdziwy, jedynie w obrębie świata przedstawionego, w odniesieniu do przedmiotów tego świata i w skierowaniu do innych osób tegoż świata; [...] jeżeli natomiast zdanie orzekające należy do tekstu przedstawiającego świat przedstawiony – jest członem „opowiadania” o losach osób i rzeczy przedstawionych i spełnia tym samym funkcję fingowania tego świata, wówczas jest najczęściej *quasi*-sądem, którym autor się posługuje właśnie dlatego, by wytworzyć w dziele odrębną dziedzinę przedmiotów i faktów przedstawionych.

(ODL, s. 243–244)

U Ingardena wypowiedź narratora zbudowana jest w całości z *quasi*-sądów, podczas gdy wypowiedź postaci daje się rozpatrywać jako sąd w sensie właściwym, chociaż wyłącznie w odniesieniu do świata przedstawionego w tekście. Parnicki zmierza do zatarcia tej granicy, jakkolwiek – co od razu trzeba podkreślić – w omawianej powieści akurat nie dąży on do maksymalnej redukcji postaci opowiadacza lub do zrównania go z postacią literacką.

Parnicki w *Słowie i ciele* zrezygnował w ogóle z narratora (jest to w całości powieść w listach). Potem, wraz z dwoma pierwszymi tomami *Twarzy księżycy*, także I tomem *Nowej baśni*, restytuował narratora, którego konstrukcję dalszy wywód przybliży. W tym samym 1962 roku, gdy ukazał się I tom cyklu, opublikowana została powieść *Tylko*

*Beatrycze*⁵¹, która – jak się wydaje – zapoczątkowuje „odwrót” pisarza od tradycyjnych narracji trzecioosobowych i przejście w stronę form użytkowych: dialogów, dokumentów, listów itd., które w późniejszym czasie całkowicie zdominują podawcze formy jego twórczości. *Tylko Beatrycze* jest (nie licząc epistolarnego *Słowa i ciała*) pierwszą powieścią, w której narrator niemal nie występuje. Przybliżmy tu tę problematykę dla ukazania kontrastu ze współczesnym jej I tomem *Nowej baśni*.

W *Tylko Beatrycze* słowo narratora zostaje zastąpione przez jego niezwerbalizowane działania, które najczęściej sprowadzają się jedynie do selekcji materii zdarzeń i ich przedstawień. Zdarzenia te prezentowane są bez narracyjnej obróbki. Wobec tego narrator bliski byłby podmiotowi utworu. Jego nieustanna obecność zdradza się poprzez umożliwienie „bezpośredniego” spotkania ze zdarzeniem ze świata przedstawionego. Zasadą konstrukcji jest sukcesywne umożliwianie czytelnikowi „wglądu” w napisany przez postać dokument lub „wsluchu” w toczący się dialog postaci. Założyć można, że takie działania umożliwiające wynikają z woli opowiedzenia historii możliwie słabo zmediatyzowanej przez słowa opowiadacza. Narrator nie przedstawia zdarzeń, lecz pozwala, by te niejako same się przedstawiały, więc słowo narratora zastępuje niewerbalny gest bezsłownego przewodnictwa. Narrator stawia czytelnika w miejscu, z którego dobrze widać tekst sporządzony (a czasem – *in actu esse* – sporządzany) przez postać lub w którym dobrze słyhać toczący się dialog.

Stwierdzenia te mogą prowadzić do wniosku, że w powieści nie występuje dystans narracyjny, tak jednak nie jest. Mimo że opisany powyżej schemat konstrukcyjny realizowany jest w przeważającej części utworu, to łatwo zauważyć, nieliczne wprowadzie, odstępstwa od tego schematu, powiedzmy: znaki narracji.

Znaki narracji pojawiają się w trojkiej postaci: śladów narracji, czyli znaków niewerbalnych, takich jak np. cudzysłów lub brak cudzysłów w ramach rozdziału, didaskaliów, np. w rodzaju sformułowań typu „tekst dany Stanisławowi do skomentowania w ciągu dalszym”,

51 T. PARNICKI: *Tylko Beatrycze...*; cytaty lokalizuję wedle przywoływanego wcześniej wydania.

i manifestacji narracji, gdzie pojawia się klasyczny trzecioosobowy narrator – auktorialno-personalny (początek rozdziału XII), bądź auktorialny (zakończenie rozdziału XIII).

Bliskość czasu fabuły i czasu narracji podkreśla dodatkowo zjawisko, które można nazwać *mimesis* czytelniczej percepcji. Zjawisko to jakby wikła czytelnika w precyzyjnie wyznaczany czas fabularny i przenosi go w *quasi*-realność czasoprzestrzeni pałacu papieskiego w Awinionie. Staje się on niemal biernym uczestnikiem zdarzeń powieściowych, gdyż tok kolejnych „wglądów” i „wsłuchów” dostosowany zostaje do percepcyjnych możliwości człowieka, który w jednej chwili może znajdować się tylko w jednym miejscu. Powstaje wrażenie, jakby czytelnik podążał za narratorem poprzez czas fabularny i korzystał z otwieranych przed nim możliwości „uczestnictwa” w zdarzeniach. Nie może się tu obejść bez przykładu. Rozważmy następstwo rozdziałów II, III, IV, V. Rozdziały II i V to dialogi głównego bohatera Stanisława z Janem XXII, a rozdziały III i IV to dokumenty spisane przez Stanisława na polecenie papieża. Oba dialogi toczą się w ciągu dnia. Dokumenty Stanisław spisuje w nocy z pierwszego dnia na drugi. Oznaki czasu fabularnego rozsiane są w dialogach. O pojawieniu się pisma w miejsce mowy informują nas ślady narracji. Czytelnik, najpierw zgodnie z następstwem czasu, „podśluchuje” dialog (rozdział II), następnie zostaje zapoznany z treścią obu dokumentów (rozdziały III i IV), nie są to jednak dokumenty kompletne. Pierwszy z nich zostaje doprowadzony do zapisu, jaki Jan XXII umieścił na marginesie (zob. didaskalia odnarratorskie – s. 92, oraz trzykropek kończący ostatnie podane do wiadomości czytelnika zdanie tego dokumentu, które pewnie nie jest jego zdaniem ostatnim). Drugi z zapisów Stanisława także nie jest kompletny (trzykropek w miejsce kropki w zakończeniu ostatniego zdania – s. 113). Czytelnik zatem po „podśluchaniu” dialogu z rozdziału II ustawia się jakby za plecami czytającego papieża i czyta razem, i „równocześnie” z nim. Nie może zapoznać się z dalszą częścią dokumentów, gdyż nie zdążyłby zająć dogodnej pozycji do podśluchiwania dialogu (rozdział V). Dokument (z rozdziału IV) kończy się słowami: *Wy: – Pewnyś tego?...*, a rozdział następny rozpoczyna się bezpośrednio nawiązaniem do tych słów, tak jakby Jan XXII prze-

rwiał czytanie i przechodził do rozmowy ze Stanisławem, czytelnik więc także – zgodnie z zasadą przestrzegania *mimesis* percepcji – doczytuje tylko do tego momentu tekstu, by zacząć słuchać rozmowy. Domysł ten przeradza się w pewność wówczas, gdy przypomnimy sobie, że w rozdziale II papież oświadcza Stanisławowi: *Idź. Pisz. Wychodzić nie próbuj, jeśli nie usłyszysz wezwania: „Wyjdź”. Bo choćbyś chciał nawet – nie wyjdiesz. Zamknie się ciebie na klucz* (s. 67). Czytelnik wraz z niemym narratorem może przysłuchiwać się dialogom i może jakby „niepostrzeżenie” czytać postaci „przez ramię”, nie może jednak przedostać się do miejsca odosobnienia, w którym postać została zamknięta. Gdyby było inaczej, tzn. gdyby czytelnik mógł „podglądać” Stanisława przy pracy, wówczas zapoznałby się z pełnym brzmieniem obu tekstów.

Jeżeli w tym kontekście rozważyć rozdział X, to okaże się, że mamy tu do czynienia z sytuacją podobną. Teksty dane Stanisławowi do skomentowania przez mistrza Giraldua (człowieka z bliskiego otoczenia papieża), dopiski Stanisława, Giraldua i Jana XXII czytelnik otrzymuje jakby w komplecie i może się z nimi zapoznać przed rozpoczęciem krótkiego dialogu (tekst mówiony), którego „podsluchanie” stanowi ostatnią część tego rozdziału. Czynności „redakcyjne” niemego narratora dokonane są na czytelniczy użytek z punktu widzenia owego „nazajutrz” wobec czasu organizującego pisarsko-komentatorską działalność postaci. „Tu i teraz” narratora jest tożsame z „tu i teraz” rozmawiających Giraldua i papieża, a pojawiające się w tym rozdziale didaskalia wprowadzające dystans narracyjny sytuują narrację bardzo blisko świata zdarzeń. Gdyby opisany tu chwyt nie ulegał w dalszych partiach tekstu modyfikacjom, niemy narrator byłby bliższy powieściowej postaci aniżeli opowiadaczowi zdystansowanemu wobec przedstawienia. Można by wówczas mówić o podwójnej kondycji postaci narratora jako bohatera swej własnej opowieści. Przedstawiające medium przedstawiałoby siebie obecnego w świecie zdarzeń, inaczej jednak niż w narracji pamiętnikarskiej, zachodziłaby równoczesność czasu przedstawienia i przedstawiania, toteż niemy narrator należałby zarazem do świata fabuły i był wobec niego zewnętrznym. Narrator nie należy jednak – wbrew pozorom – do świata

zdarzeń, prezentuje on bowiem czytelnikowi pewną historię. Wypozazony w kompletną wiedzę o tej historii – niemożliwą, bo uprzednią wobec przebiegu zdarzeń – dopiero umieszcza się w terażniejszości owego przebiegu. Mówiąc inaczej: narrator jakby „z góry” wie, które zdarzenia wybrać i przedstawić, aby opowiedzenie historii stało się możliwe. Konstrukcja taka budzi zdziwienie, ponieważ z logicznego punktu widzenia jest niemożliwa. Przecież nie da się określić przebiegu zdarzeń, a co ważniejsze – ich fabularnej ważności, zanim zdarzenia te nie nastąpią.

Dopiero w świetle niniejszych spostrzeżeń ujawnia się wszechwiedza narratora, jak i uprzedniość zdarzeń wobec (niemej) narracji, która próbuje nie tylko zatrzeć ślady klasycznego dystansu narracyjnego, ale wręcz odwrócić schemat następstwa (czas fabuły późniejszy wobec narracyjnego rozpoznania zdarzeń). Przeprowadzone powyżej zestawienie, a także pojawiające się w dalszych partiach tekstu manifestacje narracji przywracają ugruntowany w czytelnicznym doświadczeniu schemat porządku czasów w utworze. Zresztą narratorska wszechwiedza ujawnia się, zanim jeszcze zostaną wprowadzone manifestacje narracji, a mianowicie we wspomnianym już rozdziale X: *Jan diakon, czyli Stanisław (wolniejszym czując się, gdy po osobną sięgnął kartę, poniechawszy dopisywania na marginesie)* (didaskalia – s. 225).

Aby dokonać owej rekonstrukcji postaci narratora, trzeba na konkretnych przykładach prześledzić jej sposób zjawiania się w tekście *Robotników wezwanych o jedenastej*. Powieść rozpoczyna się czytelnym i – jak można powiedzieć – klasycznym dla powieści historycznej zdaniem narratora, określającym czas i miejsce akcji. Rozpoczyna się rodzaj gawędy o bardzo dawnych czasach:

W roku tysiąc pięćdziesiątym dziewiątym, w wigilię uroczystego dnia świętego Jakuba i męczennika, sędziwy arcybiskup Krakowa Aron przy płynął wielką łodzią z prądem Wisły do Sandomierza. Z zapadnięciem wieczora – jak zwykle w ciągu ostatnich kilku lat – kazał wraz ze światłem przynieść też przybory piśmienne do poczekalni.

Narrator zdaje się panować nad zdarzeniami, nie pozostawia czytelnikowi wątpliwości, co do szczegółów wieczornej codzienności Arona, wyjaśnia zresztą od razu, dlaczego starzec swą komnatę sypialną określa mianem poczekalni (s. 9–10). Opisuje zwykłą w takich przypadkach krzątanie służby, a następnie wprowadza wypowiedzi rozmawiających Arona i Stanisława. Chociaż jest mu dostępna wiedza na temat przechodzenia rozmówców z języka na język (łacina, potem greka, saksoński, znowu łacina), zdaje się jednak nic nie wiedzieć na temat przyczyn owych przeskoków⁵². Z poczynionych tu już wcześniej uwag można się domyślać ich przyczyn: rozmawiający obawiają się podsłuchujących, zresztą słusznie, bo w Sandomierzu znajduje się sporo osób bardzo zainteresowanych toczącą się rozmową. Osoby te bez wątpienia nie śpią w czasie trwania dialogu Arona ze Stanisławem, a później z Łukaszem. Tymczasem kilka stron dalej narrator informuje, że:

[...] dłuższą chwilę ciszy nocy upalnej, jaką osnuł się śpiący (poza nimi dwoma, a może jeszcze i poza biesiadnikami jakimiś dworskimi) Sandomierz, zakłócił nie [Aron], lecz rozmówca jego.

(s. 28)

Jest to pierwsza fabularna „omyłka” narratora powieści. Będzie miał ich w jej dalszym toku jeszcze sporo, ta jedna wszakże wystarczy dla potrzeb opisowych. Czytelnik nie może zaufać narratorowi, winien podać w wątpliwość jego informacyjną rzetelność. Cóż bowiem w przeciwnym razie uczyni z – cytowaną już wcześniej – informacją o zgromadzonych w Sandomierzu osobach politycznego dramatu,

52 Warto w tym miejscu jeszcze raz podkreślić ważność „stworzenia” przez czytelnika tekstu historii. Szymutko pisze: „Tekst historii nie jest równoległy do toku narracji, nie powstaje wraz z dotarciem do jej zakończenia [...]. Ściśle związana z tokiem narracji jest natomiast problematyka języka. W jej sąsiedztwie najbardziej prawdopodobny tekst historii (tekst badacza) występuje w funkcji przedmiotu działań językowych, staje się substytutem rzeczywistości” (ZP, s. 127). Nie mając w pamięci intryg oplatających ostatnie godziny Arona, czytelnik nie rozumie wzmianek narratora na temat języków, którymi w rozmowie posługują się bohaterowie.

niecierpliwie oczekujących na przedśmiertne decyzje w sprawach związanych z obsadą krakowskiego arcybiskupstwa?

Narrator w *Robotnikach wezwanych o jedenastej* sprawia wrażenie wszechwiedzącego, jak jednak ilustruje powyższy przykład, skonstruowany jest w taki sposób, że jednocześnie stanowi kpinę z metafizycznej kategoryczności tej kategorii⁵³. Przysługuje mu jeszcze jedna istotna rola, zresztą wypełniająca większość odnarratorskich wypowiedzi. Jest nią relacja zorientowana wewnątrz umysłu postaci. Podlega temu wszystkiemu, na co wydana jest postać zanurzona w złożoności: tak samo jak ona błądzi, myli się, fałszywie wnioskuje itd. Przede wszystkim nigdy nie usiłuje prostować błędnych wniosków, przychodzących bohaterom do głowy.

W powieści Parnickiego rola narratora polega przede wszystkim na ogarnięciu przestrzeni, w mniejszym stopniu na trafnym przedstawieniu poszczególnych wątków. Narrator „nie myli się”, gdy informuje o miejscu zdarzeń, jego przestrzenne wędrówki ogarniają Europę, Azję, Grenlandię, Amerykę Północną i Łacińską. Nie sprawiają mu trudności podróże w przestrzeni i czasie⁵⁴. Pomyłki zaczynają się wówczas, gdy usiłuje wypowiedzieć zdarzenie, jego sens czy istotę po jego uprzedniej lokalizacji. Być może tak ukształtowany narrator oznacza kpinę z narracji historiograficznej, która znacznie lepiej radzi sobie z datowaniem i umieszczaniem w przestrzeni opisywanych faktów, znacznie trudniej natomiast przychodzą jej próby dociekania zarówno sensu zdarzeń, jak i roli w nich poszczególnych ludzi, którzy owe zdarzenia przeżywali i współtworzyli.

Analizując powyżej motyw gwałtu na Przecławie, mówiliśmy o „gatkowości” opisu historycznego (tekst objawienia, tragedia, kome-

53 Narratora u Parnickiego Szymutko nazywa kpiarzem. Por. rozdział *Otwarcie narracyjne: rola wątku erotycznego i narrator kpiarz* w: S. SZYMUTKO: *Zrozumieć Parnickiego*. Katowice 1992.

54 Przykładowo, na s. 170–171 trzykrotnie dochodzi do przeskoku: najpierw narrator relacjonuje pewne poglądy Łukasza wypowiedziane w mowie pozornie zależnej – doszedł do nich Łukasz najpewniej podczas pobytu w więzieniu, potem następuje wprowadzenie dialogu Łukasza ze Stanisławem w tymże więzieniu w Kijowie w roku 1057, po chwili odbywa się przeskok ku zdarzeniom konstantynopolitańskim z roku 1042.

dia). Teraz z kolei, przy okazji omawiania kategorii narracji w powieści, dochodzimy do stwierdzenia, z którego w połączeniu z poprzednim, można wysnuć konsekwencje o wysokiej świadomości narratywizmu historiografii, która objawia się w omawianej twórczości⁵⁵. Parnicki stwierdza niejako, że historiografia znacznie lepiej radzi sobie z narracją przygodową i podróżniczą, niż z psychologiczną czy zorientowaną egzystencjalnie. Pisarz nie rezygnuje z dwu pierwszych⁵⁶, ale stanowią one raczej punkt wyjścia całego projektu, dwa kolejne typy narracji (psychologiczna i egzystencjalna) stanowią – tak można je potraktować – narzędzia służące przekroczeniu zastanego paradygmatu gatunkowego powieści historycznej (zwłaszcza silnie oddziałującej na Parnickiego tradycji Sienkiewiczowskiej⁵⁷), punktem dojścia jest, oczywiście, powieść dziejowa, z jej nowym rodzajem literackości. Cały czas pozostajemy w obrębie paradygmatu genologicznego.

Słowem: u Parnickiego znajdujemy, wypowiedziane w języku literatury, tezy Haydena White'a, i to wypowiedziane w czasach, zanim się jeszcze pojawiły w tekstach tego uczonego, jednak Parnicki podejmuje też – jak się wydaje – w pełni udaną próbę ich przezwyciężenia⁵⁸. Autor *Tylko Beatrycze* znakomicie zdawał sobie sprawę z faktu, że historia w jej zjawianiu się ku nam albo raczej w jej ku nam przytaczaniu się podlega prawom tekstu (retoryzacji, tropizacji, metaforyzacji, strukturom gatunkowym itd.). Wiedział jednak, że historia taka jest

55 Tak popularny, a co gorsza traktowany jak rewelator historiozofii Hayden White miał w swym myśleniu licznych antenatów, by wymienić dziewiętnastowiecznego Teodora Droysena czy – ulubionego przez Parnickiego – Arnolda Toynbee'a.

56 Por. np. zdarzenia związane z wywiezieniem przez Arona z Anglii sierot po królu Edmundzie Żelaznobokim, motyw poszukiwania Arona przez Tymoteusza czy wyprawę Stanisława ku wybrzeżom Ameryki Północnej.

57 Nie rozwijam tu tego tropu, ponieważ analizowana powieść nie daje ku temu dostatecznie mocno zaznaczonych intertekstualnych powodów. Nie czyni tego w takim stopniu, jak IV i V tom *Nowej baśni* czy *I u możliwych dziwny*, gdzie pojawia się postać Onufrego Zagłoby. Problem ten zresztą doczekał się już pierwszych komentarzy. Por. R. KOZIÓŁEK: *Co to jest Z? Postać literacka w przestrzeni intertekstualnej Parnickiego „I u możliwych dziwny”*. „Pamiętnik Literacki” 1994, z. 1.

58 Por. na temat koncepcji White'a: J. TOPOLSKI: *Jak się pisze i rozumie historię. Tajemnice narracji historycznej*. Warszawa 1996, s. 80–85.

zawsze nietożsama z dziejowością bytów, które były. Narrator historyczny (historiograficzny) przemawia jak narrator wszechwiedzący (Bóg w monoteistycznej religii), który z punktu widzenia opisywanego „teraz” posiada pełną wiedzę o „później”, które dopiero się stanie – w miarę narastania opowieści – opisywanym „teraz”. Narracja taka rozwija się zawsze pod dyktando założonego dla danej opowieści teleologicznego zamknięcia. Owa przygodna teleologia narracji stanowi nadrzędny punkt odniesienia narracyjnych działań historyka, według których opowieść się organizuje i na które również orientuje się.

Tymczasem narrator Parnickiego nigdy nie przekracza kwantum wiedzy poszczególnych postaci. Umieszcza zdarzenie w przestrzeni (w niektórych przypadkach także w czasie), a dalej pozwala mu się toczyć albo w dialogu, albo w przypomnieniu postaci. Postać musi najpierw „przeżyć” zdarzenie, aby dopiero z tej perspektywy mogła je pod jakimś kątem rozważać, o czym czytelnik dowiaduje się zazwyczaj w mowie pozornie zależnej⁵⁹. Narratorska aktywność przychodzi w nieustannym „po”, nigdy nie przygotowuje zdarzenia przed wkroczeniem w nie postaci, jedynie wyznacza czas i miejsce.

Strategię tę ujawniają już pierwsze strony powieści. Narrator wprowadza na scenę dwie postaci, określa czas i miejsce akcji, by natychmiast płynnie przejść do relacji z punktu widzenia bohatera zanurzonego w owej sytuacji. Aron, gdy widzi po raz pierwszy Stanisława, myśli – informuje nas o tym narrator w mowie pozornie zależnej – że *nie musiała to być osoba duchowna, ale mogła* (s. 10). O tym, że są to spostrzeżenia Arona, dowiadujemy się we wcześniejszym zdaniu, gdzie wprost informuje nas o tym narrator poprzez wtrącenie: *Arona mniemaniem*. Dopiero w toku rozmowy dowie się arcybiskup krakowski, iż Stanisław posiada święcenia. Narrator wątpi w to niejako za Aronem, w przeciwnym razie, gdyby był wszechwiedzący, nie sygnalizowałby wątpliwości („nie musiała”, „mogła”). Narracja nie wyprzedza percepcji postaci. Jest to strategia konsekwentnie przestrzegana w ca-

59 Kategorię mowy pozornie zależnej rozumiem tu dosyć szeroko, w sposób, w jaki definiuje ją Michał GŁOWIŃSKI w książce *Powieść młodopolska*. Kraków 1997, cz. IV: *Przekształcenia powieści realistycznej: pozycja narratora*.

łej powieści. W tymże rozdziale I, gdy narrator zdecyduje się wzbogacić dialog dodatkową informacją, pomyli się.

Postać, pozornie zdana na „wolę” narratora, nabiera wielkiej samodzielności. Nie dość, że narrator błądzi tak samo jak ona, to na dodatek na zdarzenia spogląda z jej punktu widzenia. Posiada wiedzę o tym, co zdarzyło się wcześniej wobec aktualnego „teraz” przebiegu zdarzeń, przebiegu tego jednak nie może wyprzedzić. Czas przyszły niektórych jego wypowiedzi sterowany jest nadrzędnym czasem przeszłym struktury, przypominanie i rozważanie przeszłego zawsze jest bowiem dawniejsze wobec aktualności wspominającego i rozważającego (czyli właśnie postaci).

Narrator w powieści Parnickiego jest wielorako ograniczony. W pierwszej instancji ogranicza go zastana (zapisana, przechowana, opisana) historyczność. Wszak pamiętamy: to jest początek pisania. Przykładowo, narrator nie może twierdzić, że Bolesław Chrobry nie zdobył i nie złupił Kijowa w 1018 roku, ponieważ historia nie przynosi informacji, która mogłaby zakwestionować ten fakt. Narracyjny *quasi*-sąd nie może pozostawać w sprzeczności z sądem historiografii (przekazem źródłowym). Modelowanie tekstowej rzeczywistości nie może zaprzeczyć faktowi historycznemu, którego horyzontem jest ostatecznie miniona rzeczywistość (przypomnę: Parnicki uważa się nie za twórcę, lecz za „dotwórcę”). Modelowanie może zachodzić jedynie pomiędzy twardymi faktami historii, w przestrzeni, w której historia milczy. Tak usytuowany wobec swego tworzywa narrator, w dalszej kolejności traci wszechwiedzę, a wypowiedziany przezeń *quasi*-sąd weryfikujemy, opierając się na słowie postaci (cały czas mam na myśli przykład z omówioną wcześniej pierwszą w linearnym przebiegu powieści narratorską omyłką). Jeżeli zatem przyjmujemy, że wypowiedź bohatera – jak podpowiada Ingarden – jest sądem podlegającym prawdziwościowej weryfikacji w zakresie świata przedstawionego, to co począć w sytuacji, w której sąd postaci weryfikuje sąd narratora? Co się tu relatywizuje? Najprawdopodobniej kategoria świata przedstawionego. Pamiętamy, że Parnicki usiłuje przekroczyć kategorię przedstawienia i wprowadza koncepcję mediacji, odesłania poza. Owym poza jest to, co nazwaliśmy – modyfikując nieco kategorię

tekstu historii wprowadzoną przez Szymutkę – tekstowo-nietekstową przestrzenią dziejowości, której stworzenie jest warunkiem porozumienia z dziełem. To właśnie w jej, zawsze niepewnych, ramach prawdziwościowej weryfikacji podlega zarówno wypowiedź narratora, jak i wypowiedź postaci. Odtąd zarówno narrator, jak również postać literacka może „być szczerą i naprawdę sądzić” (ODL; por. cyt. wyżej), może także kłamać, wypowiadać sąd fałszywy, który podlega takiej weryfikacji i w przypadku, gdy postać czyni to umyślnie, i wtedy, gdy czyni to nieumyślnie (z niewiedzy, zapomnienia, zmęczenia, bólu itd.).

Podsumowując, wypowiedzi narratora nie przedstawiają świata przedstawionego. Razem z wypowiedziami postaci, składają się na komunikat, który – powtórzmy – swój przedmiot sytuuje poza przestrzenią tekstu, a zatem poza przestrzenią przedstawienia. Między tekstem a owym nieosiągalnym przedmiotem dziejów, w miarę wysiłku czytania, pojawia się wspomniana tekstowo-nietekstowa przestrzeń dziejowości (zakorzeniona w tekście utworu i wychylona ku przedmiotowi dziejów, rozpięta między jednym i drugim). Pisałem wyżej o tym, że lektura fortunna nie wyklucza lektury bardziej fortunnej. Teraz można dookreślić to stwierdzenie. Jeśli ta przestrzeń pozwala na prawdziwościowe zweryfikowanie każdego słowa powieści, bez względu, czy wypowiedział je narrator, czy postać, wtedy dopiero możemy mówić o ideale lektury fortunnej, który – jak poucza doświadczenie czytania Parnickiego – jest niesłychanie trudny do osiągnięcia, jeśli w ogóle okazuje się możliwy.

Wypożyczeni w dotychczasowe wnioski, możemy teraz zastanowić się, jak staje się możliwe przekroczenie *quasi*-realności jako nadrzędnej ramy literackości, które dokonuje się w projekcie powieści dziejowej. Jak poprzednio, tak i tym razem podpowiedzi możemy poszukiwać w rozważaniach Romana Ingardena:

[Jeżeli] stan rzeczy zostaje rozwinięty przez zdanie (twierdzące o charakterze *quasi*-sądu) jako „zachodzący”, ujawnia się w nim *eo ipso* w sposób potencjalno-aktualny przedmiot X wraz z przypisaną mu w zdaniu własnością A (ewent. jako spełniający odpowiednią czynność). W tym jego

potencjalno-aktualnym pojawieniu się uwidocznia się to, że jako przedmiot wyposażony we własność A konstytuuje się na gruncie danego stanu rzeczy. I gdy zdanie jest zdaniem twierdzącym (choćby nawet tylko o charakterze *quasi-sądu*), to spodziewa się ono niejako po przedmiocie X, że jest już wyposażony we własność A, „zanim” zostaje jako taki ujęty w zdaniu. Skoro zdanie jest już niejako gotowe i gdy po nim następuje inne zdanie, wówczas przedmiot X(A) pojawia się jako taki, który dany stan rzeczy jedynie odsłonił, przedstawił, jakkolwiek w obrębie dzieła literackiego jest on dla przedmiotu tym, co go konstytuuje, określa.

(ODL, s. 251)

Mamy zatem w dziele literackim do czynienia z pozorną uprzedniością pewnego stanu przedmiotu lub czynności przedmiotu w stosunku do przedstawienia. Pozór uprzedniego nacechowania lub czynności bierze się stąd, że to właśnie tylko i wyłącznie przedstawienie konstytuuje ów przedmiot i określa go, co do cechy lub czynności, ponieważ przedmiotu tego nie ma nigdzie poza przedstawieniem. Wartość Ingardenowskiego spostrzeżenia polega w szczególności na odkryciu owego pozornego istnienia wyprzedzającego literackie zjawienie. Można przypuszczać, że Parnickiego mógł zainteresować ten trop oraz, że – jak obserwowaliśmy to w poprzednio rozważanych elementach koncepcji Ingardena – znów pisarz znacznie przeformułował i przekroczył ten właśnie element koncepcji fenomenologa. Pytanie: Jak i w którym kierunku?

Przedmiot, np. postać literacka, nim pojawi się w tekście Parnickiego, posiada dwa nawarstwiające się i ontologicznie nierównocenne miejsca zakorzenienia. Pierwszym jest niepowtarzalne i jednokrotne zjawienie w dziejach, drugim – tekstowy byt w źródle historycznym (może nim być np. kronika lub rocznik, może także napis nagrobny, tablica pamiątkowa, podpis pod dziełem sztuki, ale też – co komplikuje sytuację – brak podpisu pod dziełem, podobizna, np. na monecie), który w dalszym ciągu podlega przepisywaniu i różnicowaniu w obrębie historii pisanej. Pamiętamy: drugi z tych rodzajów jest

codziennością „historiomana”, pierwszy – jego marzeniem i ostatecznym horyzontem myślenia i pisania⁶⁰.

Parnicki niejako odwraca porządek. Jedynym prawdziwym, a nie pozornym, obiektywnym istnieniem przedmiotu jest jego dziejowe istnienie podmiotowe i cielesne. Byt w obrębie historiografii jest istnieniem pozornym, którego pozorność Parnicki próbuje przekroczyć w ramach powieści dziejowej.

Nastawienie takie zmusza pisarza do nieustannego odkrywania pozajęzykowych porządków rzeczywistości opartych o zasadę dzieziczności⁶¹, niepowtarzalny rozkład atomów w przestrzeni⁶², biologiczność żyjącego i starzejącego się ciała⁶³, czas upływający dla wszystkich jednakowo, mimo posługiwania się różnymi kalendarzami⁶⁴, odległości w przestrzeni, które przemierza się z taką tylko szybkością, na jaką one rzeczywiście pozwalają (czy raczej pozwalały

60 Okazuje się, że nie tylko myślenia i pisania, ale także życia, czego dowodzi *Opowieść o trzech Metysach* (Warszawa 1994), gdzie pisanie i życie to jedność: pisze się do momentu, do którego ciało na to pozwala (z fragmentów dziennika pisarza dołączonego do tego wydania wynika, że Parnicki powieść tę pisał, mimo że nie był w stanie czytać własnego rękopisu). Por. na temat tej powieści: K. UNIAŁOWSKI: *Człowiek, który był pisanie*. W: IDEM: *Skądinąd*. Bytom 1998, a także mój szkic *Nęcący pomysł pisania o „Opowieści o trzech Metysach”*. „Dekada Literacka” 1995, nr 3.

61 Bardzo wiele miejsc w powieści potwierdza to spostrzeżenie, genealogia jest w niej czymś niezwykle istotnym. Przypomnijmy np. fragment dotyczący pochodzenia Hamleta: *Geruty jesteś potomkiem? Chyba z nasienia Fenga bratobójcy, bo z Horwendylem miała Hamleta tylko... [...] Hamlet to Igora siostrzeniec, więc mój [...] cioteczny prapradziad* (s. 134).

62 Znow można by wskazać bardzo wiele miejsc w powieści, może nawet twórczość Parnickiego w całości. Pozostawmy jednak przy przykładach już omówionych i interpretowanych. Wydaje się, że drobiazgowość wręcz mikrofizyczna w wyznaczaniu przestrzennego kształtu sceny kijowskiego gwałtu dobrze ilustruje powyższe spostrzeżenie.

63 Dobłą ilustracją tego spostrzeżenia wydaje się omówiony już przykład Łukasza Żydzięty, proponujemy jednak jeszcze jeden – lapidarny i wyrazisty: [...] *umierający Bolesław [Chrobry] charczał, łykając [pychę] wraz z resztkami wyznaczonego mu przez los powietrza życiodajnego* (s. 153).

64 Te same zdarzenia można lokalizować wedle różnych rachub czasu. Oto fragment dialogu Łukasza, stosującego kalendarz żydowski ze Stanisławem posługującym się kalendarzem łacińskiego Zachodu: [...] *jeśli istotnie Tymoteusz to pisał [...] do Teodory w roku... / ...sześć tysięcy czterdziestym... / – Mów, skoro łaciny uczysz się, w tysiąc trzydziestym drugim...* (s. 175).

z punktu widzenia dostępnych wówczas środków podróżowania)⁶⁵. Pomimo wszelkich językowych uwikłań podmiotu zanurzonego w świecie, wymienione wyżej porządki rzeczywistości stanowią nieprzekraczalne ramy jego egzystencji: jest to jego czas życia i jego przestrzeń życia. Stąd w powieściach Parnickiego tak wiele wagi przywiązuje się do mieszania się genów, czyli pochodzenia, do osób matki i ojca, stosunków rodzinnych, stąd w nich taka skrupulatność w oznaczaniu czasu i przestrzeni, stąd fragmenty porażające swoją naturalistyczną biologicznością, stąd – męcząca często czytelnika – szczegółowość, wręcz hiperdokładność śledzenia przez powieść poszczególnych zdarzeń w ich przestrzennym i temporalnym ustruktrowaniu, stąd także ważność naocznego i zmysłowego doznawania świata przez postaci.

Na takie przekroczenie – o czym już wyżej pisałem – nie pozwalała tradycyjna powieść historyczna, stanowiła ona bowiem jedynie pozór pozor, nadprzedstawienie wobec przedstawienia historycznego.

Jak jednak przekroczyć pozór istnienia i osiągnąć (spróbować osiągnąć) niepowrotnie minione istnienie w dziejowości, jak je odzyskać, mając do dyspozycji jedynie tekst, więc tworzywo skazane na uobecnianie pozoru obecności w przedstawieniu? Wszak przekonanie o niegdyś istniejącym realnym byciu osób, które dziś dostępne są nam tylko tekstowo jeszcze nie wystarcza, a o przekroczeniu tekstowości w żadnym razie stanowić nie może. Wydaje się, że dotychczasowe rozważania przynoszą odpowiedź na to pytanie. Przedstawiliśmy wyżej kilka strategii owego przekroczenia, które ostatecznie składają się na elementy gatunkowego paradygmatu powieści dziejowej Teodora Parnickiego.

65 Oto bardzo reprezentatywny fragment, zaczerpnięty z dialogu Łukasza ze Stanisławem: [...] *o ile istotnie ziemia jest kulą; oczywiście nie nauczono nas nigdy [...] jak długi w stadiach czy milach miałby obwód być kuli ziemskiej; jednakże choćby i najdłuższy był, choćby i dziesięciokrotnie dłużej jechać należało do ocalałego ułamku Atlantydy z Persji aniżeli z Grenlandii, porównując z sobą daty, o których chwilę temu napomknąłem, mamy podstawy uważać za całkowicie wystarczający czas dla odbycia choćby i najdłuższej, jaką w ogóle sobie wyobrazić można, podróży na ziemi – dziewięć lat* (s. 175).

Ingarden a Parnicki – konsekwencje

Podsumujmy przeprowadzone dotąd rozważania. Wymieńmy omówione dotąd założenia i strategie pisarza. Wyposażeni w tę wiedzę będziemy mogli powrócić do motywu, który został wprowadzony na początku tej części pracy, a mianowicie do motywu Hamleta oraz sposobu, w jaki pojawia się on na kartach powieści dziejowej.

- Wybór gatunku granicznego ze względu na najmniejszy stopień zawieszenia asercji sądów pojawiających się w obrębie komunikatu.
- Przekroczenie modelu literatury przedstawiającej w kierunku literatury rozumianej jako mediacja między historią o dziejowością. W ramach tej strategii dokonuje się odejście od tradycyjnego modelu powieści historycznej i wypracowanie koncepcji dwóch przestrzeni: zamkniętej dzieła i otwartej tekstowo-nietekstowej przestrzeni dziejowości.
- Oparcie literackości na zasadzie opozycji prawda / fałsz; literatura według Parnickiego ma być prawdziwa.
- Rola ciała zanurzonego w dziejowości, przy czym ciała, które mówi. W tym miejscu z całą mocą objawia się dziejowa doniosłość imienia własnego oraz fakt, że rzeczownik niejako domaga się rzeczy (przedmiotu, ciała). Objawia się tu także problem niejęzykowo-językowego oraz tekstowo-nietekstowego bycia w świecie.
- Taki stopień komplikacji tekstu utworu, który – burząc ciągłość przedstawienia – odsyła do pewnej precyzyjnie wyznaczonej, dziejowościowo złożonej rzeczywistości.
- Przekroczenie definitywnego postulatu czysto intencjonalnego przedmiotu, poprzez założenie o jego prymarnej nietekstowości w jednokrotnie dziejowym byciu.
- Redukcja narratora do roli organizatora tekstu, który konstruuje jego przestrzenne i czasowe rozcłonowanie, a także rezygnacja z przypisanej mu tradycyjnie roli medium przedstawiającego świat przedstawiony, co – wraz z zakwestionowaniem jego faktograficznej nieomyślności – prowadzi do przekroczenia ostrej opozycji: realność rzeczywistego świata – *quasi*-realność świata wewnątrz-literackiego.

- Ontycznie pierwotne zakorzenienie postaci poza literackim komunikatem oraz próba odzyskania go właśnie w owej przestrzeni „poza”.
- Poszukiwanie za pośrednictwem tekstu pozatekstowych (niejęzykowych) porządków rzeczywistości.

Parnicki oparł swoją koncepcję dzieła literackiego – tak przynajmniej sądzę – na takich właśnie filozoficznych przesłankach. Wysoce prawdopodobnym dostarczycielem elementów składających się na tę koncepcję, które oczywiście jej twórca w każdym miejscu przekroczył, był Roman Ingarden ze swą teorią dzieła literackiego. Wspomniane przekroczenia Ingardenowskich teorematów dokonały się systemowo, co sprawia, że dziejowa powieść Parnickiego przekracza fenomenologiczną teorię, jednocześnie pozostając blisko niej. A może nawet i więcej da się już teraz powiedzieć. Proponuję w tym miejscu tezę, której dowodzić nie będę.

Otóż być może Parnicki, rozwijając teorię Ingardena, zachował dzięki temu przekroczeniu dla koncipowanej przez siebie nowej literackości możliwość zmierzenia się z podstawowymi pytaniami fenomenologii, o których wspominałem już w niniejszych rozważaniach.

Pisarz z poszczególnych punktów teorii autora *Sporu o istnienie świata* wyciąga najdalsze, ostateczne konsekwencje. Czyni to często wbrew czytelnej intencji Ingardena, ale jakby w bliskości pewnych potencjalności rozproszonych w tekście filozofa. To, co w tekście *O dziele literackim* funkcjonuje jako nieciągłość, aporia, zaburzona symetria opozycji, staje się dla Parnickiego punktem wyjścia, przejścia i przekroczenia.

Parnicki rozróżniał najogólniej dwa typy lektury czy raczej czytelniczego nastawienia. Otóż według niego można było być albo czytelnikiem, albo „kartkowiczem”⁶⁶. Czytelnik był dla pisarza kimś, kto

66 Nie mam tu na myśli jakiegś pogłębionej specjalistycznymi rozważaniami teorii lektury. Piszę o prywatnej nomenklaturze pisarza, którą zachowują jego dzienniki, opublikowane, jak dotąd, jedynie w skromnych fragmentach, zapewne z powodu ich małej atrakcyjności dla szerszego kręgu czytelników, zdają one bowiem sprawę jedynie z lektur pisarza i z wymiany korespondencji. Parnicki w króciutkich wzmiankach notuje, co czyta, od kogo otrzymał list lub do kogo napisał. Amatorzy plotek muszą być rozczaro-

czyta hiperuważnie, podejrzliwie, tak, aby spełnić Nietzscheański ideał czytelnika-krowy, który przeżuwa oraz trawi czytany tekst żmudnie i powoli⁶⁷. „Kartkowicz” natomiast był kimś, kto zaledwie ślizga się po powierzchni tekstu. Sposób, w jaki Parnicki przeczytał Ingardena (rzecz jasna – jako czytelnik, a nie jako „kartkowicz”), pozwala na pewne uogólnienie dotyczące, z jednej strony, podejścia pisarza do lektury historiograficznego materiału (zapewne każdego tekstu bez wyjątku, a zatem przede wszystkim literackiego – najbardziej chyba konsekwentnym i efektywnym tego przykładem w dorobku Parnickiego jest powieść *I u możliwych dziwny* z bohaterem Onufrym Zagłobą z czasów, nim pojawił się w gospodzie Dopuła w *Ogniem i mieczem*), z drugiej strony – do namysłu nad projektowanym czytelnikiem powieści dziejowej. Mamy oto do czynienia z interesującą sytuacją: sposób, w jaki Parnicki czyta rozprawę Ingardena, „uczy” nas niejako lektury jego powieści oraz daje wgląd w ogólną strategię podejścia pisarza do wszelkich tekstów, które czyta, a nie kartkuje.

Pamiętamy powieściowe rozwinięcie wzmianki z *Kroniki polskiej* o gwałcie Chrobrego popełnionym na Przecławie. Parnicki jako czytelnik Galla postawił pytanie o dziejową złożoność tego zdarzenia,

wani, skoro pisarz w dniu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce w 1981 roku w ogóle niczego nie odnotował, w dniu następnym (14 grudnia) zaś pisze: *W dniu tym czytałem po raz trzeci [...] rozdział „The Heritage of Alexander” (o diadochach Aleksandra Wielkiego w latach 323–301) w rozdziale mianowicie XV w tomie VI Cambridge Ancient History (Lektury Teodora Parnickiego. Wyjątki i wyimki z Dzienników z lat 1980–1984 oraz 1987 i 1988. Wybór W. SĄDKOWSKI. „Literatura na Świecie” 1993, nr 1–2–3, s. 444). W interesującej nas sprawie Parnicki pisze: [...] był ze mnie przy lekturze Ojca Goriot raczej jednak „kartkowicz” niż naprawdę czytelnik (Ibidem, s. 430); A w ogóle go raczej kartkowałem, niż naprawdę czytałem (Ibidem, s. 432); Całą powieść Briusowa Ognisty anioł – czy przeczytałem? Nie, w ciągu godzin popołudniowych i wczesnowieczornych, uważnie dość „przekartkowałem”! (Ibidem, s. 433); Nie czytałem, ale „kartkowałem” angielski przekład cyklu powieściowego Tomasza Manna Józef i jego bracia. [...] członu trzeciego (Józef w Egipcie) uczciwie (czyli w całości uważnie) nie czytałem nigdy! (Ibidem, s. 436).*

67 Por. F. NIETZSCHE: *Z genealogii moralności*. Przeł. L. STAFF. Warszawa 1990, s. 12. Nietzsche pisze tam: „Oczywiście, aby w ten sposób uprawiać czytanie jako sztukę, konieczne jest przede wszystkim jedno, czego się dziś w najlepsze zapomniało [...], do czego trzeba być prawie krową, a w każdym razie nie »człowiekiem współczesnym«: konieczne jest przeżuwanie [...] [wyróżn. autora]”.

a następnie ukazał ją z kilku perspektyw, w dalszej kolejności problematyzował niejasną kwestię autorstwa kroniki. Nie zadowoliło go w tym zakresie „nie wiem” historii, ponieważ rzeczywisty autor tej kroniki pojawił się, musiał się pojawić w dziejach. Na tym polega „dotwórstwo” Parnickiego, które przebiega poza historią (w przestrzeni jej „nie wiem”) w odpowiedzi na niepokój świadomości dziejów podległych redukcjonistycznej historii. Autor *Słowa i ciała* czyta Galla podejrzliwie, pyta bowiem i poszukuje istoty zdarzenia, przekaz źródłowy traktując za ledwie jako punkt wyjścia i wyzwanie. Pojawiające się w nim imię własne „Przeclawa” zmusza go do myślenia, wyobrażania sobie tamtej, żywej, cielesnej, czującej i myślącej Przeclawy, którą gwałcił polski książę w Kijowie.

Od zapisu do odnalezienia pozatekstowego biegnie droga bez końca, ale na drogę tę skierowuje czytelnika podejrzliwość wynikająca ze świadomości jakościowej i ilościowej różnicy między przekazem o zdarzeniu a samym zdarzeniem. Natomiast w szerszym zakresie zasadę tę można uogólnić tak, że Parnicki jako czytelnik zawsze pyta o ukryte pozatekstowe, pisanie bowiem posiada swą dziejowość, a tekst, zakrywając ją, jednocześnie przechowuje jej ślady.

Czytelnik powieści dziejowej powinien potraktować tekst Parnickiego podejrzliwie, „przeżuć” go i przeżyć, a w przeżyciu tym odzyskać ten wycinek dziejów, do którego tekst odsyła, ponieważ – jak widzieliśmy – nie przedstawia go, dziejów, które w swym pierwotnym zjawianiu się są ontologicznie zawsze pozatekstowe.

Hamlet Duńczyk – ostatnie przygotowanie

Kwestia Hamleta – bodaj najpiękniejszy literacko wątek w powieści – zawiera w sobie pytanie o prawdę, a dokładniej: o ontologiczny status tej kategorii w ramach koncepcji pisarza⁶⁸. Powiedzmy od razu i jest to teza niniejszego rozdziału: prawdziwość zostaje u Parnickiego uwi-

68 Por. na ten temat uwagi Romana Ingardena do *Medytacji karmelitańskiej* Edmunda Husserla. Ingarden zwraca tam uwagę na zawłaszczenie kategorii prawdy przez badania logiczne, jakby poza takimi badaniami było jej niejako „trudniej” istnieć i prawomocnie funkcjonować. E. HUSSERL: *Medytacje karmelitańskie*. Z uwagami krytycznymi R. INGARDENA. Przeł. A. WAJS. Wstęp A. POŁTAWSKI. Warszawa 1982, uwagi – *passim*.

kłana w dialektykę pamięci i zapomnienia, traci natomiast wymiar kategorii logicznej. W tym zakresie *Robotnicy wezwani o jedenastej* są powieścią w dorobku pisarza o tyle szczególną, że – inaczej niż w innych powieściach, które zaludniają postaci obdarzone fenomenalną, fotograficzną wręcz pamięcią – tu mamy do czynienia z bohaterem, który pamięć stracił, który „uczył się siebie dawnego” na nowo. Mam, oczywiście, na myśli Arona. Aron też jest postacią, od której wątek Hamleta w chronologii zdarzeń się zaczyna, dopiero później podchwytyją go inni: najpierw Stanisław (z przyczyn – jak zobaczymy – biograficznych, rodzinnych), potem – najsilniej – Łukasz Żydzieta (problem szaleństwa Hamleta, tzn. jego faktyczności bądź fałszywości stanie się w pewnej mierze „tematem” jego obłądu). Zacznijmy jednak te rozważania nie od kwestii pamięci, lecz od kategorii prawdy.

Kategoria prawdy, rozważana jako istotny parametr twórczości Parnickiego, pojawiła się już w dotychczasowych rozważaniach parokrotnie. Warto przypomnieć w tym miejscu jeden z tych kontekstów. Chodzi o miejsce, gdzie dokonaliśmy rozróżnienia na prawdę zdarzenia i sens zdarzenia. Wypadnie teraz nieco zmodyfikować i skomplikować tamte ustalenia.

Stwierdziliśmy (por. rozdział *Prawda, fałsz, zdarzenie*), że prawda zdarzenia jest to zdarzenie samo w obiektywności jego zjawienia się w dziejowym przemijaniu. Sens zdarzenia pojawia się natomiast w akcie nadawania zdarzeniu sensu poprzez naz(y)wanie i omówienie, i nadchodzi on w źródłowym opóźnieniu. Gwarantem tak pojmowanej prawdy zdarzenia byłaby zatem czysta naoczność, która w źródłowo opóźnionym akcie usensownienia jest zmuszona posilkować się pamięcią owej naoczności – bez zdolności pamięci takie przejście nie byłoby możliwe. Inaczej mówiąc, rzeczywistość jest zastępowana przez przedstawienie. Czy można jednak ostro oddzielić rzeczywistość od przedstawienia, naoczność od wskazywania i nazywania, rzeczywiste od językowego? Na ile prawomocnie da się orzekać o zasadniczej ontycznej odrębności obu porządków, oczywiście gdy traktuje się je z punktu widzenia mówiącego indywiduum zanurzonego w świecie swego bycia. Pamiętajmy też przy okazji o drugim kontekście, w którym w niniejszej pracy rozważaliśmy kwestię prawdy,

mianowicie o określeniu projektu literackiego autora *Nowej baśni* jako – w horyzoncie artystycznej wypowiedzi – prawdziwościowo zorientowanego na tekstowo-nietekstową i językowo-niejęzykową bezkresną przestrzeń dziejowości. W jaki sposób projekt taki obciąża powieściowe słowo?

Jak się wydaje, odpowiedzi na te pytania można poszukiwać na drodze analizy sposobu funkcjonowania pamięci, zaś jako przedmiot analizy najlepiej zapewne wybrać postać Arona – bohatera, który z pamięcią ma kłopoty i w związku z którym kwestia pamięci jest najostrej sproblematyzowana w omawianej powieści. Aron jest pod tym względem, jak się rzekło, postacią w dziele pisarza szczególną. Heliodor z *Końca*, „*Zgody narodów*”, Chozroes ze *Słowa i ciała*, Stanisław z *Tylko Beatrycze*, Stanisław Stefanowski (jak nazywa go Parnicki) z powieści tu omawianej, także wiele innych postaci – wszyscy oni realizują konwencję doskonałej pamięci. Jedyne Aron utracił pamięć (niemal utonął, wyłowiony z morza – stracił pamięć), nie pamięta siebie dawnego sprzed tonięcia i siebie dawnego się uczy, czy raczej jest przez różnych ludzi uczony (parafrazuję tu liczne zdania na ten temat zaczerpnięte z powieści)⁶⁹.

Najciekawszy i najprzydatniejszy do dalszych rozważań wydaje się tu fragment z pierwszej rozmowy Arona ze Stanisławem. W rozumowaniu Arona mieszają się różne tryby pracy pamięci, różne jej odmiany: od działających na zasadzie metonimii ciągów *signifiant*, poprzez przedstawienia prymarnie słowne zbudowane z fikcji, literatury i mitu, do naocznościowego doświadczenia świata (wszak doświadczenie jest jedną z form pamięci) spajającego rzeczywiste z tym, co „mowne”, językowe. Prześledźmy ten ciąg asocjacji.

69 W powieści czytamy: *Ktoś stracił w pewnej chwili swego życia – powiedzmy: w morzu tonąc, przecież szczęśliwie uratowany – większość władz zarówno umysłu, jak ciała. Z biegiem czasu utracił wszystkie omalże, bo właśnie tylko omalże wszystkie, nie zaś – wszystkie bez reszty. Mianowicie nigdy nie odzyskał pamięci. Nie zna siebie sprzed tonięcia, nie może więc też znać grzechów swych sprzed tonięcia* (s. 16–17 – Stanisław do Arona i o Aronie); „*Nauczył się siebie dawnego ode mnie, od pani Rychezy, od przewielebnego Hermana, od kilku innych przyjaciół dawnych...*” (s. 18 – Ello, opat w Brauweiller, do Arona).

Aron, zorientowawszy się, że stawką rozmowy jest tylko i wyłącznie polityka (konkretnie – kwestia obsady arcybiskupstwa krakowskiego po śmierci sędziwego Arona), stawia Stanisławowi ostro pytanie: „Mówcie, kto was nasłał?” (s. 22). Dalej, po krótkim dialogu, rozmowę zastąpi narracja w mowie pozornie zależnej dla której centrum orientacji stanowi świadomość Arona. W powieści czytamy:

– Łukasz. [Stanisławowi chodzi o Łukasza Żydziętę jako o tego, który go „nasłał”]

– Nie Mateusz? Szkoda. Zawsze wydawało mi się, że opis zwiędzły narodzin Pana naszego w pierwszej Ewangelii jest znacznie bardziej, jakbym miał się wyrazić? Chyba wstrząsający aniżeli...

Urwał. [...] Zaostrzała się pamięć [...]; to prawda, wciąż nie był władny przebić muru mroku, za którym znajdował się on sam, tamten sprzed tonięcia, lecz [...] kołatać nagle poczynąło w jego świadomości (jak gdyby to szła fala na morzu za falą i znów fala) coraz to więcej – z chwili na chwilę – skojarzeń pamięciowych ze słowem rzuconym chwilę temu przez [Stanisława]. Było to właśnie imię własne ewangelisty trzeciego; oddźwięk żartobliwy, ale i gderliwy zarazem „Mateusz” naturalnym więc całkowicie był skojarzeniem, lecz, jak się okazało, wstępnym tylko; ledwie sformułował starzec na czym [...] polega wyższość pisarska pierwszego ewangelisty nad trzecim, z kimś zupełnie innym kojarzyło mu się już, właśnie w pamięci odświeżonej, to samo imię, a i z pismami też zupełnie innymi aniżeli Ewangelie...

(s. 22–23)

Zacytowany fragment, jeśli chodzi o zastosowaną w nim narrację, nie rozwija się wedle porządku następstwa, lecz poprzez powtórzenie. Narrator powtarza wewnętrzne tło dialogu, relacjonuje jego podtekst z punktu widzenia świadomości biorącego w nim udział arcybiskupa krakowskiego. Pamięć Arona początkowo działa na zasadzie kojarzenia brzmień słownych, które metonimicznie przylegają do siebie: dźwięk Łukasz wiąże się z dźwiękiem Mateusz („oddźwięk żartobliwy, ale i gderliwy zarazem”), zaraz jednak odsyła w stronę tekstów ewangelicznych,

które Aron rozważa pod kątem ich literackiej jakości. Mamy tu więc dwa rodzaje przyległości. Pierwszy wiąże ze sobą słowa pod względem brzmienia, drugi działa na zasadzie *signifiant* drugiego stopnia, to znaczy tekst Ewangelii kojarzy się, zapewne w związku z tekstowym sposobem istnienia, z innymi tekstami, także związanymi ze skojarzonymi brzmieniami słownymi. Trzeba też zdać sobie sprawę, że ciąg ten jest zarazem procesualny i równoczesny: łączenie *signifiant* pierwszego poziomu zachodzi równocześnie z łączeniem *signifiant* drugiego stopnia. Zauważmy, że łączenie brzmień nazwane jest łączeniem naturalnym, jakby odczucie harmonii lub dysonansu – ostatecznie więc muzyczności – było ufundowane na słyszeniu, nasłuchiwaniu natury, jakby było właściwością wrodzoną, czy nawet atawistyczną (pamiętajmy wciąż przez Parnickiego powtarzaną definicję człowieka jako dwunogiego zwierzęcia). Oba rodzaje przyległości wzajemnie wpływają na siebie, warunkują się i przenikają. Współkonstituowanie się tych, ale też i innych trybów skojarzeniowych możliwe jest dzięki pracy pamięci, jak też dzięki bodźcom przychodzącym z rzeczywistości – w tym przypadku zewnętrzny słowny bodziec „Łukasz” (słowo wypowiedziane przez Stanisława) jest początkiem ruchu kojarzenia. Ciąg skojarzeń jest wypadkową obu przestrzeni, pamięć przechowuje wspomnienia, w których obie przestrzenie przenikały się pozostawiając osad wspomnień. W ten sposób rodzi się, uwarstwia i strukturyzuje pewien rodzaj uwewnętrznionego przyzwyczajania odbioru i uczestnictwa w świecie, w napotykaną rzeczywistość. Słowo obarczone jest balastem rzeczywistego doświadczenia i jest jakby przezeń kontrolowane, tak że jego swoboda pozostaje ograniczona – dalsze analizy potwierdzą to wstępne rozpoznanie. Skojarzenia pojawiają się w rytmie falowym – Parnicki bliiski jest tu frazeologii związanej z pamięcią, mówimy bowiem zwyczajowo o ‘fali wspomnień’ czy ‘napływie wspomnień’. Zwróćmy uwagę, że metaforyka falowania i napływu odsyła do wyobrażeń wody, która w omawianym przypadku może mieć związek z topieniem się Arona.

Zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę nad stwierdzeniem Arona o wyższości literackiej opisu narodzin Chrystusa w Ewangelii św. Mateusza nad tym samym opisem w Ewangelii św. Łukasza. Sprawa ta w pewnym sensie należy do istoty niniejszych rozważań. Opis

u św. Mateusza, który Aron nazywa, z pewnym wahaniem, „znacznie bardziej wstrząsającym” w stosunku do opisu św. Łukasza, jest niezwykle oszczędny. Ingerencja nadprzyrodzona w zdarzenia jest zredukowana do minimum i ma przede wszystkim charakter oniryczny. U św. Łukasza pojawiają się „rzeczywiście” licznie postaci o nadprzyrodzonym (fikcyjnym) statusie ontycznym: anioły, zastępy niebieskie; u Mateusza anioł jedynie się śni – śniący się anioł nie stoi w sprzeczności z prawdą o rzeczywistości ugruntowaną w doświadczeniu. Słowo w opisie Mateusza niejako dba o wierność prawdopodobieństwu, czyli ostatecznie o zgodność z ludzkim doświadczeniem świata, w którym anioł może się przyśnić, lecz nie może się pojawić. Opis św. Łukasza jest odwrotem od tego, co poprzez doświadczenie można nazwać rzeczywistym. Opis św. Mateusza jest ucieczką od fikcji w imię praw rzeczywistości. Słowo u św. Łukasza ulega fikcyjnej grze, może uwodzić, lecz nie może wstrząsnąć odbiorcą, gdyż jego nadrzędnym uwikłaniem jest fikcjonalność oraz rozwlekła ozdobność, manifestująca się w poetyckich ornamentacjach, takich jak *Magnificat* czy *Benedictus*. Jak poprzednio, tak i w tym przypadku doświadczenie tekstowe wprost odnosi się do językowo-niejęzykowego doświadczenia rzeczywistości i jest silnie uwikłane w pamięć tego doświadczenia. Steruje ono jednak odbiorem tekstów ewangelicznych. Bunt Arona-czytelnika rozwija się w sprzecznie wobec słów podważających prawa rzeczywistości, tak jakby słowo stało przed wyborem między byciem słowem prawdziwym a byciem słowem fikcjonalnym (lub raczej fałszywym). Owo bycie jest sprawdzalne na dwa sposoby: przez naoczność i przez pamięć, jeśli potraktować doświadczenie – a chyba nie można inaczej – jako odmianę pamięci. W ten sposób potraktowane doświadczenie jest – jak zobaczymy – bliskie temu, co Husserl nazywał habitualizmem Ja. Zapamiętana naoczność funkcjonuje jako przedstawienie i tylko jako przedstawienie może powrócić w przypomnieniu. Mam tu oczywiście na myśli przedstawienie funkcjonujące w ramach świata powieściowego, czyli kwestię, jak ów świat przedstawia się zanurzonej w nim postaci, jest to jednak refleksja świadoma dotychczasowych ustaleń w zakresie konstrukcji i ontycznych uwikłań tego świata.

Wcześniej była już mowa o tym, że Parnickiego nęcił projekt fenomenologii. Czy przypadkiem i tym razem nie jest bliski fenomenologicznym inspiracjom? W *Medytacjach kartezjańskich* o interesującym nas tu problemie Husserl pisze w taki sposób:

Każda [...] odmiana, np. wygląd kształtu czy barwy, jest przy tym sama w sobie również czymś przedstawiającym własny kształt, własną barwę itd. Tak oto, każde poszczególne *cogito* udostępnia sobie świadomościowo swoje *cogitatum* nie w pustym nieodróżnicowaniu, lecz w pewnej, opisowi dostępnej, strukturze mnogości, strukturze, która ma całkiem określoną budowę noetyczno-noematyczną odpowiadającą w sposób płynący z jej istoty temu właśnie [a nie innemu – przyp. tłum.] identycznemu *cogitatum*⁷⁰.

Przedstawienie literackie (a o takim wypowiada się Aron) jest przedstawieniem unaoczniającym, które tak samo podlega sprawdzalności przez konfrontację z przechowanym w pamięci doświadczeniem, dzięki czemu Aron w ogóle może w taki sposób porównać przywołane przez siebie fragmenty dwóch Ewangelii. Słowo może przedstawiać unaoczniająco w zgodzie z przedstawiająco-unaoczniającym doświadczeniem rzeczywistego, może też temu zaprzeczać przedstawiając unaoczniająco coś, co jest z owym doświadczeniem niezgodne, nie przedstawia bowiem w „pustym nieodróżnicowaniu”. Pamięć jest fundamentalnym odniesieniem w tej konfrontacji. W pewnym sensie można ją nazwać za Husserlem z jednej strony „habitualizmem Ja” (będziemy jeszcze o tym mówić), z drugiej strony „strukturą mnogości”, strukturą, która wypełnia przestrzeń między przedmiotem a postrzegającym i w pewien sposób steruje procesem postrzegania. Anioł może się przyśnić dlatego, że – znacznie upraszczając – składają się nań: postać ludzka, atrybuty ptasie i biel połączone w wierzeniu i poprzez nie uwewnętrznione – sen może się posłużyć takim zestawieniem, ponieważ doświadczenie podpowiada, że w taki właśnie

70 E. HUSSERL: *Medytacje kartezjańskie...*, s. 60.

sposób komponuje obrazy: łącząc elementy zapamiętanych przedstawień rzeczywistości. Przeciwnie doświadczenie jawy: nie dopuszcza ono takiego zjawienia i tym samym obnaża fikcyjność przedstawienia, choć przecież wcale go na innych poziomach nie unieważnia.

Idźmy jednak dalej. Inne pisma pojawiające się w rozmyślaniach Arona, to listy, z którymi zapoznano go „gdy przyjaciele i dobroczyńcy zabiegali, iżby uczył się siebie dawnego” (s. 23). Listy te dotyczyły Łukasza Żydzięty, biskupa nowogrodzkiego. W jednym z nich o Łukaszu pisano: „Żydziać zapewne jakiś” (s. 23), w innym określano go jako osobnika: „turkusowoskośnookiego” (s. 24):

list [...] do [...] Rychezy od Teodory zdawał się określeniu temu [Żydziać] przeczyć, przynajmniej w samego Arona odczuciu, nazwanie bowiem przez bazyliśkę tego samego chłopaka dziwnie, bo przymiotnikiem nazbyt – jak na Arona rozumienie poprawności budowy form gramatycznych – wieloczłonym, mianowicie „turkusowoskośnooki”, nie zgadzało się ze spostrzeżeniami, jakie Aron poczynił, na nowo ucząc się świata pozamorskiego wokół siebie, odnośnie Żydów wyglądu: odkrywał, że należy im się określenie: czarnookich, również głębokookich; względnie jeszcze okrąglookich; nie spotkał ni skośnookiego, ni turkusowookiego, tym mniej jeszcze turkusowoskośnookiego...

(s. 24)

Przytoczony tu tekst potwierdza – jak się wydaje – dotychczasowe ustalenia. Słowne przedstawienie wchodzi początkowo w konflikt z pamięcią doświadczenia, które podsuwa inne słowne przedstawienia unaoczniające i nie należy w pozytywny sposób do struktury mnogości, nie jest jej elementem, kłóci się z przyzwyczajeniami. Ja dotyczącymi znanego świata i przyzwyczajeniami dotyczącymi poznawania świata jeszcze nie poznanego. Aron w wyniku utraty pamięci nie wiedział o istnieniu Chazarów, ludu, który przyjął judaizm i na który składali się, tak przez powieść nazywani, „biali Chazarowie”. Chazarowie nie posiadali cech wyglądu zewnętrznego charakteryzujących Żydów (po prostu nie byli Żydami!), którego Aron był świadom, posia-

dali jednak pewne cechy duchowości, które nie wykluczały charakteryzowania ich przez odwołanie do żydowskości. Dlatego pozornie wykluczające się określenia, których Aron nie potrafi połączyć, czy raczej pozytywnie zweryfikować, posiadają swe uzasadnienie w rzeczywistości.

Husserl pisze o uznającym partycypowaniu w bycie, które ustanawia habitualizm Ja. Ów habitualizm można traktować jako uwe wnętrzoną kulturę, ale nas szczególnie interesuje bardziej dosłowny sens tego pojęcia wiążący się z pewnymi przyzwyczajeniami (doświadczeniami) Ja wynikającymi z uczestniczenia w uznającym partycypowaniu w bycie. Z pewnymi ograniczeniami wynikającymi z niezwyklej precyzji i złożoności wywodów ojca fenomenologii, które nie mogą się pomieścić w ramach naszego rozumowania, można powiedzieć, że dotyka on interesującej nas tu teraz problematyki. W języku fenomenologii sformułowana jest ona następująco:

Jako *ego* posiadam pewien otaczający mnie i w sposób nieprzerwany *istniejący-dla-mnie* świat, zaś w jego obrębie mam do czynienia z istniejącymi dla mnie przedmiotami, istniejącymi dla mnie już w trwałym wzajemnym ucłonowaniu jako przedmioty, które znam albo jedynie w charakterze czegoś znanego antycypuję. [...] Ta charakteryzująca mnie aktywność uznawania w bycie i wydobywania istnienia ustanawia pewien habitualizm mojego Ja, który sprawia, że przedmiot zostaje przeze mnie wraz ze swymi określeniami trwale przyswojony. Tego rodzaju utrzymujące się nabytki konstytuują mój aktualny, znany mi świat otaczający wraz z jego horyzontem jeszcze nie poznanych przedmiotów, tj. przedmiotów, które można jeszcze pozyskać, które antycypowane są z góry w owej formalnej strukturze [już znanych – przyp. tłum.] przedmiotów⁷¹.

Chazarów, czy raczej nabyte przez siebie szczątkowe informacje o jednym Chazarze – Łukaszu, późniejszym biskupie nowogrodzkim,

71 Ibidem, s. 98.

Aron postrzega z punktu widzenia tego, co jest mu znane, ale takie antycypujące pozyskiwanie nie poznanego w przeszłości przedmiotu natrafia na opór sprzecznych ze sobą uposażeń tegoż przedmiotu („Żydziak” – „turkusowoskośnooki”). To, co Husserl nazywa habitualizmem, nie pozwala na uznanie tej sprzeczności do mementu, gdy nie zostanie ona zniesiona przez nowe unaoczniająco przedstawiające doświadczenie rzeczywistości lub przez słowo Innego zgodne z takim (jego) doświadczeniem i zapośredniczającym takie doświadczenie. Stwierdzenia te można oczywiście skomplikować wprowadzając parametr informacji kłamliwej, fałszywej, wynikającej z niewiedzy itd., jednak owe parametry należą już do wyższego poziomu refleksji nad sensem, która musiałaby zmierzyć się z problemami intencji wypowiedzi, interpretacji zdarzenia, gry sensów, ingerencji polityki.

Tradycja fenomenologiczna pojawia się w niniejszych rozważaniach nie po raz pierwszy i nie przez przypadek. Wydaje się bowiem, że i Husserlowi, i Parnickiemu chodziło o to samo, mianowicie o ocalenie obiektywności świata i o możliwość prawdziwościowego orzekania o tym świecie. Różnica jednak między filozofem a pisarzem polega na tym, że ten drugi znacznie rozwinął refleksję o języku, przenosząc ją z poziomu analizy zdań najprostszych na poziom bardzo złożonej praktyki wypowiedawczej. W gruncie rzeczy mówimy tu o oczywistościach, ponieważ rozwinięcie to dokonało się dzięki odmienności dyskursów: teoretyzującego dyskursu filozoficznego i wypowiedzi literackiej, która w przypadku Parnickiego opiera się na możliwie słabo zmediatyzowanej narracyjnie praktyce wypowiedawczej postaci.

Jak poprzednio, gdy podjęliśmy analizę relacji teorii Ingardena i projektu Parnickiego, tak i teraz może się okazać, że wprowadzenie problematyki języka w żadnym wypadku nie likwiduje zasadniczych pytań fenomenologii, lecz, że powoduje ich przesunięcie i rozwinięcie. I jeszcze jedna kwestia: świat Parnickiego jest niezwykle powikłany i złożony. Pytania fenomenologiczne zadawane w złożoności konstytuującej świat nie mogą poprzestać na poziomie najprostszych przykładów w sposób sztuczny wyrwanych ze złożoności, przeciwnie, muszą zostać tej złożoności i permanentnej komplikacji postawione

i – jako pytania, jak też w dalszej kolejności możliwe odpowiedzi – muszą jej sprostać.

Ja transcendentalne, w odróżnieniu od Ja psychologicznego, nie mówi, mowa bowiem jest pewną praktyką jednostkowego Ja psychologicznego, dodajmy: jedną z wielu właściwych mu praktyk. Czy zatem jest tak, że Ja psychologiczne Edmunda Husserla jest podmiotem mówiącym np. *Medytacji kartezyjskich*, których przedmiotem-bohaterem jest tegoż Edmunda Husserla Ja transcendentalne? Jeśli tak jest, to trwanie w operacji fenomenologicznej *epoche* jest czymś uprzednim i już koniecznie zakończonym w chwili podjęcia trudu opisu trwania w owej zawieszającej operacji. Husserl na potrzeby swego opisu wprowadza więc fikcję jednoczesności tam, gdzie króluje procesualność i może to uczynić jedynie dzięki językowi, który posiada zdolność przywoławczego powtórzenia procesu w unaoczniającym przedstawieniu. Taki jest wymóg i istota wszelkiej teorii. Parnicki wyposażony w teorię Ja bliską, jak sądzę i próbuję tu pokazywać, ustaleniom fenomenologii, odwraca z konieczności (konieczności narzuconej przez literacką praktykę) proces, penetrując i próbując odzyskać doświadczenie postaci zanurzonej w świecie. Określiliśmy już wcześniej projekt Parnickiego jako zorientowany na prawdziwościami nacechowane odzyskiwanie minionej dziejowości.

Parnicki w ostatnim cytowanym fragmencie powieści mocno podkreśla, że pamięć podsuwa w tym miejscu przedstawienia nacznościowo zakorzenione, mowa bowiem o tym, że „Aron nie spotkał” Żydów o takim a takim, nietypowym dla nich wyglądzie. Dzięki pamięci Aronowi prezentuje się jego minione doświadczenie świata, które konfrontuje natychmiast z przedstawiająco-unaoczniającymi słowami. Prezentuje się mu jego przeszłość, a w niej przeszłe obserwacje, które wpływają na postrzeganie i konstytuowanie się procesualnego teraz. Husserl pisze:

[...] w sferze mojej żywej terażniejszości [prezentowana jest – przyp. F.M.] moja własna przeszłość, która jest mi tutaj dana tylko poprzez akty pamiętania, a w aktach tych doznaje scharakteryzowania jako coś minionego, jako moja minioną te-

rażniejszość, jako coś, co posiada tedy rys intencjonalnej modyfikacji. Doświadczające potwierdzenie tej przeszłości jako pewnej modyfikacji dokonuje się przeto z koniecznością w jednoznacznych syntezach przypominania; tylko w ten sposób doznaje potwierdzenia przeszłość jako taka⁷².

Owa przeżyta naoczność zamienia się w przedstawiające „miano”, które odpowiedniemu wyglądowi, czyli właśnie naoczności, niejako się od języka (słowa) należy. Była już wcześniej mowa o tym, że rzeczywistość domaga się użycia słowa – właśnie takiego a nie jakiegoś innego. Słowo musi być w zgodzie z przebiegiem kształtów naocznościowych oraz w zgodzie z pamięcią naocznościowych przedstawień, które uprzednio zyskały swą sankcję w tym procesie odpowiedzialnościowej, przyległościowej weryfikacji. Píše o tym Derrida, streszczając Husserla w *Głosie i fenomenie*. W części, z której pochodzi poniższy cytat, Derrida jest bardzo bliski ustaleniom Husserla. Polemika, którą wprowadzi później, mniej nas tu interesuje, nie należy ona po prostu do podjętego tu wywodu.

[W] komunikowaniu, w zastosowaniu języka [zwanego⁷³] „rzeczywistym”, przedstawienie (we wszystkich sensach tego słowa) nie jest zasadnicze i konstytuujące, jest tylko przypadkiem łączącym się ewentualnie z zastosowaniem dyskursu. [W] języku przedstawienie i rzeczywistość nie dołączają się tu czy tam z tej prostej racji, że z zasady nie można ich ściśle rozróżnić. I nie ma zapewne co mówić, że wytwarza się to w języku. Język w ogóle jest tym. On sam⁷⁴.

Opisywany ruch pamięci, naoczności i naocznościowych przedstawień jest gwarantem i fundamentem prawdy, która nie tyle wynika

72 Ibidem, s. 170–171.

73 Tłumacz przełożył: „w zastosowaniu języka zwanym rzeczywistym”. Wydaje się, że poprawność gramatyczna wymaga użycia formy: „zwanego”.

74 J. DERRIDA: *Głos i fenomen*. Przeł. B. BANASIAK. Warszawa 1997, s. 84.

z tego splotu, co raczej – parafrazując Derridę wbrew zapewne jego intencjom, i pozostając bliżej myślenia Husserla – prawda jest tym splotem – ona sama. Być może teraz lepiej rozumiemy cytowane już wcześniej słowa Arona, które warto ponownie przywołać:

Pożyjecie dłużej, jeszcze ze dwadzieścia lat, to stwierdzicie, że i ludzka prawda jest to coś nieporównanie więcej niż tylko i najprzemysłniejszy choćby argument...

(s. 74)

Dotąd opisywaliśmy to, co nazwaliśmy prawdą zdarzenia. Jest to poziom elementarny wskazywania i nazywania. Prawdziwość, jako zasadniczy parametr twórczości Parnickiego – o czym była już mowa – domaga się słowa, dla którego prawda jest osiągalna w sposób możliwie jak najbardziej uniezależniony od logiki. Musi tak być, jeśli prawdziwość ma się w jakiś sposób oprzeć „najprzemysłniejszemu nawet argumentowi”. Oparcie kategorii prawdziwości o ruch (lub pracę) pamięci uniezależnia ją od małych i wielkich kwantyfikatorów w zakresie obowiązywania sprawności i powszechności jej działania. Tu oczywiście czai się niebezpieczeństwo miejsc, w których dyskurs osuwa się w bełkot, nie może sprostać tajemnicy – o miejscach takich będzie jeszcze mowa w dalszym ciągu.

Parnicki swą koncepcję prawdy opiera więc na pamięci i naoczności, i na ogół w innych powieściach nie problematyzuje kwestii, wprowadzając konwencję doskonałej pamięci. Taki zabieg pozwala mu, a raczej jego postaciom-politykom, na dowolne igranie sensem minionych zdarzeń w zależności od ich doraźnych celów i układów sił (ostatnie zdanie piszę ze świadomością znacznego uproszczenia problematyki, czynię to jednak w trosce o klarowność wywodu). Aron w tym zakresie, o czym już była mowa, jest wyjątkiem i być może najlepiej ze wszystkich postaci ukazuje złożoność tego zagadnienia lub w ogóle pozwala na jego dokładniejsze rozpatrywanie.

Sens (zdarzenia), wszelka sensowność, wszystko, co wiąże się z nadawaniem, tworzeniem, znoszeniem itd. sensu, czy raczej sensów jest procesem dalszym albo procesem wyższego poziomu. Opisy-

waliśmy już wcześniej ten problem. Aby rzecz ostatecznie domknąć, można ów proces scharakteryzować słowami Patočki pochodzącymi z cytowanych już wcześniej *Esejów heretyckich z filozofii dziejów* w następujący sposób:

[...] sens opowieści o tym, co się wydarzyło, jest czymś różnym od sensu tego, o czym się opowiada. Sens wydarzeń jest dziełem tych, którzy działają i poddają się działaniom, gdy tymczasem sens opowiadania polega na rozumieniu tworów logicznych, które nam ukazują wydarzenia. Sens wyartykułowany w tym rozumieniu jest stosunkowo niezależny od sytuacji, co się tłumaczy tym, że musi on być (w pewnych granicach) rozumiany przez ludzi w innych miejscach, czasach i tradycjach jednakowo, podczas gdy sens wydarzeń zawarty jest w samej rozwijającej się sytuacji. Może się zdarzyć, że naprawdę historyczne działanie i zdarzenie wymaga ukierunkowania za pomocą tradycji i opowieści; wtedy jednak sens opowieści jest rozumiały poprzez dziejowe działanie, a nie odwrotnie⁷⁵.

Czeski fenomenolog opisuje pewien ruch sensów w dwóch płaszczyznach: sensu zdarzeń i sensu opowieści o zdarzeniach. Choć podkreśla, że obie te płaszczyzny mogą sprawczo skutkować w zakresie dziejowego rozwijania się prawdy zdarzeń, to jednak są to problemy wyższego poziomu, które powstają ponad opisaną powyżej przestrzeń prymarną. Podkreślmy jednak, że i tym razem mamy do czynienia ze zjawiskiem z gramatycznego punktu widzenia niezmiernie trudnym do opisanie, mianowicie ze zjawiskiem równoczesnej (lub raczej „równoczesnościowej”) procesualności, którą my sami jesteśmy, doświadczając naszego przytomnego bycia mówiących i myślących „zwierząt dwunogich”. Może najłatwiej rzecz ująć zapożyczając się terminologicznie u językoznawców. Z punktu widzenia gramatyki ogólnej proces ten rozwija się analogicznie w stosunku do rozwijania się wypowiedzi: jest paradygmatyczno-syntagmatyczny.

75 J. PATOČKA: *Eseje heretyckie...*, s. 40–41.

Znów parafrazując Derridę, powiedzieć można, że nie ma tu mowy o jakimś rodzaju przyległości czy zewnętrżności, lecz o procesualnej równoczesności stawania się świata, naszego bycia i naszej mowy. Ten proces jest tym. On sam.

Możliwość terminologicznej pożyczki, której przed chwilą dokonaliśmy, odkrywa przed nami inną możliwość dokonania jeszcze głębszych porównań, które spowodują, że będzie można w tym zakresie mówić nie tylko o analogii, ale też o współbieżności i pewnej ontycznej, procesualnie zachodzącej zbieżności bycia i języka.

Czy współbieżność i liczne wzajemne zależności procesualnej jednoczesności świata naszego życia (jak nazywa ten świat Husserl) oraz paradygmatycznie syntagmatycznego języka nie są czymś bardziej naturalnym, niż się nam wydaje? Wszak język w swej istocie tak wiele ma wspólnego z przemijającym byciem bytu, jeśli zjawienie najmniejszej części znaczącej potrzebuje czasu, aby faktycznie zaistnieć. Wypowiedź jest czymś pierwotnym wobec słownika, encyklopedii, gramatyki, zwanej opisową, tworzącej zarówno fikcję czystej terażniejszości swego opisu, jak i fikcję terażniejszego, ahistorycznego słowa. Jeżeli bycie jest z istoty dziejowe i historyczne, to takie też okazuje się słowo – wypowiedziane w przemijającym byciu i zrozumiałe tylko w swym uczasowionym zaistnieniu i przemijaniu. Wymyka się stabilności, ucieka przed teorią, pojawiając się oraz mijając w byciu swym i naszym. Jest to kolejne podobieństwo bycia i słowa. Kresem i wyjściem uczestniczenia w tym procesie praktykowania bycia, który jest najgłębiej nami samymi, jest śmierć – nigdy zaś jakakolwiek stabilizująca i modelująca teoria.

A nawet więcej: jeśli język ukształtował się w tak głębokim podobieństwie do zasadniczych rysów bycia, takich jak czas, przemijanie, jednoczesność piętrowo następujących wrażeń i bodźców, coś przeszkadza nam zgodzić się na możliwość – wcale prawdopodobną – orzekania o świecie w sposób prawdziwy i obiektywny. Ostatecznie, jeśli zaistnieje taka potrzeba albo chęć – zawsze możemy (Parnicki powiedziałby: jesteśmy władni) kłamać. Ale właśnie: jesteśmy władni (czyli i chcemy, i możemy) dzięki pewnej wspólnie dostępnej językowo-niejęzykowej przestrzeni dziejowej obiektywności, w któ-

rej uczestniczymy. Trzeba jednak wciąż pamiętać, że owa przestrzeń nie jest miejscem bezpiecznym, że nie obowiązuje zawsze i wszędzie. W każdej chwili może się w niej otworzyć otchłań: tajemnicy, niejasności, cierpienia, ciała, śmierci. W I tomie *Nowej baśni* taką otwierającą się otchłanią jest np. Hamlet Duńczyk. Choć oczywiście nie jedyną – będzie o tym mowa w rozdziałach o Atlantydzie.

Znajdziemy także taki fragment w wątku Arona. Gdy w ostatnią noc swego życia rozmawia ze Stanisławem, ten zdradza mu, że wie o utracie przez niego pamięci, a – Aron jest o tym do tego momentu przekonany – nie powinien wiedzieć. Ello, człowiek, który uczył wyłowanego z morza opata tynieckiego jego własnej przeszłości a także – by tak powiedzieć – świata w ogóle, zapewniał: *mało jest na szerokim świecie osób świadomych, żeś nie odzyskał wiedzy o sobie dawnym. [...] Wszyscy [...] Panu uroczyście zaprzysięgliśmy: nikt nigdy od nikogo z nas nie dowie się, że [...] nie została zwrócona Aronowi, ojcu wielbnemu, także i władza pamięci* (s. 19). Nie należał do tych osób Stanisław, który szydzi z umierającego Arona:

A oto [...] macie – mnie. Mnie zaś świadomym tajemnicy [...] kto uczynił? Łowcą nieznużonym, nieustraszonym prawdy zowią też przewielebnego pana Arona. Macie nową tu prawdę za zasłoną tajemnicy, polujcie! Żle wam? mdlejecie? O, nie! Jeszcze nie umrzecie.

(s. 19)

Uważny czytelnik odpowiada sobie na to pytanie: Stanisław dowiedział się od swej opiekunki i protektorki w Konstantynopolu – Teodory Bazylissy. Aron jednak tego nie wie, dowie się dopiero po kilku godzinach trwania rozmowy i w zasadzie dopiero wtedy się uspokoi, tajemnica jednak jest bardzo niebezpieczna, wywołuje w umierającym starcu wstrząs wręcz fizjologiczny.

Hamlet Duńczyk – zamknięcie

„Dziś w nocy urodzi się gwiazda Hamlet” – pisał Zbigniew Herbert w *Trenie Fortynbrasa*. Można powiedzieć, że Parnickiego nie interesuje

to, co stało się w nocy czy nazajutrz, choć oczywiście o tym wszystkim nie zapomina; inaczej mówiąc: nie zapomina o tekstach dotyczących Hamleta. Interesuje go to, co zdarzyło się wcześniej niż jutro. Sądzę, że taki jest punkt wyjścia opracowania motywu Hamleta w *Robotnikach wezwanych o jedenastej*. Była już o tym mowa w pierwszym rozdziale tej pracy. Zobaczmy jednak, czy ten intuicyjny ogląd wytrzyma konfrontację z analizą tekstu.

Zacznijmy od genealogii. Gdzie bowiem brak (jeszcze) świadectw pisanych, tam jednak trwa nieprzerwany łańcuch narodzin i zgonów, trwa też ludzka pamięć o nich. Pamiętamy Arona, który wypytuje Duńczyków o dzieje szaleństwa Hamleta. Informacja ta pojawia się w jego rozmowach z Łukaszem i Stanisławem i to pojawia się właściwie przez przypadek, na dalekim planie głównych wypadków politycznych. Gdy Stanisław żegna się z Łukaszem, wątek powraca na zasadzie reminiscencji tamtej rozmowy. Następuje między nimi dialog, który znamy jedynie z zapisów Łukasza, z jego rozpoczętego w Porcie Truso (Elblągu) „Dziennika podróży ku śmierci”. Wprost odwołuje się on do zasygnalizowanej kwestii genealogii.

Z powagą [pisze Łukasz o Stanisławie], jako że wcale nie śmiejąc się już, nawet nie uśmiechając – co mi oświadczył? Bym go w myślach przyjaznych, we wspomnieniach czułych nazywał Rurykida! Przyznam się: wpadłem w pewne (niepotrzebne właściwie, karygodne wręcz nawet, przecież całkowicie uzasadnione – właśnie całkowicie, a nie tylko na pozór!) rozdrażnienie. Też bez śmiechu już rzuciłem mu na brzeg: – Geruty jesteś potomkiem? Chyba z nasienia Fenga bratobójcy, bo z Horwendylem miała Hamleta tylko...

Oburzy się – przemknęło mi przez myśl; lęk wraz ze skrucą odczułem zaraz. Znowu myliłem się. – Hamlet to Igora siostrzeniec, więc mój, jakbym miał to określić? cioteczny prapradziad, dokładnie a niechybnie – pouczył mnie z wielce życzliwą powagą.

Rozdrażnienie Łukasza bierze się z nieścisłości wiedzy Stanisława na temat genealogii, która – o czym już wspominaliśmy – stanowi jeden z zasadniczych porządków rzeczywistości. Sprawy, o czym Łukasz dobrze wie, miały się inaczej. Tak pisze w swym dzienniku na temat pewnych pseudohistorycznych pism, o nowogrodzkim rodowodzie, których zadaniem jest uzasadnienie wyższości Nowogrodu nad Kijowem:

Żeby móc nad Kijów wynosić się i inaczej jeszcze [...] skaczą w pismach swych, niby historycznych, przez ćwierćwiecza, jakby to pięciolecia były. Z Ruryka, ojca Geruty, a niczyjego więcej, jeśli się nie mylę (a chyba nie mylę się) uczynili ojca także i Ingwara, którego Igorem zowią również, czyli tym samym: Światosław wnukiem się okazał Ruryka być, Włodzimierz nowochrzczeniec prawnukiem.

(s. 132)

Zanim przejdziemy do pierwszych wniosków, trzeba wprowadzić w powstały zamęt trochę ładu. Założycielem dynastii Rurykowiczów był Ruryk, Wiking (zm. w roku 879?), ojciec Olega i Geruty. Geruta pozostaje w Skandynawii, gdzie poślubia Horwendyla i z tego małżeństwa rodzi się Hamlet, potem miejsce usuniętego Horwendyla zajmuje Feng⁷⁶. Natomiast Ruryk, przywołany przez zwaśnionych Sło-

76 Historia Saxo Gramatyka streszczona przez S. Helsztyńskiego wygląda tak: „Horwendil, mianowany wraz z bratem Fengiem przez zwierzchnika Danii, Roryka, rządcą prowincji jutlandzkiej, zabiwszy w pojedynku króla Norwegii, Kolla, bierze bogate łupy, znaczną ich część składa w daninie Rorykowi i otrzymuje od niego jego córkę Gerutę w małżeństwo, z którego rodzi się Amlet. Wiedziony zazdrością Feng morduje brata i poślubia kazirodczo Gerutę. Amlet dorastając widzi wiszącą nad nim groźbę śmierci ze strony Fenga, udaje przeto szaleństwo, tarza się w błocie, struże patyki nad strumieniem, odzywa się zagadkowo i wprawia w zdumienie nasłanych zauszników stryja. Próbę wybadania go przez namówioną do tego dziewczynę udaremnia zyskując ją dla swej sprawy. Podслуshującego rozmowę jego z matką powiernika królewskiego, ukrytego w barłogu, zabija, ćwiartuje i rzuca świniom na pożarcie. Wysłany statkiem do Anglii z dwoma dworzanami, zamienia rozkaz Fenga, wyryty na kawałku drzewa, powoduje śmierć obu wysłańców, a sam zaślubia królową Anglii. Wraca nie poznany po roku i wchodzi w znowę z matką; usypia czujność dworzan, a upoiwszy ich podczas uczty, którą wyprawili z po-

wian, opanowuje Nowogród w roku 862. Jego syn Oleg panuje po nim w Nowogrodzie i podbija Kijów w roku 882 (lub około 893). Oleg ma syna Igora (Ingwara), ten natomiast – Światosława. Ojcem Przecławy zgwałconej przez Bolesława Chrobrego jest Włodzimierz Wielki, syn Światosława⁷⁷, zaś owocem gwałtu, o czym już wiemy, jest Stanisław Szczepanowski, późniejszy święty. Łukasz przywiązuje do tych spraw dużą wagę, stąd bierze się jego irytacja na lekceważenie rzeczywistości, na nieścisłość w zakresie jednego z jej zasadniczych porządków opartych ostatecznie o porządek ciała, przekazywanie genów.

Parnicki – jak widzimy – wprowadza w powieść wątek niezmiernie intrygujący: sugeruje, że pierwszy polski święty, wcześniej arcybiskup w Krakowie, Stanisław jest daleko spokrewniony z historycznym pierwowzorem jednej z najbardziej znanych postaci w dziejach literatury światowej. Przy historycznie bardzo niepewnym pochodzeniu Stanisława, może sobie na to pozwolić przez domysł, możliwy wobec jego źródłowej weryfikacji, że jest on owocem kijowskiego gwałtu Chrobrego.

Wątek ten, w taki sposób ukazany, mniej nas jednak interesuje. Rozwijanie go doprowadzić by musiało do drobiazgowych analiz źródłowych, które zapewne przyniosłyby niewiele pożytku, poza stwierdzeniem, że Parnicki doskonale znał źródła i, zdając sobie sprawę ze znikomości świadectw historii pisanej, wykorzystał jej niejasności i luki do własnych literackich celów. Jest to raczej zajęcie dla historyka-mediewisty niż dla interpretatora tekstów literackich. Podobnie nieatrakcyjnie przedstawiają się perspektywy lektury intertekstualnej (o czym już także była mowa). Szekspirowski *Hamlet*, jak też teksty go

wodu jego rzekomego zgonu, pali ich razem z dworzyszczem, by następnie dokonać upragnionej zemsty na mordercy ojca, którego uśmierca w jego własnej komnacie". S. HELSZTYŃSKI: *Wstęp...*, s. III–IV.

77 W księstwie kijowskim chronologicznie panowali (nie wliczając na pół legendarnego Ruryka): „893–924 Oleg (wiking; książę Nowogrodu; zdobył Kijów i uczynił go stolicą ok. 893); 924–945 Igor I; 945–972 Światosław; 972–978 Jaropełk I; 978–1015 Święty Włodzimierz I Wielki; 1015–1019 Światopełk I Przekłętý; 1019–1054 Jarosław I Mądry”. Podają za: J.E. MORBY: *Dynastie świata. Przewodnik chronologiczny i genealogiczny*. Przeł. M. RUSINEK. Kraków 1994, s. 280.

poprzedzające, nie są doniosłymi interpretacyjnie intertekstami *Robotników wezwanych o jedenastej*. Nawet jeśli wykryjemy kilka podobieństw w zakresie konkretnych zwrotów, co dotyczy w szczególności przekładu Józefa Paszkowskiego, to niewiele nam to wyjaśni z hamletycznego wątku powieści. Omawianej powieści najbliższy pod tym względem jest schemat fabularny z *Kroniki Saxo* Gramatyka – zapewne przez fakt, że chronologicznie jest stosunkowo bliski powieściowym zdarzeniom, tak jakby Parnicki starał się uwzględnić ruch pamięci i konfabulacji, prawdy o zdarzeniach i o tych zdarzeniach legendy (pamiętajmy, że Saxo pisze swą *Historia Danica* na przełomie XII i XIII wieku). Szekspirolodzy dowodzą, że autor *Hamleta* zadbał o jak najdalej idące „odhistorycznienie” skandynawskiego pierwowzoru. Pokazują też, jakie realia swojej epoki, a nawet bieżącej sytuacji politycznej Anglii przełomu XVI i XVII wieku zawarł Szekspir w swym arcydziele.

Odwrotnie Parnicki. Jego projekt zakłada maksymalne „uhistorycznienie” *Hamleta*, wprowadzenie czy raczej poszukiwanie jego jednostkowej historyczności w fingowanej pamięci postaci żyjących na przełomie X i XI wieku. Chodzi mu o przywrócenie *Hamletowi* jednostkowego bycia poza wielką literacką legendą, wokół niego narosłą, o sprawdzenie albo raczej o wyobrażenie sobie, w jaki sposób mógł *Hamlet* funkcjonować w żywej pamięci, zanim stał się wielkim tematem literackim.

Ostatecznie więc bardziej nęcący wydaje się inny sposób przedstawienia problemu, możliwie jak najbliższy temu, co dzieje się w samej powieści wokół i w związku z wątkiem *Hamleta*. Nazwać można powieściowe uwikłanie tego wątku motywem brakującego tekstu. Dalsza analiza pokaże, o co tu idzie.

Łukasz Żydzieta w swoim „Dzienniku podróży ku śmierci” zapisywał swoje sny. W snach tych, wśród wielu innych postaci, pojawiał się *Hamlet*. Sprawdźmy, w jaki sposób i dlaczego. Pamiętamy z poprzednich rozdziałów, jak powikłaną osobowość posiadał Łukasz. Teraz trzeba dodać jeszcze jedną informację: sny, o których tu mowa, były narkotycznymi wizjami, Łukasz bowiem, pisząc, stale zażywał ów tajemniczy płyn przywieziony przez Stanisława z Przeciwiemni (Atlantydy, Winlandii, Widumy – powieść mnoży określenia dla pre-

kolumbijskiej Ameryki). Płyn ten należy chyba uznać za rodzaj narkotyku – uśmierzał on ból fizyczny, rozjaśniał („rozszerzał”) umysł, a dłużej używany, powodował niesamowite wizje połączone z rozdwojeniem osobowości (może chodzi o jakąś odmianę pejotlu?⁷⁸). Czy można zatem mówić o Łukaszu jako o narkomanie? Sądzę, że można. Oto, jak narkoman śni Hamleta:

Najbardziej niepokojące jest chyba to, iż w snach tych nie byłem sobą, ale Aronem, przy czym właśnie jednoznacznie Aronem, nie zaś możliwie i Pwylem też względnie synem Pwyla, Peredurem. Bo tamtego też w snach wciąż spotykałem, lecz jako odmienną od siebie osobę. Nie był przecież życzliwym mi bratem bliźniakiem, w dodatku podstępny, nie jawny. Miał mnie zaprowadzić na miejsce spotkania z Hamletem [...].

(s. 135)

Tuż przed świtem znów w sen zapadłem po przerwie wyjątkowo męczącej. Jak poprzednio szukałem Hamleta, Aron znowu, nie ja, Łukasz; szukałem zaś go tym razem [...] w Rzymie. I znalazłem wreszcie. Zamiast przecież zapytać go, czy Stanisław rzekomy jest naprawdę obłąkańcem, czy tylko obłąkanie udaje, wdałem się w przeproszanie go za to, iżem wyparł się zakonu Mojżeszowego dla Chrystusowego... Oczywiście, przedranny ów sen mój jedną osobą uczynił dwie: Hamleta Duńczyka i urodzonego pod zakonem Mojżeszowym [...] Jana Gracjana.

(s. 136)

Niewidzialne ręce rozsunęły niebieską – przetkaną tu i ówdzie białą obłoków – zasłonę i Aron znalazł się pod kopułą może i w kościele, ale raczej jednakże chyba na widowni teatru lub

78 Piszący te słowa nie jest zorientowany w kwestii rodzajów i działania narkotyków. Powzięte przypuszczenie bierze się z lektur. Na temat pejotlu pisali między innymi: S.I. WITKIEWICZ: *Narkotyki* [rozdział: *Pejotl*]. W: IDEM: *Narkotyki. Niemyte dusze*. Warszawa 1993, s. 73–110; L. KOLANKIEWICZ: *Święty Artaud*. Warszawa 1988, rozdział: *Podróż do Tarahumara*.

w sali wykładowej. Jako że tam, gdzie powinien być znajdować się ołtarz (grecki, nie łaciński), dawało się widzieć tylko podwyższenie właśnie teatru scenę przypominające, a na podwyższeniu tym przesuwiał się wzdłuż ściany tylnej, jaskrawo, ogniście wręcz czerwonej (jak ku szafotowi skazaniec czy ku bramom piekielnym potępieniec – coraz przystając, przecież niewładny zawrócić, więc też przed siebie wciąż, choć wolno, opornie) od lewej ku prawej jakiś smutny niezmiernie młodzieniec w czerni. Aron przedzierać się zaczął ku niemu poprzez rzędy – zdawać się mogło: niezliczone – krzesła.

(s. 141)

Następnie Aron (czyli śniący Łukasz) słyszy dialog biskupa wrocławskiego Hieronima i archidiakona Hildebranda. Pierwszy z nich – znacznie sprawę upraszczając – był przeciwnikiem reform klunickich, w tym przede wszystkim przeciwny był zakazowi małżeństw zawieranych przez dostojników kościelnych, sam zresztą był żonaty. Wygnano go z Mediolanu w wyniku tzw. ruchu śmieciarzy przeciw możliwym, na którego czele stał między innymi Hildebrand – doradca papieża, kluniatczyk, sam wybrany papieżem – Grzegorzem VII. Łukaszowi śni się, że Hildebrand nakazuje mu, czyli Aronowi, wrzucenie Hieronima do kotła Pwyła, w celu – jak możemy się domyślać – ponownego chrztu.

Ocalała przecież niespodziewanie Arona przed męką tą zadawania cierpień czerń ruchoma na tle czerwieni – młodzieniec na podwyższeniu. Powiedział rozkazująco do Hieronima, by się dopraszał łaski u Hildebranda, jeżeli tego nie uczyni, on natychmiast [...] zawróci i biegiem pomknie tam, skąd tak bardzo opornie dał się wlec woli Arona ku prawej, więc ku wschodniej stronie ogniściennego podwyższenia.

Aron na to ze zdumieniem: – Mylisz się. Ciągnę ciebie na zachód ze wschodu, nie odwrotnie. – Młodzieniec w czerni upierał się; jest bliższy zachód, lecz jest także i dalszy; ten za oceanem. – Mogę tam zostać bogiem. [...] Wolę parzyć rzędy sprawować

nad przodków swoich dziedzictwem – Słowiańszczyzną, a co najmniej Polską.

(s. 141–142)

W tym śnie, datowanym na idy września, niezmiernie smutny młodzieniec w czerni to, oczywiście, Stanisław Szczepanowski. Zapis datowany: *piąty przed idami października* przynosi wrażenia nowego snu, które Łukasz zapisuje w taki sposób:

Myślę przecież, że lepiej zrobię jednak, jeśli nie zapiszę snu, z którego dopiero co obudziłem się czy [...], któremu udało mi się przecież [...] wymknąć szczęśliwie. Był to zresztą omalże ten sam sen, który zapisałem [...] pod datą idów wrześniowych [...]. „Omajże dokładnie ten sam” – napisałem. Bo, owszem, pewna różnica była: młodzieniec straszliwie smutny, odziany w czerni, nie był to i tym też razem [...] Stanisław [...], ale Hamlet Duńczyk.

(s. 148)

Oto – na zakończenie tej długiej litanii cytatów – ostatnie dwa fragmenty dotyczące Hamleta, zaczerpnięte z dziennika biskupa nowogrodzkiego, Łukasza. Zestawienie tu niniejszych przypomnień jest konieczne do ostatecznego zamknięcia tego wątku, jak również tej części pracy.

Znowu podwyższenie, scena teatru jak gdyby, a na tle ściany tylnej, jaskrawo – ognienie wręcz – czerwonej, jak dwakroć poprzednio, opiera się znów wołaniu bezgłośnemu (czyjemu?!) umysłem, przecież wołą swą ulega mu, młodzieniec w czerni, a Hamlet to znów (powtórnie) – nie, nie jak w wieży w Turso – Stanisław. Wiem (znowu Aron, nie Łukasz Chazar), co należy uczynić, by – nim skończy Hamlet swą drogę przez mękę od lewej ku prawej – wyjawiał mi prawdę o istocie swego szaleństwa: rzeczywiście było czy udawane tylko? Bo przecież muszę wiedzieć, co on właściwie

męką tą odpokutowuje – wyzbycie się rozumu ponieważ nie czy, odwrotnie, dobrowolnie wyrzeczenie się.

(s. 148)

Obsesyjnie powracający wątek szaleństwa Hamleta, o którym Łukasz chce wiedzieć: prawdziwe było, czy fałszywe, owo pytanie o istotę jednostkowej historyczności Hamleta Duńczyka, pozostaje ostatecznie bez odpowiedzi: *Jednakże, choć we śnie wiedziałem, co uczynić należy, by wydrzeć Hamletowi tajemnicę istoty jego szaleństwa, z wiedzy tej nie zrobiłem żadnego użytku* (s. 148–149). Hamlet, ten osobowy, dziejowy (jedyne i niepowtarzalny), który zjawił się w dziejach jako jednostkowy byt, zapada się w nicość, Łukasz nie ma doń dostępu. Co bowiem – zapytajmy – składa się na wizję Łukasza, z czego one są zrobione, jakie są ich dominanty?

Hamlet w senne marzenia Łukasza wkracza dzięki dwóm rzeczywistościom (pochodzącym z otaczającej go rzeczywistości) bodźcom: dzięki wspomnianemu pytaniu Arona, zadanemu Stanisławowi i Łukaszowi, o jego wyprawę do Anglii z roku 1016, kiedy to Aron wypytywał Duńczyków o dzieje szaleństwa Hamleta oraz w związku z przekonaniem Stanisława, którym podzielił się z Łukaszem w chwili ich ostatniego pożegnania, o swym wspólnym z Hamletem pochodzeniu od Ruryka – założyciela Ruskiej dynastii. Oba te bodźce splatają się w czasie i w miejscu (Sandomierz, lato 1059) i są silnie związane z osobami Arona i Stanisława.

Zauważmy, że Łukasz, śniąc, zamienia się w Arona, a raczej w to, co o nim wie, co przechowuje na jego temat w pamięci. Pierwszy sen wprost odwołuje się do rozmów na temat rzekomej zamiany osobowościami i biografiami Arona z Pwylem czy Peredurem, czyli jego nieistniejącym bratem-bliźniakiem. Jak pamiętamy, to Stanisław nastął Łukasza na Arona, by sprawdzić domysły na temat tej zagadkowej zamiany o legendowym podłożu. Łukasz czuje się winny – niepokoił umierającego starca nieprawdopodobnymi domysłami z trywialnych, politycznych powodów, na dodatek powodów niewłaściwych. Dlaczego Łukasz utożsamia w swych snach obłąkanego (prawdziwie bądź rzekomo – tego się ostatecznie nie rozstrzyga) Hamleta ze Stanisławem,

albo – inaczej – kto nadał Stanisławowi miano obłąkańca? W całej powieści jeden tylko raz uczynił to Aron i to w pierwszej rozmowie ze Stanisławem. Aron stwierdza: *Istny z ciebie kpiarz nad kpiarze. Albo może obłąkaniec?* Stanisław odpowiada: *Może obłąkaniec. Lecz taki, który tyle pamięta...* *anibyście sobie wyobrazili ile...* (s. 21). Czy Łukasz podsłuchiwał? Najprawdopodobniej tak! Obłąkaniec, który pamięta – zupełnie jak Hamlet, który jako jedyny pamięta ojca i pragnie zemsty na Fengu bratobójcy. Hamlet mści hańbę matki, Stanisław także: wspomaga ruch antyfeudalny w Polsce, bierze udział w zabójstwie Mieszka II razem ze swą matką Przecławą, która w ten sposób mści się na domu Piastów i na młodym królestwie polskim.

Nie ma tu mowy o czysto „tekstowym”, czytelniczym doświadczeniu Łukasza. On tę historię zasłyszał, zapewne po raz pierwszy właśnie w Sandomierzu od Stanisława: „To i owo wiedzieli [na temat angielskiej wyprawy Arona]; Stanisław więcej jeszcze aniżeli Łukasz, przy czym z bardzo wiarogodnego źródła, bo od samego Eldreda” (s. 80). Eldred w owym czasie przebywał w Skandynawii, gdzie miał wyznaczone z Aronem spotkanie, to on dowiedział się, że:

[...] Iryjczyk [czyli Aron oczywiście] moc natarczywych pytań stawia Duńczykom [...]; dotyczą bez reszty dziejów szaleństwa pozornego, którym miał przed półtora wiekiem syn króla Horwendyla Juta, a wnuk Ruryka, co w Nowogrodzie słowiańskim na stare lata osiadł, Hamlet, tajemnicę zręcznie osłaniać nienawiści do matki i zemsty, jaką potem osiągnął w rzeczy samej ją, jak drugiego męża jej, przedtem szwagra, a zwał się ów – Feng.

(s. 99)

Podobieństwo tej historii do historii Stanisława jest – jak widzimy – w gruncie rzeczy znikome. Poza ogólnym planem zemsty, przeprowadzonej na dodatek w kompletnie innych warunkach i w zupełnie inny sposób, nic więcej tych historii nie łączy. W zasłyszanej przez Łukasza wersji Hamlet zabija także matkę – u Saxo Gramatyka matka uczestniczy w planie zemsty. W tym sensie powieściowa historia Stanisława

i Przecławcy na najogólniejszym planie bliższa jest fabule z *Historia Danica*, ta jednak wówczas jeszcze nie istniała, więc z historycznych powodów Łukasz znać jej nie mógł.

Historie te połączyć może tylko sen, i kto wie, czy to nie jedno z przesłań omawianego motywu. Czyż zatem podobieństwo, czyli, inaczej mówiąc, powtarzalność historii, odnawianie się pewnych już wcześniej zaistniałych układów zdarzeń, to nie sen, marzenie umysłu umęczonego złożonością świata i pragnącego tę złożoność uprościć?

Jak działa sen u Parnickiego? Podobnie, jak u Freuda:

Mozaika, dzieło zawsze tego samego artysty: snu. Kamyk – z czegoś zasłyszanego; inny kamyk z książki jakiejś; w tenże sposób – wszystkie inne kamyki... Na jawie w świadomości twojej kamyka z kamykiem nic nie wiązało z sobą; powiązał dopiero sen; nie bezładnie; obraz przekonywający tworząc z wszystkich tych kamyków...

(s. 186)

Tak jest i w omawianym przypadku. Łukasz śni Stanisława jako smutnego młodzieńca ubranego na czarno na tle czerwieni. Skąd bierze się ten obraz? Przypomnijmy szeroko tu interpretowaną scenę gwałtu Chrobrego na Przecławie. Wówczas ruska księżniczka ubrana na czarno podążała na swą egzekucję. Łukasz jako małe dziecko widział ją idącą na tle łuny pożaru – pamiętamy, że ściana w jego wizji jest „ogniście” czerwona. Krew, którą Łukasz widzi na bosych poranionych stopach księżniczki, jest kolejnym czerwonym elementem obrazu. Przecława była wówczas bardzo młoda – stąd młodzieniec, ale właśnie, dlaczego kobieta zmienia się w mężczyznę? Ponieważ – byłaby to kolejna poszlaka w tej niepewnej sprawie – Łukasz jest homoseksualistą, seksualność więc kojarzy mu się z męskością.

Kolejny element to miejsce akcji sennej. Skąd wzięła się kopuła? Zagadkę da się chyba rozwiązać w taki sposób. W 1054 roku Stanisław przebywał w Konstantynopolu i właśnie otrzymał diakonat, oczywiście w obrządku wschodnim. Wtedy papież Leon IX wysłał nad Bosfor

poselstwo, którego zadaniem było dostarczenie aktu zerwania „łączności w Chrystusie ze strony Rzymu”. Stanisław opowiadał Aronowi w Sandomierzu: *Weszli pod najwspanialszą kopułę świata łacinnicy* (s. 101). Dalej, gdy posłowie złożyli na ołtarzu dokument, *popłoch chwilowy powstał; niebawem przecież padł [...] rozkaz: zuchwalcom miłością bratnią w Chrystusie odplacić się; złożenia pisma do wiadomości nie przyjmując; pismo samo oddać na powrót trzem tamtym w ręce – nie biskupimi przecież, nawet nie prezbiterialnymi, lecz diakona rękoma. Niemile zadanie! nie dziw więc, że ciężar włożono na barki najświeższego z diakonów. Wybiegłem za łacinnikami i istotnie wyciągnąłem ku nim rękę z pismem* (s. 101–102). Łukasz, który podsłuchał tę opowieść, posługuje się jej elementami, albo raczej jego nieświadomość posługuje się zapamiętanym obrazem. Nie mamy wątpliwości, że chodzi o kopułę kościoła Hagia Sophia – św. Mądrości w Konstantynopolu (istniała od 537 roku). Domysł ten potwierdza fakt, że podwyższenie albo scena znajdują się tam, gdzie – śni Łukasz – powinien znajdować się ołtarz grecki, nie łaciński.

W tym też kontekście daje się wyjaśnić kolejny element wizji, mianowicie fakt przesuwania się młodzieńca od lewej do prawej strony „sceny”. Sen posługuje się tu ustrukturuowaniem przestrzeni. Na mapach wschód znajduje się po prawej stronie, zachód po lewej. W takim razie młodzieniec w czerni podąża z zachodu na wschód, a symbolicznie rzecz traktując, od obrządku łacińskiego w stronę greckiego. Łukasz-Aron protestuje, jemu zależy na czymś odwrotnym – Stanisław powinien zmierzać w stronę łacińskości, o to mu cały czas chodzi, by Stanisława pozyskać dla Rzymu, oderwać od Konstantynopola. I rzeczywiście: patrząc od strony widowni Stanisław z punktu widzenia Arona zmierza w niepożądanym kierunku. Lecz z punktu widzenia osoby stojącej na scenie (zwróconej w stronę widowni) wszystko jest w porządku, ponieważ strony – jak w lustrze – odwracają się. Stanisław podąża od prawej do lewej, czyli ze wschodu na zachód. Bo tu nie chodzi o „widza”, to nie jest teatr w tym sensie, że wydarzenia na scenie dzieją się dla widza i z myślą o nim, o parametrach jego odbioru, lecz o przekonanie i sytuację samego Stanisława, o jego indywidualny punkt widzenia – to w końcu on, on sam podejmuje decyzję, czy raczej

zмага się z decyzją, o porzuceniu chrześcijańskiej greckości na rzecz łacińskości, jak pamiętamy nie przychodzi mu ona łatwo. Stanisław, podążając, czuje mękę, opór, liczne własne uwikłania w sprawy doniosłe dla interesów Konstantynopola i doniosłe dla jego własnej biografii. Pamiętamy, ile Stanisław zawdzięcza wschodowi, w tym samej Teodorze Bazylissie, Janowi Jałmużnikowi, jak długo walczył w Polsce o interesy dworu Bazyleusów, a przeciw łacińskości, Rzymowi, hierarchii rzymskokatolickiej.

Czy jednak zastąpienie Stanisława Hamletem Duńczykiem daje się wyjaśnić jedynie poprzez słabo zgodną przyległość fabuły mściciela (kwestia matki zabijanej bądź współpracującej z synem) i metonimiczne skojarzenie motywów obłąkania, czy też mamy tu do czynienia ze skojarzeniami zachodzącymi także na poziomie wyższych jednostek sensu? Chodzi teraz o pytanie śniącego Łukasza-Arona o to, czy *wyzbycie się rozumu* [było] *poniewolne* czy, *odwrotnie*, [było to] *dobrowolne wyrzeczenie się* (s. 148). Co Łukasz naprawdę wiąże z obłąkaniem Stanisława? Czy chodzi o porzucenie greckości, czy o konwersję na łaciński obrządek? Zapewne ani o jedno, ani o drugie.

Łukasz zapisuje, tym razem nie swój sen, lecz wypadki, które miały miejsce na jawie:

Jest to może szczególne podejście do zagadnienia odpowiedzialności, i Stanisław dostrzegł w nim niebezpieczeństwo dla podstaw bogo- i człowiekoznawczych chrześcijaństwa odmiany trzeciej, dla której – jego, Stanisława, pomocą zresztą posługując się – stworzyć pragnąłem warunki, co by umożliwiły wyrośnięcie drzewa potężnego z ziarna osobliwych właściwości umysłowości słowiańskiej, jakich brak Grekom zarówno, jak łacinnikom (ci i owi posiadają inne właściwości umysłowe, bezcenne wręcz często, ale właśnie – inne).

(s. 149)

O co tu chodzi? O polityczne i – by tak powiedzieć – „kościółotwórcze” (sformułowanie Parnickiego) marzenia Łukasza. Biskup nowogrodzki chciał stworzyć trzeci, słowiański Kościół oraz trzecie

cesarstwo właśnie opierające się na owych właściwościach umysłu typowych jakoby dla Słowian. Łukasz przypisywał *umysłowości słowiańskiej rozumienie Boga jako rolnika, a rodzaju ludzkiego jako zboża, gdy dla Greka jest to stosunek między artystą a tematem względnie między wykładowcą a uczniem, dla łacinnika zaś – między posiadaczem winnicy a dzierżawcą* (s. 149).

Z relacji narratora przemawiającego z wnętrza świadomości Łukasza, a zatem już nie w „Dzienniku podróży ku śmierci”, chociaż i tam, jak widzieliśmy, obficie przeniknęły elementy jego dążeń, dowiadujemy się, że biskup Nowogrodu:

Przez dziesięciolecia całe wierzył w prawdopodobieństwo, omalże w nieuchronność, powstania obok dwu cesarstw dawnych – rzymskiego (bizantyńskiego) i frankijskiego (łacińskiego) – także i trzeciego: wszechsłowiańskiego, choć w różnych czasach różnie też wyobrażał sobie, co ośrodkiem musiałoby się stać takiego cesarstwa. Zrazu myślał, że Polska; potem – co prawda przez czas bardzo krótki – iż nie Polska, lecz Czechy; wreszcie – Ruś. Ze śmiercią jednak księcia Jerzego Jarosława przestał z kolei i w Rusi dopatrywać się – jak zwykł był wyrażać się myślnie – materiału budowlanego na fundamenty dla gmachu, którego olśniewającą wspaniałość wyobraźni oczyma podziwiał (nawet w szczegółach) często a długo z wiarą, iż wcale nie zawsze będzie to rozkosz dla wyobraźni tylko oczu.

(s. 162)

Z punktu widzenia celów Łukasza, decyzja Stanisława o rezygnacji ze współpracy, wydaje się decyzją obłąkańczą. Tak sobie to tłumaczy Łukasz, który nie jest wytrawnym graczem politycznym, który o trzecim cesarstwie współistniejącym z trzecią odmianą chrześcijaństwa rzeczywiście potrafi tylko marzyć. Stanisław był idealnym kandydatem do zrealizowania marzeń Łukasza. Chociaż urodzony poza związkiem małżeńskim, był jednym z najpotężniejszych ludzi działającym, i to od wielu lat, na terenie Słowiańszczyzny. Pochodzenie ze strony ojca z głównej linii domu Piastów, ze strony matki zaś z głównej linii

Rurykowiczów oraz od cesarzy Bizancjum (matką Przecławę była Anna Bazyliśsa, córka cesarza Romana II, siostra Bazylego Bułgarobójcy i Konstantyna VIII) stawiały Stanisława pod względem pochodzenia i dziedzictwa poza wszelką konkurencją i dawały Łukaszowi nadzieję, że wokół osoby Stanisława uda się skupić dostateczne siły do urzeczywistnienia jego dążeń.

Łukasz jednak – choć marny, żaden właściwie, polityk – nie był na tyle pozbawiony trzeźwości rozumowania, by nie wiedzieć, że jego dążenia są jedynie marzeniami, i że jego marzenia nigdy nie przestaną być „rozkoszą dla wyobraźni tylko oczu”. Sądzę, że Łukasz – być może nie zawsze, ale na pewno od momentu swego uwięzienia przez Efrema w Kijowie – dobrze wiedział, że marzenia pozostaną jedynie marzeniami⁷⁹. Co innego jednak – wiedzieć, a co innego – żałować, zwłaszcza dla marnego polityka, który wie o tym, że stoi nad grobem. Stąd powracający w snach motyw obłąkanego Stanisława, który to motyw, z czasem, zapewne w związku z pracą cenzury sennej oraz metonimicznie łączących się składników stanowiących „treść” szaleństwa, zostaje zastąpiony przez innego obłąkańca – Hamleta. Łukasza nęci trop pozornie bądź rzeczywiście obłąkanego przywódcy. Wybiera (czy raczej jego nieświadomość wybiera) ze znanej sobie historii kogoś, o kim tak niewiele wiadomo, jak o historycznym Hamlecie.

Mało tego, w gruncie rzeczy pytanie o prawdziwość lub fałszywość, słowem o istotę obłądu Stanisława-Hamleta wcale nie jest dla niego ważne: „Co prawda teraz, przebudziwszy się ze snu myślę, że jest to rozróżnienie mało istotne; dla zabicia matki niezbędne mu [Łukasz pisze o Hamlecie] jest wolę uwolnić spod nadzoru rozumu; jak to osiągnie, jest właściwie obojętne, szczególnie dla matki zabijanej” (s. 148). Jest zatem sprawą drugorzędną to, czy Stanisław odrzucając możliwość współtworzenia trzeciego cesarstwa i trzeciego odłamu chrześcijań-

⁷⁹ Łukasz zdawał sobie sprawę, że uwięzienie go przez Efrema miało podwójny kontekst. Efrema ongiś przegrał z Łukaszem starania u Jerzego Jarosława o biskupstwo nowogrodzkie. Po śmierci tego ostatniego zemścił się na Łukaszu, wtrącając go do więzienia. Zdaniem Łukasza Efrema, mszcząc się za własne krzywdy, równocześnie był narzędziem w rękach przeciwników politycznych dążeń Łukasza do stworzenia trzeciego cesarstwa i trzeciego odłamu chrześcijaństwa (por. m.in. s. 162–163).

stwa objawia się jako obłąkaniec prawdziwy, rzeczywiście obłąkany, czy tylko udaje obłąkanego, by tę możliwość, tę – zdaniem Łukasza – wielką szansę odrzucić. Stanisław nie jest obłąkany, jego odmowa wynika z czystej politycznej kalkulacji, i Łukasz jest tego w pełni świadomy. Utworzenie trzeciego Kościoła, a więc perspektywa trzeciej schizmy, a zwłaszcza trzeciego cesarstwa, na dodatek otoczonego z dwóch stron przez dwa już istniejące, to perspektywa całkowicie niemożliwa, nierealna. Łukasz jednak, a raczej jego nieświadomość, musi sobie jakoś poradzić z kresem marzeń i złudzeń. Pojawiają się więc na zasadzie kompensacji sny, które z jedynej osoby mogącej marzenia owe urzeczywistnić czynią obłąkańca, co ostatecznie ocala marzenie, restytuuje je jako doskonałą koncepcję, która nie znalazła wykonawcy, ponieważ ten zwariował, zwariowawszy – odmówił lub stał się po prostu nieużyteczny.

A kim jest zabijana matka? Sądzę, że w symbolice sennej Łukasz zabijaną matką Hamleta jest on sam – Łukasz, jest matką ginącą z rąk syna. Przekreślenie marzeń Łukasza jest rodzajem symbolicznej śmierci, unicestwienia, a to właśnie Stanisław obrócił wniwecz polityczne i teologiczne ambicje Łukasza. W dodatku pamiętamy, że Łukasz, to ktoś, kto uważa się za człowieka niemożliwego, dziecko rzezańca i kto z rzezańcem się utożsamia, kto jest nieczynnym, nieaktywnym (czyli właśnie jakby wykastrowanym) homoseksualistą – on nie może się utożsamiać z zabijanym ojcem, a jedynie z matką. Po prostu bliżej mu do kobiecości niż do męskości. Domysły te może też potwierdzać fakt, że obaj: i Łukasz, i Stanisław wychowywali się w Konstantynopolu sami, bez rodziców. Łukasz był o około dziesięć lat od Stanisława starszy, więc zapewne opiekował się nim w dzieciństwie.

A zatem, w świetle dotychczasowych rozważań, co dzieje się z Hamletem? Co, w efekcie tak przeprowadzonej analizy, dzieje się z tym wątkiem, z tą postacią? Znikają pytania o prawdę zdarzeń, o istotę szaleństwa, znika sam Hamlet, ale czy całkowicie? Czy podejmując próby odzyskiwania dziejów, w gruncie rzeczy i ostatecznie odnajdujemy jedynie samych siebie wraz z tym wszystkim, co ze sobą przynieśliśmy i nic więcej ponad to? Czy pytając o przeszłość, w odpowiedzi

możemy uzyskać tylko nas samych (jeśli to jeszcze cokolwiek znaczy) wraz ze światem naszego życia? Trudne to pytania.

W zakończeniu tej części rozważań możemy stwierdzić, że na powyższe pytania udzielić można dwóch odpowiedzi: pozytywnej i negatywnej. Spośród dwóch bardziej szczegółowych analiz dotąd przeprowadzonych, wątek Przecławcy wraz z motywem gwałtu zawiera w sobie odpowiedź negatywną, to znaczy, że dostęp do minionych dziejów nie jest zamknięty, chociaż trud ich odzyskiwania wiódł poprzez spotkanie z samym sobą, z powikłaną kondycją Ja zanurzonego w zdarzeniowości i własnej cielesności. Wątek Hamleta przeczy tym stwierdzeniom. Hamlet, pozornie zajmujący wcale poczesne miejsce w powieści, nagle znika za zasłoną owego Ja, dyskurs o nim zapada się w nicość, w czystą tajemnicę jednostkowego, raz zaistniałego w dziejach bycia.

Więc jak jest ostatecznie? Może Parnicki daje do zrozumienia, że nie ma ostatecznej odpowiedzi, że może być i tak, i owak, że po prostu różnie to bywa. Nie próbuję w tym punkcie rozważań trzymać czytelnika w niepewności, retardacyjnie odraczać rozwiązania. Próbuję raczej zdać sprawę z własnej niewiedzy, z takiego miejsca, w którym także i mój własny dyskurs załamuje się pod naporem tajemnicy, tak jak załamał się dyskurs Łukasza pod naporem tajemnicy Hamleta Duńczyka.

Można by jednak zaryzykować odpowiedź, że Łukasz w przypadku Przecławcy dysponował znacznie większą ilością informacji, a dodatkowo pamięcią własnej naoczności, podczas gdy w przypadku Hamleta dysponował jedynie najogólniejszym planem zdarzeniowym (fabularnym) i ostatecznie dosyć niepewną genealogią – niepewną, ponieważ brak dowodów, że Ruryk, ojciec Geruty i Ruryk, ojciec Olega to jedna i ta sama postać. W sumie byłyby to tylko dwie najbardziej ogólnikowe informacje. W takiej sytuacji możliwość dostępu do minionej zdarzeniowości wiązałaby się z kwantem dostępnej wiedzy i była uwarunkowana ilością przesłanek, którymi może dysponować szukający. Konkluzja ta wiąże się z dokonanymi w poprzednim rozdziale ustaleniami na temat statusu prawdy w koncepcji Parnickiego, która – jak stwierdziliśmy – jest uwikłana w dia-

lektykę z pamięcią, tracąc jednocześnie status kategorii z zakresu logiki, która koniecznie musi zdać sprawę ze stopnia kwantyfikacji własnych twierdzeń.

Prawda u Parnickiego, jeśli daje się odkryć, wyciągnąć z „zasłony tajemnicy”, pojawia się gdzieś w pobliżu praktyki poznającego Ja zanurzonego w świecie swego życia (owo „poblizę” rozumieć należy diachronicznie i synchronicznie). Jest ona czymś przygodnym, nigdy nie obowiązującym w sposób powszechny, lecz mimo to istniejącym dzięki temu, że prawda zdarzenia i język nie wymijają się ze sobą nawzajem, lecz mogą – chociaż nie muszą – czasem, w określonych jednostkowo występujących dziejowych okolicznościach, znajdować się w pewnej naturalnej współbieżności. Słowo nie tyle styka się z historycznością, ile raczej jest w swej istocie najgłębiej historyczne. Ono niejako na stałe tkwi w historyczności, traci przypisywany mu wymiar niezmienniej powszechności, której rzekomymi gwarantami są zapewne w największej mierze słowniki i encyklopedie. Przed takim istotowo historycznym słowem otwiera się dostęp do rzeczy, ciała, osoby – zawsze, nieprzekraczalnie historycznych.

W tym miejscu Parnicki powtarza jakby zniecierpliwienie Ingardena komentującego *Medytacje kartezjańskie* Husserla⁸⁰ na zawłaszczenie kategorii prawdy przez logikę. Dlaczego prawda ma być koniecznie kategorią logiczną, skoro w naszej codzienności doświadczamy jej w całkiem inny sposób, na zupełnie innych prawach? Dodaje jednak, że w takim razie, tej na nowo rozumianej prawdziwości poszukiwać trzeba w świecie poza wszelką teorią, w świecie żmudnej i nie dającej się w prawomocny sposób teoretycznie modelować praktyki bycia.

Na początku tego rozdziału była mowa o tym, że motyw Hamleta można określić jako motyw brakującego tekstu. Cała dalsza analiza rozwijała się jednak poza tym stwierdzeniem, dopiero teraz bowiem można zastanowić się, co ono oznacza. Czas na zakończenie do tej zawieszanej kwestii powrócić.

80 Nie ma, oczywiście, dowodów na to, że Parnicki znał komentarze Ingardena do *Medytacji kartezjańskich*. Dlatego powyższą uwagę należy traktować jak metaforę wspólnej problematyki.

Łukasz w swym „Dzienniku podróży ku śmierci” po raz pierwszy w dziejach – chronologicznie rzecz biorąc, oczywiście w zakresie chronologii fingowanego świata – napisał o Hamlecie, jeśli nie liczyć zaginionej sagi, na której miał się opierać Saxo Gramatyk. Na dodatek w swych zapisach Łukasz wprowadził Hamleta od razu na scenę. Czy jest to zabawa literacka Parnickiego? Być może, ale jeśli nawet, to zapewne nie tylko.

Nie wydaje się, by autor *Słowa i ciała* tworzył bohatera, którego, znów jako pierwszego w dziejach, uwiodła, oczarowała historia duńskiego księcia. Wydaje się, że Parnicki stara się pokazać swemu czytelnikowi inną sytuację. Chodzi mu chyba o to, że pewne zestawienia słów, a na wyższym poziomie pewne obrazy, pojawiają się w dziejach więcej niż jeden tylko raz. Parnicki pokazuje sytuację, w której, z całkowicie innych powodów, wewnątrz zupełnie innych historycznych uwikłań, rodzi się podobny motyw: królewicz duński Hamlet, smutny młodzieniec ubrany na czarno, pojawiający się na scenie teatru, a wraz z nim jego historia, zamknięta w zwięzłą i zniewalającą fabułę rodowej zemsty.

Jeśli dodamy do tego, że w IV tomie *Nowej baśni*, w *Glinianych dzbanach*, tekst Łukasza, przechowany przez niemal pięć stuleci, powróci jako interesująca lektura kogoś z kręgu osób bliskich autorowi *Hamleta* (pisarz nie mówi, kto to mógłby być), to okaże się, że Parnicki wprowadza motyw brakującego w dziejach tekstu, raz jeszcze zapośredniczającego niejako jednostkowość historycznego Hamleta i jego powszechną doniosłość jako literackiego bohatera. Nie chodzi tu zapewne o umniejszenie szekspirowskiego geniuszu. Raczej motyw ten wiązać można z szeroko opisanymi problemami szekspirowskich zapożyczeń tematycznych i fabularnych, jak też i z szerszym problemem krążenia tekstów i motywów w kulturze.

Jest to problem dla *Nowej baśni* niezmiernie ważny, będzie się z nim musiał zmierzyć każdy potencjalny interpretator całego cyklu Teodora Parnickiego. Ten cykl bowiem – jeżeli ta kategoria w ogóle jest do utrzymania w odniesieniu do takiego zjawiska literackiego, jakim jest *Nowa baśń* – sześciu kompletnie, zasadniczo różniących się od siebie powieści, posiada właściwie tylko jeden jedyny sca-

lający element. Są nim właśnie krążące i narastające teksty, różnie komentowane i przepisywane w zależności od zmiennego oceanu ogarniającej i pochłaniającej je historii niezmiernie trudnej i złożonej. Są to teksty napisane przez ludzi, którzy – jak Aron – wyłaniają się z tego oceanu i, pozbawieni pamięci, muszą się uczyć wszystkiego od początku.

Podróż na Atlantyde, czyli śmierć w powieści dziejowej

O czym to jest? – wprowadzenie do tematu

Zacznijmy od tezy. Tom I *Nowej baśni* Teodora Parnickiego, zatytułowany *Robotnicy wezwani o jedenastej*, to powieść o umieraniu. Czy można wyobrazić sobie lepszy temat dla powieści historycznej czy też raczej dla – jak określiliśmy odmianę gatunkową uprawianą przez autora *Twarzy księżycy* – powieści dziejowej? Rama modalna gatunku sama zdaje się wyznaczać problematykę: powieść historyczna to powieść o ludziach, którzy kiedyś żyli i którzy umarli. Przy dokładniejszym oglądzie ten wyznacznik gatunku wydaje się nadrzędny wobec wszystkich innych.

Rzecz jasna, pozostałe powieści z dorobku Parnickiego nie są wolne od problemu umierania / śmierci, jednak *Robotnicy wezwani o jedenastej* zasługują pod tym względem na szczególną uwagę, ponieważ w żadnej innej powieści pisarza śmierć nie staje się w tak oczywisty sposób widocznym – zapewne również nadrzędnym – elementem przedstawienia.

W tej powieści – inaczej niż dzieje się to zazwyczaj w innych – bohaterowie umierają na ogół powoli i świadomie, co jednak nie znaczy, że okoliczności ich śmierci nie są dramatyczne. Są takie, ale żadna główna postać – wyjąwszy zamordowanego na Skałce biskupa Stanisława i kilku bohaterów dalszego planu (którzy giną w okolicznościach tyleż gwałtownych, co okrutnych) – nie ginie w wyniku morderstwa, zamachu, wypadku, któremu ktoś by dopomógł, jakieś – powiedziałaby Parnicki – zwierzę dwunogie.

Zastanawia także powszechność śmierci: końca akcji nie dożywa żaden bez wyjątku bohater – w zakończeniu powieści, wraz ze śmiercią ostatniego z nich, milknie również narrator, nie ma już bowiem postaci, która by mogła stać się centrum narracyjnej orientacji.

Wyliczmy – wedle chronologii powieściowej – zgony i ich powody: Aron – ze starości, Mieszko II – zmuszony do samobójstwa, Bolesław Chrobry – na astmę bądź puchlinę wodną, Łukasz – na gruźlicę, król Etelred – na raka, Teodora Bazylissa – ze starości, biskup Stanisław – zabity toporem, Gnup Islandczyk – zasztyletowany, Sokke – rozszarpany gołymi rękami, Eryk – z głodu i skrajnego wyczerpania, Hilda Grenlandka – wskutek gwałtów i z wyczerpania. Przygnębiająca galeria umarłych...

W tej części niniejszej pracy czeka nas – metaforycznie mówiąc – zapowiedziana w jej tytule podróż na Atlantyde. Kto wie, czy nie jest to jeden z najbardziej zagadkowych tematów Parnickiego. Tom I *Nowej baśni* jest jednym z kilku tekstów pisarza, w którym Europejczycy albo – szerzej – mieszkańcy lądu euroazjatyckiego, wyprawiają się za ocean do Ameryki na długo przed Kolumbem. W omawianej powieści problematyka śmierci i urzeczywistnione marzenia o lądzie za oceanem splatają się ze sobą.

W pierwszej kolejności zajmijmy się więc literackimi opracowaniami tematu umierania, przyjrzyjmy się opisom kilku wybranych śmierci, zbadajmy, jaki dyskurs próbuje wypowiedzieć śmierć, jaka mowa jej towarzyszy, co mówi umierający, sprawdźmy, czy język jest zdolny do zmagania się z tą problematyką i czy nie załamuje się pod jej naporem.

„Lecz czuję, że oto już...”

Aron ma 82 lata, gdy umiera w Sandomierzu, w 1059 roku. Warto nasze analizy rozpocząć od tego właśnie zgonu, ponieważ umieranie Arona przebiega najłagodniej, przebiega ono wręcz – jak na przyzwyczajenia piszącego te słowa, nabyte w trakcie długoletnich lektur powieści Parnickiego – zadziwiająco łagodnie. I niczego pod tym względem nie zmienia fakt, że dożył on bardzo sędziwego, nawet jak na obecne czasy, wieku, nie mówiąc o przeciętnej długości życia w XI stuleciu.

Sędziwy arcybiskup krakowski odchodzi, właściwie nie cierpiąc fizycznie, wręcz jakby został wyzwolony z cielesnego uwikłania. Scena jego śmierci rozpoczyna się od teologicznych drwin Arona, który udaje, że w Stanisławie dopatrzył się diabła walczącego o jego

duszę, kuszącego go przedśmiertnie. Ta część aż roi się od żartów, takich jak, przykładowo, te: *Oświeć mnie* [mówi Aron do Stanisława]: *co właściwie przedstawia sobą to oblubowane sobie ostatecznie [...] mieszkanie chwilowe wysłannika piekieł? Kimś musisz być jako człowiek. Nie wierzę, by na wiadomy użytek jednorazowy tylko stworzyć miało piekło [...]* tak kosztowną wcale szatę, jak twoja postać, głos, spojrzenia wyraz, znajomość dobra kilku języków [...] (s. 14–15); [...] *chyba we śnie tylko może zjawić się o aż tak bardzo prostackim podejściu do umysłów bądź co bądź dostojników kościelnych – diabeł* (s. 16). Poprzez te kpiny Aron mówi jednak chyba coś istotniejszego – dochodzimy do takiego wniosku, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że cały *passus* nie posiada politycznego podtekstu, nie jest obarczony jakimś dodatkowym znaczeniem w tym zakresie¹. Otóż wydaje się, że Aron stara się żartem, kpina, szyderstwem przywrócić zbliżającej się śmierci jej cielesny, biologiczny wymiar, który skrywa się za zasłoną metafizyki i teologicznych konstruktów. Ale jak rozmawiać o odartej z metafizycznych złudzeń śmierci? Czy to w ogóle jest możliwe? Czy w takich razach mowa nie milknie lub nie szuka sposobów zastępczych, takich właśnie, jak np. kpiny, żarty z teologicznych nieprawdopodobieństw? Stanisław stwierdza: [...] *wszystko to przecież rzeczy uboczne są: rozprawiamy o nich, bo o istotnych nic sobie wzajem powiedzieć nie umielibyśmy. Jesteśmy jak głodny w krainie Atlantów; wysusza liście pewnej dziwnej rośliny, skręca je na kształt pieszczalki, jeden z końców bierze do ust, drugi zapala, wciąga w siebie dym; po chwili przestaje odczuwać głód, chociaż żołądek nadal nie jest napełniony* (s. 96). Mowa „zagaduje” nicość, uśmierza strach, wypełnia nieważnymi słowami ogarniającą pustkę i pozwala uciec od trwogi przed umierającą cielesnością. Za chwilę powrócimy do tego wątku.

1 Obaj rozmówcy rozmawiają w trzech językach: po łacinie, po grecku i po saksońsku. Ponieważ mają świadomość, że są podsłuchiwanii, zmieniają języki w trakcie rozmowy w zależności od politycznej doniosłości podejmowanych kwestii. Wiedzą, że łacina zrozumiała jest dla wszystkich podsłuchujących, więc gdy Aron kpi sobie z szatańskich zakusów na jego duszę, mówi wyłącznie po łacinie, sprawy tajne zaś omawia po saksońsku, gdyż zakłada, że spośród podsłuchujących przynajmniej Łukasz i Anchoras, a może także Rycheza Młodsza rozumieją grekę.

Starzec, co z racji wieku oczywiste, spodziewa się śmierci: *kazał wraz ze światłem przynieść i przybory piśmienne do poczekalni. Tak zwykł był nazywać właśnie w ciągu kilku ostatnich lat [...] swą komnatę sypialną* (s. 9). Nietrudno się domyślić, na co oczekuje Aron w swej poczekalni. Zwłaszcza że ma niezbite dowody, które zwięźle wyklada Stanisław: *w listopadzie roku minionego straciliście nagle przytomność. Szybko odzyskaliście ją, to prawda, ale spać po omdleniu owym nie możecie. Chorzyście* (s. 10). Pozorny spokój podszyty jest strachem, pogodzenie z nadchodzącym końcem okazuje się mało wiarygodne. Kpiny z metafizyki nie uwalniają od niepokoju. Po pewnym czasie, w trakcie rozmowy ze Stanisławem także ciało odmawia posłuszeństwa. Dzieje się tak w wyniku wstrząsu, jakiego Aron doznaje w związku z bardzo dla niego niepożądanymi informacjami (była o tym mowa wcześniej; por. rozdział *Hamlet Duńczyk – zamknięcie*):

Źle wam? mdlejecie? O, nie! Jeszcze nie umrzecie, spójrzcie na tę flaszeczkę. Otwórzcie usta. Nie upierajcie się, jak nie wy sami, ja wam musiałbym przemocą otwierać je, a to ni dla was, ni dla mnie też żadną nie byłoby przyjemnością... [...] Ból – wiem coś niecoś także i o tym, nie z ksiąg, z doświadczenia – to olbrzym, mocarz; kto mówi, iż pokonać go zawsze władny jest, ten najstraszliwszą zaiste grzeszy pychą... Proszę gorąco: jeszcze łyk. Ku tyłowi łaskawie głowę przechylcie.

(s. 19)

Ból, cierpienie fizyczne nie poddają się opisowi. Stanisław twierdzi, że o bólu niczego nie można się dowiedzieć z ksiąg, że może być on tylko dany w doświadczeniu własnej cielesności. Można chyba powiedzieć więcej – ból wymyka się omówieniu, nie poddaje się działaniom języka. W jaki bowiem sposób można walczyć z cierpieniem? Za pomocą rozumu, słowa, woli – za pomocą czynności właściwych dla upodmiotowionego Ja. Stanisław wie, że walka ta udać się nie może, ciało bowiem ostatecznie zawsze „zwycięża” ludzką podmiotowość, ostatnim zaś zwycięstwem ciała jest śmierć. Śmierć ciała wyznacza kres podmiotowości, której jedynym oparciem jest życie biologiczne –

niepodatne na wszelkiego typu metafizyczne bądź teologiczne konstrukcje.

Nie znaczy to, że konstrukcje te nie odgrywają żadnej roli. Przeciwnie, one właśnie umożliwiają funkcjonowanie podmiotowości zanurzonej w świecie, wręcz tę podmiotowość konstytuują. Jednak w sytuacjach ostatecznych zawodzą, tracą ważność, nie są „władne” pokonać „głosu” płynącego z ciała, nie są „władne” zagłuszyć go swoim „głosem”. Konstrukcje źródłowo uzależnione są od sytuacji ciała i niejako pod jego dyktando kształtują się i uwewnętrzniają.

Wróćmy do omawianej sceny. Aron dostał od Stanisława środek uśmierzający ból: jest to narkotyk, który już znamy; spotkaliśmy się z nim przy okazji analizowania postaci Łukasza (por. rozdział *Hamlet Duńczyk – zamknięcie*). To zapewne z powodu podanego narkotyku zgon Arona przebiega tak łagodnie. Łagodnie – w oderwaniu zatem od ciała, od cierpienia fizycznego. Mimo to jednak scena ta jest niezwykle sensualna. Parnicki w wypowiedzi Stanisława zdołał otworzyć cały biologiczny wymiar tej sceny. Stanisław zmusza Arona do wypicia płynu, ten wzbrania się, nie chce odchylić głowy, wreszcie zgadza się albo raczej poddaje woli silniejszego, dużo młodszego mężczyzny, w którym pojenie starca przemocą wzbudza obrzydzenie. Sygnalizuje to w krótkim zdaniu: *to ni dla was, ni dla mnie żadną nie byłoby przyjemnością*.

W kolejnym dialogu Arona z Łukaszem pojawiają się – już z większym natężeniem – elementy odsyłające do cielesnego wymiaru umierania. Aron pyta: *powiedzcie, właśnie jako lekarz, życia w ciele ile mam przed sobą?* (s. 73). Zauważmy: życie, które Aron wiąże z istnieniem upodmiotowionego Ja, wspiera się na biologiczności. Podmiotowość nieprzekraczalnie uwikłana jest w biologię. Dalej czytamy: *Słyszę was, rozumiem, myślę i nadal z jasnością, nawet i ścisłością, a przecież życia – właśnie cielesnego – właściwie w sobie nie czuję już; wydaje mi się, że tylko umysłem już, więc duchem czystym...* (s. 73). Środki znieczulające działają, Aron powoli wyzbywa się życia bez cierpień, nie czuje ciała, co nie znaczy, że się go nie obawia. Dalsze słowa podpowiada strach, skoro Aron ucieka w metafizyczną fikcję platonizmu, mówiąc o sobie jako o bezcielesnym „czystym duchu”. Łudzi się, że oddzielenie

takie jest możliwe i oto staje się ono faktem jeszcze za życia „cielesnego”, jakby w ogóle istniało jakieś inne życie. Ucieczka w fikcję przychodzi w następstwie obawy przed ciałem, które jest coraz bardziej wyalienowane, dalekie, jakby już nie własne. Ono okazuje się czymś niebezpiecznym, po prostu mordercą, który zaraz ostatecznie zaatakuję. Przepaść między Ja a jego (choć właśnie coraz mniej jego) ciałem powiększa się. Ciało staje się czymś wyraźnie zewnętrznym wobec Ja. Łukasz zresztą od razu atakuje naiwną wiarę umierającego w fikcję czystej (czyli wyzbytej ciała) duchowości, wykrzykując: *Niepoprawny z was platonik!* (s. 73). Zauważmy mimochodem – Łukasz objawia się w tej scenie jako zdecydowanie lepszy filozof krytyczny niż polityk. Fikcja czystej duchowości wydaje mu się nie do przyjęcia, szydzi z *całego orygenistów wielogłowie wielo- (i piękno-) słownego* (s. 73).

Łukasz mówi w ostatnim cytowanym zdaniu bardzo wiele. Platolicy, orygeniści zredukowani zostają w tej wypowiedzi nie do głosów, słów, wywodów, pism, tekstów, lecz – do głów, a zatem do cielesnej materialności mózgów. Z głębi ciała dobywają się głosy niejako zaprzeczające owej cielesności, tęskniące za ucieczką od nieprzekraczalnego uwikłania w nie. Nieprzekraczalnego, ponieważ wielosłowie dobywa się z głów, z mózgów, z ust – słowo artykułuje się poprzez fizjologię i w zakresie fizykalności, materialności mowy, i w zakresie znaczenia oraz sensu, skoro słowa rodzą się w mózgu, ostatecznie – splocie neuronów, kombinacji tłuszczów i białek. Potok słów, ich nadmiar próbuje zagłuszyć trwogę przed ciałem, jego materialnością, fizycznością i przed jego kresem. Potok słów „przykrywa” trywialność cielesnej śmierci. Łukasz skłonny jest traktować te wypowiedzi z punktu widzenia kategorii estetycznych, skoro wtrąca nawiasową uwagę o „pięknosłowie”. Piękność zaczyna dominować nad trywialnością i brzydotą. Wypowiedź, aby pokonać lęk, posługuje się pięknymi słowami, fikcja jest zawsze piękniejsza od rzeczywistości.

W odpowiedzi Aron pozornie porzuca fikcję czystej duchowości. Mówi w ten sposób: *Ciekawe! Wciąż dokładnie rozumiem mowę waszą, a przecież was słyszę, jak gdybyście nie z bliska, tylko z planety innej jakiejś przemawiali teraz do mnie* (s. 73). Starzec broni się tym razem nieco inaczej, ale na myśli ma właściwie to samo, co w swej poprzed-

niej wypowiedzi. Bo cóż to za planeta, z której miałby przemawiać Łukasz do Arona? Zapewne chodzi o Ziemię, którą Aron – jako czysta duchowość – już opuścił. Metafora ta umożliwia mu pozostanie wewnątrz fikcji, która pozwala nie dostrzec, że takie a nie inne słyszenie rozmówcy jest podyktowane fizjologicznie. Po prostu ciało – chociaż dzięki wypitemu narkotykowi nie boli – daje jednak o sobie znać, dopomina się niejako o uwagę, przestają poprawnie funkcjonować zmysły.

Łukasz, który jest przecież lekarzem, rzeczowo informuje umierającego: [...] *umieracie czy raczej [...] zamieracie. Potrwa to jeszcze, z tym (myślę, że nie błędzę), iż życie zwierzęce w was gaśnie z wolna, tak jak świeca* (s. 73–74). O powolnym gaśnięciu „życia zwierzęcego” świadczą i utrata czucia w ciele, i kłopoty ze słuchem. Kto wie, czy takie bezbolesne umieranie Arona nie jest dlań cięższym doświadczeniem w sensie intelektualnego wyzwania, niż śmierć w cierpieniach otepiających i na tymże cierpieniu ześrodkowujących zamierającą myśl, skoro: [...] *umysł sprawność swą – istotnie nadwyzczajną – do ostatniej, jestem przekonany, zachowa chwili...* (s. 74). Sprawny umysł Arona – jak już wiemy: „do ostatniej chwili” – będzie mógł kontemplować, wsłuchiwać się w swe osuwanie się ku nicości wciąż zapowiadanej przez zamierające ciało, przez kolejne wyłączanie się fizjologicznych funkcji.

Po pewnym czasie przychodzi utrata mowy, a później śmierć. *Arcybiskup krakowski z pół godziny jeszcze po utracie władzy mowy żył – jako spojrzenie [...], nim zgasło i ono też* (s. 89). Ostatni sygnał przychodzi z ciała, Aron bełkocze w urywanych zdaniach: *Lecz czuję, że oto już...* (s. 88). Starzec czuje bliską już śmierć we własnym ciele, właśnie – bardziej czuje niż rozumie (wie). Chodzi tu, jak sądzę, o podkreślenie najbardziej elementarnego, sensualnego poziomu odbioru własnej cielesności – czucia, od-czucia ciała, szczególnie że wypowiadając zdanie o „czuciu”, Aron urywa je, nie dopowiada, jakby samo słowo „śmierć” nie odpowiadało temu, co czuje jako nadchodzące z głębi doznawanej własnej fizjologiczności. Język milknie wobec tego odczucia, a wciąż przytomna jaźń wzdraga się przed wypowiedzeniem słowa. Czy powoduje to strach, czy niewspółmierność rzeczy i słowa? – tego się, oczywiście, nie dowiadujemy, ponieważ Aron, nie

dopowiedziawszy zdania do końca, zmienia temat. Za chwilę zobaczymy, że ta zmiana tematu jest bardzo znacząca, ponieważ niedopowiedzenie – bez względu na jego powody – prawdy zdarzeń skutkuje osunięciem się dyskursu w czystą fikcjonalność.

Na uwagę zasługują wobec tego ostatnie chwile Arona, chwile, kiedy miał jeszcze siłę mówić. Rozmawiał wtedy ze Stanisławem. Wcześniej już sygnalizowałem ten wątek, chociaż w całkiem innym kontekście (por. rozdział *Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice*). Czas teraz do tego wrócić. Chodzi mianowicie o dwa zagadnienia, które w jakiś sposób, jak się wydaje, do siebie przystają, a które pojawiają się w wypowiedziach Arona następujących jedna po drugiej – obie te wypowiedzi były tu już powyżej cytowane, rozważyliśmy je jednak wyłącznie w kontekście ich funkcjonowania w języku polityki. W pierwszej z nich – przypomnijmy – Aron proponował Stanisławowi, iż odda mu swą duszę na przechowanie, ponieważ: *Spać byłoby zaiste wielka szkoda pod ziemią, na której jeszcze tyle arcyciekawych rzeczy i spraw do poznania jest* (s. 87). Jest to – stwierdziliśmy – swoisty gest polityka, który w ten sposób dosyć skutecznie próbuje wyrzucić presję na Stanisława. Natomiast w drugiej wypowiedzi, powikłanej i bełkotliwej, Aron potwierdza nieprawdę, przyznaje się, że istotnie zamienił się osobowościami z legendarnymi Pwylem czy też Peredurem. Tu także miał na uwadze względy polityczne, a mianowicie kwestię obsadzenia krakowskiego arcybiskupstwa. Czy wypowiedzi te, odniesione do tego, co dotąd powiedzieliśmy na temat umierania, układają się w jakiś czytelny schemat? Czy posiadają też jakiś inny sens, poza politycznym? Czy można je wpisać w interpretowany już wcześniej wysiłek jaźni stojącej wobec wyzwania własnej śmierci?

Ta pierwsza wypowiedź, dotycząca zamiany osobowościami, stanowi – jak się wydaje – wyraz strachu przed nicością oraz sprzeciw wobec jej nieuchronności, którą „gwarantuje” śmiertelność ciała. Powraca tu zatem ten sam motyw, który pojawił się w rozmowach z Łukaszem – silne przywiązanie do fikcji „czystej duchowości”. Mimo parokrotnie powtarzających się drwin Łukasza, jak i z powagą wypowiedzianych przestróg, takich jak: *Żyćście blisko sto lat w pętlach poezji (bo nie sposób przecież rzec: filozofii) orygenistów czy innych platoników,*

wyzwolić się z pęt tych – choćby i na progu samym śmierci już – nie zdolacie?! (s. 74), Aron kurczowo trzyma się myśli o „tchnięciu” w Stanisława swojej duszy. Stwierdza: „wolę wierzyć” (s. 87), że to możliwe. Wola wiary jest wolą fikcji, pożądaniem owego „pięknego wielosłowa”, które łagodzi strach, chroni zamierającą myśl przed spotkaniem z nicością. Fikcja „przykrywa” brutalną rzeczywistość – pozwala o niej nie myśleć.

Druga wypowiedź potwierdza tylko nasze domysły. Zamiana osobowościami „rymuje się” z przekazywaniem duszy na przechowanie, aby dalej przytomnie trwała po dokonaniu się cielesnej śmierci. W tym przypadku jednak Aron ucieka w fikcję – by tak powiedzieć – „piętrową”, fikcyjne są bowiem zarówno ta historia, która nigdy nie zdarzyła się w rzeczywistości, jak i jej prefabularny fundament wyrażony nieprawdopodobną możliwością dokonania zamiany osobowości przez uczestniczących w niej braci bliźniaków: Arauna i Pwyła lub Peredura. Warto odnotować na marginesie, że Aron, dając się wciągnąć w tę fikcję, przestrzega zasad arystoteleskiej immanentnej, „wewnętrznej” *mimesis*. Pożądana opowieść posiada w zakresie cudowności przedstawionych elementów wewnętrzną koherencję. Najpierw, w charakterze ramy modalnej, następuje wyznanie wiary w możliwość przenoszenia się dusz, swoistej metempsychozy, później poznajemy pierwszą „wersję” o pozostawieniu duszy na przechowanie według schematu: „umierający przekazuje żyjącemu”, a na końcu wszystko znajduje swe uprawdopodobnienie w ramach oddalonej w czasie opowieści, dodatkowo uzasadniającej poprzedzającą ją pierwszą „wersję”, która funkcjonuje według schematu powtarzalności historii: „tak bywa”, „tak się zdarza” – cudowność uzasadnia się w powtórzeniu, tym samym w wielosłowniu i pięknosłowniu.

Znaczące, że Aron zdecyduje się zamieszkać w tej drugiej fikcji wówczas, gdy poczuje, „że oto już...”, gdy zda sobie sprawę, że koniec jest już niezmiernie bliski. Im bliżej końca, tym potrzeba ocalającej fikcji staje się większa – czy nie taki jest sens tej sceny? Apetyt na zatrutę w cudowności rośnie w miarę narastania grozy tego, co rzeczywiste. Jest to moment, w którym słowo boi się prawdy zdarzeń, woli uniknąć z nią konfrontacji, wybiera więc ucieczkę, uwalnia się od istoty zdarze-

nia albo raczej nie daje rady tej istoty udźwignąć. „Biologia okazuje się silniejsza niż kultura” (ZP, s. 79), ale kultura z trudem oddaje pole, z trudem wprost proporcjonalnym do oporu przed prawdą biologii.

Mamy tu do czynienia z interesującym powikłaniem. Odkryliśmy mianowicie, że obie analizowane wypowiedzi w całości uaktywniają dwa różne – tak przez Szymutkę nazwane – języki: język polityki i język estetyki (por. ZP, s. 76–105). Nie jest tak, że pewne elementy wypowiedzi należą do jednego z tych języków, a inne – do drugiego, lecz każda z tych wypowiedzi należy bez reszty równocześnie do obu języków, jakkolwiek w ramach tych języków sens danej wypowiedzi odpowiednio się zmienia. Szymutko pisze:

W związku z jednością kodów i czynów zakres występowania poszczególnych języków nie zależy ani od terytorium – życie lub literatura – ani od ludności. Ta sama osoba może mówić jednym lub drugim, albo, co częstsze, mieszać języki, wtrącać do wypowiedzi politycznej makaronizmy estetyczne, i odwrotnie. Czytając [...] o „estecie” lub „polityku” nie należy traktować ich jako osób, lecz jako podmioty wypowiedzi sformułowanych w danym języku, obojętnie, jakie w danej chwili noszą imię.

(ZP, s. 78)

W omawianej scenie mamy do czynienia z idealnym nałożeniem się języka polityki i języka estetyki w ramach dwóch tych samych wypowiedzi. Nie oznacza to, że podział zakładający ich przemienność traci moc obowiązującą, lecz to, iż przenosi się on na wyższe piętro gry nadawcy z samym sobą oraz z odbiorcą. Inaczej mówiąc, Aron jako odbiorca własnego komunikatu nastawiony jest na odbiór tej wypowiedzi w ramach kodu estetycznego, jakby mówił sam sobie: przetrwasz, mimo że za chwilę umrzesz. Stanisław natomiast jest przez tę samą wypowiedź zaprojektowany jako odbiorca kodu politycznego i tak też tę wypowiedź odbiera. Ta sama wypowiedź w obu przypadkach znaczy co innego, a stanowią o tym fakcie semantyczne potencjalności w niej samej zawarte, jak też – by tak to określić – interpretacyjne

nastawienie odbiorcy, który spodziewa się komunikatu sformułowanego w danym języku lub raczej oczekuje, że dany komunikat zrealizuje tego, a nie innego języka wyznaczniki.

Wróćmy jednak do Arona. Zostawiliśmy go w momencie, gdy nie mógł już mówić i – tak to zostało sformułowane w powieści – *żył już jako spojrzenie tylko*. Dzięki temu widzeniu pewien szczątkowy kontakt ze światem wokół wciąż jeszcze Aronowi pozostawał. Wtedy jeszcze siła fikcji, jak zobaczymy, jest przeważająca mimo prędko nadchodzącej śmierci. Wypadki przebiegają w następujący sposób: Aron mówi do Stanisława: *Słuchaj: jak tu przyjdą oni, zechcą śpiewać nade mną psalmy: najpierw – pokutne, w chwilę później już – żałobne. Nie chcę tego śpiewania, chcę czy to odlatując, czy zasypiając na tysiąclecia, słyszeć... Nie powiem co; odgadnąć sam powinienes... Wtedy bym miał pewność...* (s. 88). Jakkolwiek humorystycznie by to brzmiało, Aron – oczywiście formułując wypowiedź w ramach kodu estetycznego – prosi Stanisława o rodzaj potwierdzenia, że jego, Arona, dusza już „przedostała się” w Stanisława. Wnoskujemy o tym na podstawie niedopowiedzenia, za pomocą którego Aron domaga się potwierdzenia: starzec miałby pewność, że ten dziwaczny, metempsychoyczny „transfer” się powiódł. Stanisław spełnia prośbę Arona, trafnie odgaduje, o jakie słowa chodzi umierającemu, chociaż jego wypowiedź, jego prośbę zrozumiał, odwołując się do kodu politycznego.

Aron chciał, aby zamiast psalmów zabrzmiały nad nim w chwili śmierci słowa Ewangelii św. Mateusza, a mianowicie przypowieść o „robotnikach wezwanych o jedenastej” do pracy w winnicy. Łukasz, komentując dwa tygodnie po śmierci Arona tamto zdarzenie, stwierdza:

temu wciąż dziwuję się, czemu właśnie ten – nie żaden z tylu innych w Piśmie świętym, może i stosowniejszych znacznie na chwilę umierania – upodobał sobie urywek. Kogo ze znajdujących się wtedy przy nim chciał pouczyć względnie upomnieć w ten, nie w inny sposób? [...] Miałbym [...] wytłumaczenie innego zupełnie rodzaju: a i jasne, i proste, zaiste doskonale jednoznaczne. Oto nikogo ani nie pouczał, ani nie upominał; było to

nie dla innych, dla niego samego. Odniośł dwakroć tym właśnie orężem walcząc świetne zwycięstwo, czy więc nie była to po prostu zachcianka – wojownika, nie mędrca – aby nad konającym grzmiały te same trąby, co ongiś na polu bitewnym obwieszczały jego bezsprzeczny triumf?!...

(s. 98)

Łukasz mówi o dwóch zwycięstwach Arona, obu związanych z osobą Bolesława Lamberta. Pierwsze Aron odniósł nad królem Etelredem, walcząc o sprawę Lamberta, drugie zaś – nad Bolesławem Chrobrym, gdy sprzeciwił się ukaraniu Bolesława po sprowadzeniu go do Polski. Stanisław doskonale zdawał sobie sprawę z tych zwycięstw krakowskiego arcybiskupa, znał ich przebieg, domyślił się więc, co chciałby Aron usłyszeć nad sobą w chwili śmierci. Z punktu widzenia polityki Stanisław wygrał w ten sposób swoją sprawę (była już o tym mowa – zob. rozdział *Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice*), mógł bowiem dzięki temu – on, jak dotąd zaledwie dworzanin biskupa Lamberta Sylasa – stać się mistrzem ceremonii pogrzebowej, który po śmierci Arona, niejako w zastępstwie zmarłego, rozdawał przywileje i stanowiska. Umierający, usłyszawszy to, czego pragnął, utwierdził się w swej wierze w metempsychotyczną fikcję, co potwierdza się już nie w słowach – Aron, jak pamiętamy, nie może mówić, lecz w wyrazie twarzy, oczu: *I właśnie w spojrzeniu tym, nim zgasało i ono też, że nie zawiódł Stanisław, wyraźny zaiskrzył się sygnał – zadowolenia bez zastrzeżeń* (s. 89). Zadowolenie w oczach – czego to znak? Jest to komunikat sformułowany w języku polityki czy estetyki? A może, jak dwukrotnie poprzednio, i w jednym, i w drugim?

Wygląda więc na to, że przywiązanie do fikcji, a szerzej – język estetyki, jest pewną funkcją świadomości, która fikcji owej nie jest skłonna się pozbyć nawet wobec narastających sygnałów ciała. Chyba można zatem stwierdzić, że język polityki i język estetyki są raczej pewnymi strukturami myślenia, które sterują formułowaniem wypowiedzi. Z tej perspektywy bardziej może należałoby im się miano dyskursów, które mieszczą się pomiędzy wypowiedzeniową potencją języka a wypowiedzią, wywierając na tę ostatnią modelującą presję. Odwołuję się

tu do takiego pojęcia dyskursu, jakim posługiwał się Foucault. Należy jednak położyć nacisk na fakt, że według francuskiego badacza dyskursy są w zasadzie uniezależnione od rzeczywistości, stanowią jakby matryce, wedle których rzeczywistość się postrzega, rozumie i interpretuje. Dyskursy są – inaczej mówiąc – funkcją nieświadomości, a ich badacz wchodzi w rolę psychoanalityka.

Napór na jednostkę zanurzoną w świecie tego, co rzeczywiste, jest u Parnickiego dużo większa. Odnosząc to do naszych rozważań, powiedzieć można, że dyskursy (w tym to, co nazywamy tu językiem polityki i językiem estetyki) jakby „uginają się” pod wpływem jednostki, to ona zawsze nadaje im ostateczny kształt i wywiera na nich swe piętno. Przykładowo, Aron, który dyskurs estetyki realizuje nawet wtedy, kiedy nie może już mówić, czyni to jednak pod wpływem własnej biologiczności umierającego ciała. Podobnie Stanisław – odbiera i nadaje komunikaty z głębi dyskursu polityki pod wpływem rzeczywistych okoliczności, takich – by wymienić tylko te łatwo dostrzegalne – jak śmierć Arona, chęć poskromienia secesyjnych dążeń biskupa Lamberta Sylasa, odsunięcie od krakowskiego arcybiskupstwa biskupa Hieronima i Anchorasa. Dyskurs polityki musi więc wziąć pod uwagę pewną materialność wyzwań, przed którymi stoi – bez tego zamieniłby się w łatwo rozpoznawalną fikcję, to rzeczywistość jest jedynym sprawdzianem skuteczności jego działania.

Warto dodać przy okazji, że zasadnicza najprawdopodobniej różnica między Foucaultowskim rozumieniem dyskursu a możliwościami rozumienia i przedstawienia tego problemu, jakie podpowiadają teksty Parnickiego, polega na odwrotności kierunków. Z podobnym zjawiskiem mieliśmy do czynienia wówczas, gdy rozważaliśmy zależności między autorem *Srebrnych orłów* a Husserlem. Wyzwaniem dla Husserla i Foucaulta jest pewien teoretyczny model, jakaś teoria (jakkolwiek by nie ograniczać operacyjności kategorialematu teorii we współczesnej *episteme*, co zwłaszcza dotyczy się ponowoczesnego Foucaulta), natomiast u Parnickiego wszystko ogranicza się do *praxis* bycia w świecie pojedynczych indywiduów. Stąd każda wypowiedź, każde zdarzenie jednokrotnie zaistniałe w dziejach zasługuje jakby na osobne omówienie i jakiś inny namysł, ponieważ za każdym razem

jest inaczej uwarunkowane, inaczej określone przez rozliczne okoliczności oraz zmienne czynniki swego zjawienia o rozmaitym charakterze i statusie ontycznym.

Estetyzacja śmierci

Kontynuujemy w dalszym ciągu rozważania o śmierci u Parnickiego. Nie mam sadystycznych skłonności. Po prostu problem śmierci, umierania oraz – by tak powiedzieć – bycia w umieraniu wydaje się dla I tomu *Nowej baśni* niezwykle istotny. Zastanówmy się teraz nad trzema innymi powieściowymi zgonami – w kolejności: Etelreda, Bolesława Chrobrego, a na koniec Łukasza. Ten ostatni wprowadzi nas w nową problematykę. Można mieć nadzieję, że w poczynionych analizach dotychczasowe ustalenia znajdą swoje potwierdzenie i dodatkową egzemplifikację.

W powieściach Parnickiego – można uznać to za regułę – postaci nawet odległego planu są złożone, wielowymiarowe. W tej twórczości nawet w największym oddaleniu od głównego planu akcji powieściowej znajdujemy postaci, które w żadnym razie nie dają się sprowadzić do kategorii aktancyjnych.

Taką postacią jest król angielski Etelred. Niegdyś zapłacił za naukę Aronowi, choć uczynił to bardzo niechętnie, ponieważ Aron był Irlandczykiem, teraz, to znaczy w roku 1016, spotkał się z nim ponownie. Opat tyniecki przybył wysłany przez Bolesława Chrobrego do Anglii po Bolesława Lamberta (streszczenie tych zdarzeń znajduje się w rozdziale *Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice*). Nas interesują tu wrażenia Arona z tego drugiego spotkania:

Miał chęć płakać, nie poznał w wyniszczonym – zawodami, spóźnioną namiętnością (właśnie niedawno wziął był sobie w Normandii młodziutką a oszałamiająco piękną żonę), zatargami rodzinnymi, klęskami w wojnach, hańbą ucieczki – przedwcześnie starcu, stojącym tuż, tuż (jak się okazało niebawem) nad grobem, młodego a pysznego władcy [...].

Tak jak w przypadku Arona, mamy tu do czynienia ze zjawiskiem estetyzacji własnego umierania. Etelred – zhańbiony, wygnany, przeegrany, stojący nad grobem człowiek – ucieka przed brutalnym konkretem rzeczywistości w namiętność do pięknej i młodzietkiej kobiety. Warto przemyśleć pozornie mało istotne zestawienie słów „spóźniona” (namiętność) i „starzec”. Wyłania się tu cała opowieść oparta, oczywiście, na domniemaniach, ale taką zapewne lekturę swych powieści projektował Parnicki, o czym szeroko już była mowa wcześniej.

Spóźnienie owej namiętności może wynikać z więdnącej fizjologii króla Etelreda. Doświadczenie starzenia się własnego ciała wyzwala potrzebę ucieczki w miłosny pozór. Pojawia się piękna żona – piękny przedmiot estetyzujący i „tuszący” brzydotę ciała. Pojawia się jednocześnie marzenie o tym, że piękne, młode ciało nowej żony przywróci siłę, odwróci widmo umierania, że niejako starość „zarazi się” młodością, że więdnąca, starcza biologiczność zaczerpnie żywotnych soków z biologiczności świeżo rozkwitającej, schroniwszy swą starość i słabość w cieniu młodej dziewczyny – by w tym miejscu parafrastycznie wspomnieć Prousta. Może trzeba także szukać wśród tych poszlak bardziej konkretnych marzeń, np. o powrocie seksualnej wydolności, o tym, że miną trapiące Etelreda – jak możemy się domyślać – bóle, że wrócą siła i uroda.

Gest Etelreda zdradza niezgodę na biologiczność własnego, starzejącego się ciała, niezgodę – ostatecznie – na samego siebie. Niezgoda ta wywołuje potrzebę ucieczki w fikcję, a nawet w mit – o miłości starca i młodej dziewczyny. Jednak namiętność jest – jak już wiemy – spóźniona, to namiętność starca, biologicznie niemożliwa, działająca odwrotnie w stosunku do zamierzeń, skoro ona (namiętność, dziewczyna) wyniszcza go, po prostu zabija życie biologiczne czy – jak powiedziałby Łukasz – zwierzęce. Ucieczka przed biologicznym kresem – zdaje się przekonywać Parnicki – jest ucieczką nie przed ciałem jako czymś wobec Ja zewnętrznym, ale ucieczką przed samym sobą. Ucieczka Etelreda w mit godzi bowiem w ciało, jeszcze bardziej je wyniszcza, „jak się okazało niebawem”.

Tym bardziej może dziwić ten sam rodzaj ucieczki u władcy, któremu w powieści przypisywana jest na ogół trzeźwość i przywiązanie

do twardych praw rzeczywistości: uwiązany [...] do swojego nieuctwa, właśnie jak król przemyślny Itaki do masztu, uszu zalepionych woskiem nie miał; co mu głoszone, słyszał; nad tym, co usłyszał, rozmyślał (s. 93). Mowa, oczywiście, o Bolesławie Chrobrym. Śmierć wyzwala jednak potrzebę fikcji, nawet w wytrawnym polityku. Powieść przynosi niezwykle zwięzły i sugestywny opis jego śmierci:

[...] umierający Bolesław, wszystkie prawe swe dzieci i wnuki z komnaty konania królewskiego odprawiwszy, charczał, łykając wraz z resztkami wyznaczonego przez los sobie powietrza życiodajnego olbrzymie, iście zabójcze dla duszy dawki pychy, poprzez charczenie pojękując: „Cesarzu mój, jasności świata, nagroda ojcowskich trudów, wieńcu zaiste triumfu u mety, Stefanie, domu Ziemomysłowego ozdobą i chlubo!”

(s. 153)

To jeden z najbardziej fizjologicznie nacechowanych opisów w powieści. Znajdujemy w nim wszystko, o czym dotąd w kontekście śmierci była mowa. Oczywiście, brutalna fizjologiczność wychodzi na pierwszy plan. Bolesław charczy, jęczy, łyka powietrze. Biologiczność zostaje dodatkowo wzmocniona poprzez podkreślenie roli powietrza w fizjologicznym procesie zwanym życiem. To powietrze Bolesław ma wyznaczone przez los – dzięki temu sformułowaniu w opis nie wkrada się żaden metafizyczny ślad, śmierć nie podlega uwzniośleniu w orbicie konwencjonalnych mitów związanych z umieraniem. Pycha z kolei – tu wkracza mit zbawienia – jest zabójcza dla duszy. Umierają więc i ciało, i dusza.

Ale polityk-nieuk nie może poszukiwać dróg ucieczki przed fizjologią, biologią, konającym ciałem w języku estetyki, w fikcji estetycznej. Polityk może takiego ocalenia poszukiwać w języku polityki, i rzeczywiście – Bolesław ucieka w polityczną fikcję.

Świadkiem sceny – jedynym, ponieważ wszystkich pozostałych Bolesław oddalił – jest siedmioletni wówczas Stanisław. To o nim umierający, dopiero co koronowany król mówi (właściwie: „pojękuje”) jako o cesarzu i chlubi domu Piastów. Nadbudowuje się wokół niego

fikcja polityczna – tak jakby Bolesław nie chciał dostrzec, że cesarzem i chlubą nazywa bardzo prawdopodobnego przyszłego mściciela matczynej hańby (pamiętamy ją z analizy scen kijowskich). W obliczu bolesnego konania Bolesław nie jest już w stanie lub raczej nie chce dostrzec, że Przecławia tylko czeka, by się zemścić, że z pewnością wolę tę spróbuje przekazać synowi. Ten ponury scenariusz prawdopodobnych przyszłych wydarzeń politycznych, który – jak już wiemy – ostatecznie się potwierdził, w przedśmiertnych rojeniach króla zastąpiony zostaje polityczną fikcją Stanisława-cesarza. Kto wie, czy w tym krańcowym doświadczeniu nie przypominają się Chrobremu polityczne rojenia Ottona III i czy jego fikcja nie pożywiła się tamtymi – dokładnie sprzed ćwierćwiecza – marzeniami.

Ucieczka od najgłębszej prawdy i ponad siły bolesnej konkretności konającego ciała następuje zapewne wtedy, kiedy cierpienie okazuje się już rzeczywiście ponad siły. Świadczy o tym fakt, że Bolesław „prawe swe dzieci i wnuki” odprawia już w czasie konania – wtedy, gdy może już tylko charczeć i jęczeć. W tym zatem przypadku fikcja jest ratunkiem w obliczu doświadczenia fizyczności i konkretności cierpienia.

Co – zapytajmy – jest alternatywą dla wszelkiego typu fikcji dających pozorne pocieszenie umierającym kolejno bohaterom powieści? Odpowiedź zawiera przypadek Łukasza. Alternatywą tą jest obłąd.

Łukasz – co okazało się już przy okazji rozważań nad ostatnimi godzinami życia Arona – kpi sobie z fikcji, nie chce jej dla innych. Gdy nadchodzi jego czas, nie chce jej też dla siebie. Jego świadomość broni się przed jej siłą i zniewalająco-pocieszającym urokiem. Łukasz-lekarz odnotowuje chłodno i rzeczowo, co mu dolega, jakie ma objawy, czasem pisze, jakie stosuje kuracje, dokładnie streszcza biologiczność swego ciała². Znajduje jednak inną ucieczkę – sztuczną. Są nią narkotyki, które zażywa stale i regularnie. Dzięki ich działaniu Łukasz co prawda nie ucieka w fikcję estetyczną w miarę przynajmniej koherentną w swym fabularnym ustrukturuowaniu – tak jak to nastę-

2 Nie będę w tym miejscu powtarzał tych fragmentów, były już bowiem raz cytowane w rozdziale dotyczącym Przecławia.

powołał we wszystkich dotąd omawianych przypadkach, zwłaszcza zaś potwierdzał to *casus* Arona – doznaje jednak obłądu, pogłębiającego się z dnia na dzień, potem już z godziny na godzinę, popada w rozdwojenie jaźni. Wygląda więc na to, że świadomość – pomimo swych własnych, przez samą siebie podejmowanych usiłowań – po prostu nie może stanąć w pełni swej przytomności wobec bezsilności w biologicznym umieraniu i wobec grozy zbliżającej się nicości.

[...] nazwałem taki stan (nie mylę się chyba teraz znowu?) osobowości rozdwojeniem w wyniku zażywania płynu wielko- względnie biało-iryskiego czy raczej (jaka dziwna nazwa! ale pamiętam dobrze ją z czasu odwiedzin Stanisława w więzieniu w Kijowie) tolteckiego. Obawiam się przecież, że jest to coś nawet więcej już niż tylko rozdwojenie osobowości, bo może osobowości i zatracenie. Grzegorz Szósty, Aron, nawet Stanisław, więcej jeszcze: zmarli przed dwoma wiekami Hamlet Duńczyk, przeplatają się z sobą, przechodzą jeden w drugiego; nie sposób wiedzieć, kto kiedy z nich jest właśnie tym, kiedy – innym kimś. Sam byłem w snach czy to Aronem, czy Janem rzezańcem; teraz – już nie tylko w snach. Dzieje się zaś tak, bo umieram; zanika widocznie wraz z życiem cała umiejętność, zdolność, możliwość rozeznawania świadomością osobników poszczególnych, którzy mną nie są, ale co więcej jeszcze: odrębności osoby własnej. Jak gdyby wszyscy wraz ze mną zlewali się z wszystkimi – w co? w zboże – kłosa? owce – w stado?

(s. 157–158)

Łukasz w przeblyskach świadomości może jeszcze pisać, jest w stanie dokonać szczątkowej autoanalizy. Czyni to bez cienia pobłażliwości dla samego siebie, nie opuszcza niczego. Zupełnie jakby mówił: umieram, więc wszystko mi się pomieszało, moja świadomość osuwa się w bezkształt, w miazgę – nic na to nie mogę poradzić, mogę to jedynie zanotować, póki zachowuję resztki odrębności i samoświadomości. Ja, póki jeszcze posiadam możność chwilowego zdystansowania się do tego, co wyprawia mój mózg.

Obłąd Łukasza – z czego on sobie zresztą dobrze zdaje sprawę – bliski jest jego świadomym przekonaniom, jakby stanowił ich patologiczny oddźwięk i chorobliwą reperkusję. Mam na myśli przekonania biskupa nowogrodzkiego dotyczące własności umysłowości Słowian, którzy – jego zdaniem – stosunek między Bogiem a rodzajem ludzkim rozumieją jako relację między rolnikiem a łanem zboża, toteż jednostkę przyrównują do pojedynczego ziarna. Zmiany chorobowe świadomości Łukasza zdążają w kierunku wyznaczonym przez te przekonania. Jeśli jednostkowa świadomość odpowiada pojedynczemu ziarnu, to on zamienia się w kłos, czyli w zbór ziaren przymocowanych do jednej gałązki. W tym przypadku ową gałązką, metaforycznym „noscicielem” ziaren, jest jego mózg – miejsce spotkania czy zetknięcia rozumu, myśli, jaźni, podmiotowości z biologią, fizjologią, ostatecznie – zbiorowiskiem atomów uformowanych w białkowe molekuły albo z kilkoma kilogramami mięsa, jadalnego mięsa.

Gdy jednostka nie chce „przywiązać się gasnącą myślą”, a zatem w ramach świadomości, lecz jednocześnie – pamiętajmy! – za pomocą mózgu, do jakiejś opowieści przynoszącej pocieszenie, wówczas sama ulega rozbiciu, rozpada się, fiksuje. Tak wygląda triumf biologii przeżyty w pełni jego jednostkowej grozy, bez – powiedzielibyśmy – fikcjonalnej taryfy ulgowej.

Przy okazji namysłu nad przypadkiem Łukasza uwagę przykuwa jeszcze jeden szczegół, a mianowicie akt pisania, ta jego mrówcza, żmudna krzątania pisarza, który jeszcze w ostatni dzień swego życia nie ustaje w pisarskiej działalności, mało tego – ostatni zapis skreślony jego ręką jest w dzienniku zapisem najdłuższym, ponad dwukrotnie w stosunku do następnego w tym ilościowym zestawieniu. Gdy ciało na tyle odmawia posłuszeństwa, że Łukasz nie może już utrzymać pióra (dużo wcześniej okazało się, że nie może wstawać i siedzieć – od tego momentu pisze na leżącym, wykorzystując do tego specjalny stoliczek, w każdym razie ta niedogodność nie przeszkodziła mu w dopisywaniu kolejnych partii dziennika), nawet wówczas się nie poddaje. Dyktuje przez całą noc, potem zasypia i umiera we śnie.

Rzecz w tym, komu dyktuje. Osoba jego – na jedną noc – sekretarza uzasadnia pisarską działalność. Osobą tą jest Gnup Islandczyk – po-

stać, o której była już powyżej mowa (por. rozdział Aron, Łukasz, Stanisław – *fragmenty streszczenia i obietnice*). Łukasz wyjaśnia to w taki sposób:

Ale teraz – właśnie teraz dopiero, dzisiaj – jestem świadom, że byłoby to kłamiwe wyjaśnienie wybrania przez siebie łaciny jako języka, którym żegnam się ze światem pozostającym przy życiu. Islandczyk Gnupek piśmienny jest – tylko w łacinie jednak. Kogo zaś wskazał konający Aron niby oszczepem – pastorałem [...]? Nie będę więcej już pisać – nie mogę; spróbuję dyktować. Co? Pewien dialog. Gdyby nie był Stanisław w noc przed dniem świętego Jakuba za wcześnie ściągnął mnie do komnaty [gdzie umierał Aron], zapewne byliby sobie powiedzieli niezawodnie – właśnie oni dwaj – jeszcze i to, co właśnie zamierzam – nie napisać – podyktować.

(s. 159–160)

Czy osoba Gnupa jako odbiorcy i depozytariusza dziennika czyni sensownym pisanie Łukasza? Zapewne w jego mniemaniu tak. Ale dlaczego? Łukasz odpowiada na to pytanie wprost, lecz nie jest to odpowiedź przekonująca: *wszak zapisać, to właśnie i jest – powiedzieć, w nadziei, iż słowo nie stanie się wróblem, który, gdy odleci, nie da się już schwytać* (s. 158). To, co Łukasz mówi w zacytowanym zdaniu, stanowi zaledwie wstęp do odpowiedzi, a nawet – konieczny warunek ustanawiający akt pisania.

Aron ustanawia Gnupa kimś w rodzaju „policjanta” postawionego przy Stanisławie czy raczej „faceta od mokrej roboty” – *prostack na pozór, rębajło, obieżyświat, w młodości korsarz względnie i na lądzie najmiła miłośników szybkiego, sprawnego a tajnego pozbywania się nieprzyjaciół* (s. 193), taki jednak – bardzo to w wyborze Arona istotne – *który Polskę umiłował, tak jak miłował Mojżesz Ziemię Obiecaną* (s. 192).

Wygląda na to, że Łukasz – na elementarnym poziomie obserwacji – wypełnia niejako wolę Arona, swym dziennikiem wprowadza Gnupa w sprawy, których on nie może dobrze rozumieć. Tworzy coś na kształt informatora, mającego wyjaśnić Gnupowi bardzo powikłane sprawy

relacji oraz kilkudziesięcioletnich zaszłości między Aronem, Stanisławem, Łukaszem i kilkoma innymi osobami zaludniającymi karty dziennika. Umierający biskup pisze jakby w trosce o to, by Gnup wiedział, dlaczego i po co został wybrany. To jednak tylko pierwsza z możliwych interpretacji.

Być może bowiem był to tylko wyjściowy zamysł Łukasza, później zaś jego pisanie jakby samo go uwodzi i staje się koniecznością bardziej uwewnętrzną, a mianowicie spowodowaną zauważalnymi, zwłaszcza dla lekarza, i ciągle narastającymi symptomami obłądu. W takim ujęciu pisanie byłoby porządkującym wysiłkiem świadomości osuwającej się w szaleństwo. Może tak być, skoro Łukasz o towarzyszącym mu Gnupie na ogół nie pamięta: *Wiedziałem. Wiozłem z sobą cały czas gdzieś w tajnikach bezładu pozaświadomościowego wiedzę o Islandczyku Gnupie* (s. 158–159). To jednak wciąż niewystarczająca interpretacja.

Warto więc może zapytać w taki sposób: Słowo o czym, słowo na jaki temat ma w przekonaniu Łukasza „nie być wróblem”? Co – inaczej mówiąc – powinno przetrwać w zapisie, wiedza o czym nie powinna ulecieć? Odpowiedź należy zapewne sformułować taką: przetrwać powinna wiedza o Atlantydzie.

W dzienniku wątek Atlantydy (znajdzie on rozwinięcie w kolejnym rozdziale tej pracy) pojawia się kilkakrotnie, chociaż na ogół w dosyć zdawkowych informacjach. Dopiero o tym zapisie, który Łukasz dyktował Gnupowi w ostatnią noc swego życia, można powiedzieć bez zastrzeżeń i wątpliwości, że jest on tylko o Atlantydzie.

Czy po to Łukasz pisał? Nie wiadomo na pewno, ale wiadomo tyle, że biskup nowogrodzki żył i pisał dotąd, aż o tym nie poinformował, aż nie ocalił w zapisie całej dostępnej sobie wiedzy na ten temat.

Idy października – (dopisek Gnupa, syna Birninga, wnuka także Gnupa, a prawnuka Tornbiorga wygnańca).

Łukasz, biskup nowogrodzki, dyktował mi całą noc. Nad ranem powiedział: – Teraz zasnę. Na bardzo długo. – Istotnie, nie obudził się już. Zajmę się przewiezieniem zwłok do Nowogrodu. Podarował mi przed zaśnięciem krzyż wysadzany bezcennymi iście ka-

mieniami szlachetnymi i skrzyneczkę, też niezmiernie kosztowną [...], wypełnioną gęsto zapisanymi (po łacinie, więc będę wiedział, co to jest) kartami pergaminowymi.

(s. 160)

Tak kończy się wątek biskupa nowogrodzkiego Łukasza Żydzity, Białego Chazara z pochodzenia („z krwi” – powiedziałby raczej Parnicki), wątek – moim zdaniem – jeden z najważniejszych w powieści i na pewno najpiękniejszy literacko, najbardziej wstrząsający. Wszystko, co w I tomie *Nowej baśni* doniosłe i zachwycające, mieści się w lub wokół wątków tej postaci.

Łukasz – w zestawieniu z tajemniczym, nieprzeniknionym Stanisławem, który tak wiele jeszcze *przejdzie poczekalni na Ziemi i na Przeciwiemiu* (s. 11), oraz zamkniętym w swym dostojnym umieraniu Aronem – jest postacią głęboko „ludzką”, przyjazną, po ludzku ułomną i tylko czasami zaskakująco niezwykłą. Jest bohaterem w jakimś sensie ocalającą czytelnika przed jego własną rozpaczą spowodowaną nawalem zagadek. Łukasz, tak samo jak czytelnik, myli się, nie rozumie, bezradnie ulega nazbyt złożonej i trudnej do wytrzymania, tak często po prostu obrzydliwej, trywialnej rzeczywistości, której w swym żmudnym byciu doświadczał.

Atlantyda

Co to jest Atlantyda? Co to jest Atlantyda w XI wieku? Pod kątem takich pytań trzeba teraz przeczytać *Robotników wezwanych o jedenastej*. Ile nazw znajdziemy w powieści na określenie tajemniczego lądu, który z wolna wyłania się z ciemności po zachodniej stronie Atlantyku? – poza „Atlantydą” występują także: „Toltecja”, „Biała Irlandia”, „Winlandia”, „Przeciwiemia”. Nazwa „Ameryka” wystąpi jednak dopiero w II tomie cyklu.

Wydaje się, że najlepiej prześledzić pojawianie się tego motywu z punktu widzenia chronologii powieściowych wydarzeń. Gdzie zatem szukać tego „pierwszego spotkania” czy raczej jego pierwszej możliwości, wszystko bowiem zaczyna się od możliwości? Kluczem jest pierwsza informacja, która je otwiera.

Powieść zawiera sugestię, dokładnie określoną co do miejsca i czasu, że wzmianka o jakimś nieznanym lądzie po zachodniej stronie oceanu mogła przeniknąć w informacyjny „krwioobieg” powieści. Zdarzyło się to w Kijowie, gdy miasto to zdobył Bolesław Chrobry. Interesująca jest scena pożegnania biskupa Tymoteusza z Aronem. Pamiętamy, że Aron odpływa z poselstwem do cesarza Bazylego Bułgarobójcy, do Konstantynopola, zabiera wykupionego przez siebie z niewoli Łukasza – jest rok 1018. Łukasz opowiada tę scenę Aronowi po latach, w roku 1059. Pamięta między innymi: *przy waszym boku (za rękę trzymaliście mnie) przejście z brzegu na pokład łodzi wielkiej. Jeszcze co? Żagle barwne i głowę olbrzymią w hełmie na dziobie... Hełm miał rogi. I odprowadzał nas, was raczej, jako że kazaliście mi wtedy biegać po pokładzie, aż do wnętrza kasztelu dwupiętrowego biskup poznański [Tymoteusz]. Długo z wami tam pozostawał...* (s. 48). Nie ma wątpliwości, że Łódź powinniśmy zidentyfikować jako Łódź Wikingów z załogą złożoną najprawdopodobniej właśnie z nich. Najprawdopodobniej wtedy, od Wikingów, Aron z Tymoteuszem dowiadują się o istnieniu nieznanego lądu. Mają sobie wiele do powiedzenia i ustalenia, chyba wówczas pojawia się nowy plan działania, ponieważ Aron – jak pamiętamy – postanawia opuścić władztwo Bolesława Chrobrego.

W Konstantynopolu Aron nie zastał Bazylego, zaprzyjaźnił się natomiast z Teodorą Bazyliisą, musiał jakiś czas pozostawać w jej otoczeniu, pod jej opieką zostawił Łukasza. Znamienne, że następne wzmianki na temat ziemi na zachodzie krążą właśnie w pobliżu Bazyliissy, i to już po zniknięciu najpierw Arona, potem Tymoteusza.

Cały wątek jest mglisty i powikłany, trzeba więc go śledzić powoli. Dodatkowo został on sprzężony ze sprawami fundamentalnymi, z kształtem świata w sensie pewnej wyobraźniowo uwewnętrznionej naoczności, ale w dalszej kolejności – z warstwą przekonań natury fizycznej powiązanych z doktryną religijną. Nie będę tu tych skomplikowanych problemów szczegółowo rozważał, trzeba jednak pamiętać, że one są ściśle i niejako przez cały czas związane z głównym zagadnieniem wypraw do Ameryki. Dość powiedzieć tyle, że aby dało się uwierzyć w pozornie sprzeczne ze sobą informacje dotyczące losów Arona po opuszczeniu przezeń Konstantynopola, trzeba przy-

jąc za fakt kulistość ziemi – to zaś dla rozważających kwestię postaci jest nie tylko trudne, ale na dodatek doktrynalnie zabronione: *Oczywiście – mruknęła Teodora. – Kościół święty Chrystusowy zakazuje nam wierzyć...* (s. 174). W co? W to, oczywiście, że ziemia jest kulą. Teodora ścisza głos, obawia się dokończyć zdanie, o którym wnioskujemy na podstawie kontekstu. Czy jej obawy wywołuje przewidywanie kłopotów, gdyby dowiedzieli się strażnicy dotychczasowego ładu, czy szok nowości? Zapewne i jedno, i drugie.

Aron odpływa z Pireusu w 1018 roku i wszelki ślad po nim ginie. Wiadomo, że w 1023 roku znalazł się w Persji i że pięć lat później wyłowiono go z morza między Anglią a Fryzją. Rzecz w tym, że z Persji podążał nie na zachód, lecz na wschód. *„Osobliwie to brzmi, iście niewiarygodnie, ale... dalej jeszcze na wschód...”* – informuje Łukasz Teodorę, która pyta zaskoczona: *„Do Chin?”*. *„Nie wiadomo”* (s. 174) – odpowiada Łukasz. Wnioski bowiem przekraczają wyobrażenia o świecie – wynika z nich, że Aron opłynął Ziemię dookoła, czyli Ziemia nie jest płaska. Można zatem albo stwierdzić, że jest to niemożliwe, i jednocześnie uznać, że po prostu nie wiadomo, co działo się z Aronem przez dziesięć lat, albo przyjąć hipotezę prawdopodobieństwa tych zdarzeń, szczególnie że potwierdzają je sprzeczne ze sobą na pozór informacje dotyczące miejsc, w których Arona widziano: *Ale słuchaj... Jeśli istotnie ziemia ta nasza kulą jest, to przecież wieści o Aronie sprzeczne mogą łącznie na prawdę składać się...* (s. 171). Jedno jest pewne: Aron, po wyłowieniu z morza, nic nie pamięta. Niczego nie wyjaśni. Trzeba jednak podkreślić, że postaci doświadczają sytuacji, w której kształt znanego im świata najpierw chwieje się, a potem w zasadzie rozpada. Świadomość ma kłopoty z uznaniem nowych faktów. Dalej będziemy obserwować jej – czasem wręcz histeryczne – próby obrony przed nacierającą nowością i związanymi z nią tajemnicami.

Podobny problem mamy z Tymoteuszem, postacią znaną ze *Srebrnych orłów*, a w *Robotnikach wezwanych o jedenastej* funkcjonującą na zasadzie odległych reminiscencji. Wiemy, że Tymoteusz w roku 1025 wyprawił się na poszukiwania Arona, dotarł do Pireusu, czegoś się tam zapewne dowiedział o losach przyjaciela, ponieważ udał się na Grenlandię, skąd popłynął dalej na zachód, a stamtąd nie powrócił.

Gdy także Stanisław – śladami Arona i Tymoteusza – wyprawi się na Grenlandię, dowie się od tubylców, że pamiętają Tymoteusza: *Izba w domku któregoś z osiedleńców grenlandzkich... Rozmowy ze starcami o bytności przed laty Tymoteusza w tymże osiedlu, o jego odpłynięciu do Wielkiej Irlandii...* (s. 185).

Niemniej tajemnicze są losy Stanisława, chociaż to na ich podstawie snujemy tu domysły na temat wyprawy Tymoteusza. Stanisław opowiada Łukaszowi historię – ponurą i ekscytującą, ale czy prawdziwą? Bardzo trudno powiedzieć. Oto ona:

Nas stu blisko było Przeciwwikingów. Winlandię pożegnało osiemnastu już tylko; do brzegu grenlandzkiego wpływ dotarło dwu (widocznie okręt zatonął z pozostałymi). Z tych dwu w mrozie na śniegu przez noc całą jeden mówił, drugi słuchał. Była to opowieść właśnie o Tollanie, o Toltekach, także o owym królu-bogu, co zwał się Wąż Pierzasty; znam nawet tolteckie brzmienie imienia owego: Ketsalkoatl. Nad ranem z dwu jeden nie obudził się; zamarł na śmierć. Drugi nie pamiętał, czy to on, czy tamten zmarły, opowiadał; lecz całą opowieść pamiętał, przecież nie tylko opowieść tę, bo i koleje życia (dokładnie przy tym) Stanisława Stefana Teodora Torda, życia w Konstantynopolu, w Polsce, [...] wędrówki po świecie szerokim – myśl, że się jest z Przecławym synem mnicha Arona [...].

(s. 184)

Rola pamięci, której doniosłemu znaczeniu w koncepcji Parnickiego poświęciłem wcześniej osobny rozdział (por. rozdział *Hamlet Duńczyk – ostatnie przygotowanie*), jest tu niesłychanie dwuznaczna. Pamięć, z jednej strony, stanowi jedyny dostępny gwarant tożsamości łączącej się przyległościowo z imionami, z drugiej – ocala w sobie opowieść, o której trudno powiedzieć, czy przydarzyła się Stanisławowi, czy Trondowi, tak bowiem miał na imię zmarły towarzysz wyprawy, ale czy rzeczywiście towarzysz, czy tylko Stanisław wyłowił go z morza. Czy Stanisław tam był? – on sam tego nie wie. Wyglądałoby to od początku do końca na fikcję, gdyby nie zgodne z rzeczywistością

historyczną szczegóły, które opowieść zawiera. Stanisław ma takich szczegółów w zanadru więcej – to on opowiada o paleniu tytoniu w Toltecji (ten fragment był już cytowany powyżej).

Kolejna część tej opowieści zamiast wyjaśniać, dodatkowo zaciemnia obraz, wprowadza bowiem pewne ślady tożsamości króla-boga Węża Pierzastego z Tymoteuszem, chociaż w jej zakończeniu to Stanisław przyzna się do tej tożsamości.

[...] mam w pamięci oczu pałace i świątynie Tollanu, posągi olbrzymie o głowach, co choć zwykle ludzkie mają twarze, nad czołami przybierają kształt spłaszczonego kwadratu; widzę w dali dwie góry ośnieżone: stożkowatą i mającą wygląd kobiety, która leży. Widzę we wnętrzu pałacowym króla, a zarazem boga. Jest białolicy, nie miedzianolicy jak Toltecy zwyczajnie. Jest wstrzemięźliwy; nie dotyka ni napoju, co działanie ma wina naszego, ni kobiet. Zmawiają się wrogowie mądrości i dobrośliwości owego króla; chcą go upić, pijanemu podrzucić dziewczynę piękną. Chyba i upili, i podrzucili dziewczynę. Nie jestem pewien. Wiem natomiast – poprzez złamanie ślubu wstrzemięźliwości król-bóg grzech popełnił, co go pozbawił mocy [...]. Ujrawszy się nieużytecznym dla Tolteków, władzy zrzekł się, opuścił stolicę [...]. Odpywając zapowiedział: wróci. I wrócę chyba.

(s. 184)

Jeszcze więcej tu dwuznaczności. Dodatkowo pojawia się, w poprzednim cytacie jedynie wzmiankowana, legenda o tolteckim bogu białej magii, który wywędrował na wschód. Stanisław widzi – a zatem ma przed sobą – białego, który jest królem. Człowiek ten – założmy, że Stanisław rzeczywiście był w Tollanie i że króla widział – nosi pewne cechy zaginionego biskupa poznańskiego Tymoteusza; chodzi tu o wstrzemięźliwość seksualną i umiar w używaniu trunków. Motyw ten tu zaledwie został wzmiankowany, jest to jednak przeniesienie rozbudowanego wątku Tymoteusza ze *Srebrnych orłów*. Oczywiście, imię Tymoteusza nie pada, ale mamy prawo się domyślać, że sugestia odnosi się właśnie do niego.

Dlaczego więc Stanisław stwierdza, że „chyba wróci”, jakby historia króla-boga była jego historią? Czyżby odzywał się w nim polityk o dużych ambicjach? Bardzo prawdopodobne rozwiązanie. Zamieszkać w fikcji to znaczy być powracającym Wężem Pierzastym po to, aby zdobyć rzeczywistość, rzeczywistą władzę, cel polityczny. W analogiczny sposób postąpił umierający Aron (por. rozdział *Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice*). Jednak nawet jeśli zgodzimy się na takie wysoce prawdopodobne rozwiązanie, to w dalszym ciągu pozostanie niewyjaśniona kwestia zasadnicza: Czy Stanisław był, czy nie był w Tolteci? Jedno tylko pozostaje poza sporem – to mianowicie, że jego znajomość realiów Nowego Świata okazuje się zadziwiająco dokładna, ale nie jest, niestety, rozstrzygająca wobec wątpliwości co do jego udziału w wyprawie „Przeciw-wikingów”.

Łukasz, który jest słuchaczem tej opowieści, rzecz jasna także ma wątpliwości podobne do naszych. Stanisław próbuje go przekonać, podaje dodatkowe szczegóły, niektóre z nich brzmią całkiem wiarygodnie: *Brzeg grenlandzki, mróz, śnieg... Gadulstwo nigdy nie nużące się Tronda, syna Halfhana, tego samego właśnie Tronda, który spędził ze mną noc, co zabiła mrozem jednego z nas...; [...] osiedleńcy grenlandzcy znaleźli nas na śniegu w pobliżu brzegu, mnie z zamrzniętym na śmierć. Stan naszego ubioru dowodził, żeśmy istotnie wyszli byli z morza* (s. 185). Zwłaszcza jeden szczegół wydaje się interesujący, a mianowicie „nigdy nie nużące gadulstwo Tronda” – stanowić to może poszlakę, że opowieść Stanisław zasłyszał od niego, ale w takim razie: *W śniegu opodal brzegu odnaleziono mnie z zamrzniętym na śmierć [...] w roku tysiąc czterdziestym siódmym; ze starcami osiedla o Tymoteuszu rozmawiałem w tysiąc trzydziestym dziewiątym. Co działo się ze mną przez całe osiem lat?* (s. 186). Nie znajdziemy w powieści jakichkolwiek sygnałów na ten temat, które stanowiłyby alternatywę wersji forsowanej przez Stanisława, tymczasem przebieg jego życia odnotowany został dosyć skrupulatnie – nie ma drugiego takiego miejsca, w którym Stanisław pozostałby „bez opieki narracji” aż tak długo, co więcej – nie ma powodów, aby odrzucić możliwość jego pobytu na Grenlandii. Wracamy więc do kwestii: Co robił przez wzmiankowane osiem lat?

W rozważaniach tych nie opóźniam rozwiązania – po prostu nie wiadomo, jak było ani czy było w ogóle. Powieść celowo, jak się wydaje, podsuwa w tym zakresie rozwiązania bardzo niepewne. Warto się natomiast zastanowić, jaki status posiada Toltecja na tym etapie rekonstrukcji wątku. Może pozwoli to wyjaśnić niedające się rozstrzygnąć elementy tej historii, jej obszary niejasne – już nie w zakresie fabularnym oczywiście, lecz w zakresie sensowności wprowadzenia takich obszarów w obręb powieści.

Stanisław mówi Aronowi: *Szukałem mego ojca, Arona. Tymoteusza biskupa śladami. A szlak to do nieśmiertelności wiodący; więcej jeszcze może – bo do boskości* (s. 87). Na tym etapie historycznym słowo o Toltecji jest jeszcze wciąż głęboko zmytizowane – rozpościera się na pograniczu mitu i rzeczywistości. Powoli wyłania się nowy kształt, nowa rzeczywistość świata, ale jest ona jeszcze na tyle niepewna, obciążona licznymi znakami zapytania, równolegle przebiegającymi sprzecznymi ciągami zdarzeń, że mit od rzeczywistości trudno oddzielić. Zdarzenie jednokrotnie zaistniałe w rzeczywistości posiada jeden, raz na zawsze zamknięty kształt, mit natomiast ma wiele wersji, z których żadna nie jest wersją ostateczną i bardziej od innych uprzywilejowaną. Rozum broni się przed zaskakującą nowością, dokonując jej mityzacji. Proces ten jest historycznie zdynamizowany. Nowy kształt świata, aby został jako taki uwewnętrzniony i zaakceptowany, potrzebuje czasu na to, by wyrwać się spod władzy mitu. Inaczej to formułując – Ziemia nie może stać się kulą w jednej chwili; mówimy tu o dziejach słowa i obronnych mechanizmach rozumu.

Przebiegają one dwutorowo: po pierwsze, jako pytania o prawdę rzeczywistości: jak było, co się rzeczywiście wydarzyło – tę serię pytań omawialiśmy powyżej; po drugie, na poziomie rozważań z zakresu mitu. Teologia, jako nauka o micie sformalizowanym i instytucjonalizowanym, musi poradzić sobie na swój sposób z pojawieniem się dla świadomości czy raczej w na nowo otwartym obszarze świadomości postrzegającej świat nowego mitu, jeszcze dotąd nienapotkanego i niewchłoniętego. W tę właśnie stronę zmierzać będzie dalsza rozmowa Stanisława z Łukaszem (pamiętajmy, że w zakresie ich ról pełnionych w hierarchii kościelnej jest to rozmowa biskupa z prezbiterem).

– Nie mógł Chrystus [powiada Stanisław], Słowo Boże, z woli ojca wcieliwszy się w Jezusa Galilejczyka celem zbawienia ludzi Ziemi, z kolei po wiekach w Węża Pierzastego na odmianę wcielić się, by zbawić też tamtych: ludzi Przeciwiemii?

– Mógłby. Lecz czy w Jezusa wcieliwszy się nie był także i tamtych już zbawił? Mówisz: Ziemia, Przeciwiemia; przeciwstawiasz tę – tamtej. Jest to gra słów wyłącznie. Z własnych twoich wyurzeń niezbieżnie wynika, iż rzekoma Przeciwiemia pitagorejczyków w rzeczywistości jest to tylko (wyrażmy się tak właśnie) przeciwład pozaoceaniczny. Jasnolicy, ciemnolicy czy owi domniemani miedzianolicy – wszyscy są ludźmi; wszystkich Chrystus swą męką na krzyżu zbawił, raz się wcieliwszy właśnie w Jezusa Galilejczyka.

(s. 187)

Zastanawiające, że pierwsza wypowiedź należy do Stanisława, druga – do Łukasza. Ten zatem, który rzekomo w Toltecji był, czyli – nie rozstrzygamy tego rzecz jasna w sposób ostateczny – doświadczył jej rzeczywiście, posługuje się silnie zmityzowanym podziałem świata, mówi o tym świecie, świecie Ziemi, ostatecznie świecie rzeczywistym oraz o Przeciwiemii, czyli zaświatach, przestrzeni mitycznej, a nieco później³ – o szlaku tolteckim jako o drodze do nieśmiertelności i boskości. Wszystko więc wskazuje na to, że język polityki znów miesza się z językiem estetyki w podobny sposób, jak obserwowaliśmy to w przypadku umierającego Arona. Odpowiedź Łukasza jest – by tak powiedzieć – bardziej trzeźwa, choć trzeźwość tę w znacznej mierze zawdzięcza dogmatyce chrześcijańskiej. Jeżeli istnieje łąd po drugiej stronie Atlantyku, to nie jest to kraina mityczna, tylko kawałek rzeczywistego świata, którego po prostu jeszcze nie poznaliśmy (my, czyli ludzie z obszarów euroazjatyckich i północy Afryki).

3 Później, ponieważ dialog Łukasza ze Stanisławem, ten, w którym mowa o wyprawie „stu przeciwwikinów”, toczy się w celi więziennej Łukasza w Kijowie w roku 1057, natomiast o szlaku do boskości i nieśmiertelności w tym samym kontekście Stanisław mówi do Arona w roku 1059.

Tak czy owak wcielenie Boga w człowieka dokonało się tylko jeden raz i to wystarczy dla zbawienia wszystkich ludzi. Przekonania Stanisława obciążone są wiarą w istnienie raju ziemskiego, tymczasem Łukasz-antyplatonik nie może zaakceptować tego punktu widzenia, takiej wiary, ponieważ – według niego – dusze „usypiają” wraz z ciałami. Przebudzą się do nowego życia – owszem – ale dopiero po drugim przyjsciu Chrystusa, a do tego momentu (jeśli słowo „moment” jest w ramach tej teologii w ogóle dopuszczalne, skoro drugie nadejście Chrystusa wyznacza koniec czasu i tym samym kres historii) jakby ich nie ma, to znaczy, iż nie błąkają się gdzieś w zaświatach, ponieważ takich zaświatów nie ma. Nie ma ich – zarówno z punktu widzenia teologii miejsc poza światem, jak i z punktu widzenia dającej się sprawdzić rzeczywistości.

Co w takim razie robi Łukasz, gdy w „Dzienniku podróży ku śmierci” zacznie na nowo analizować ten motyw? Pozornie powtórzy gest Stanisława, to znaczy wpisze problem w przestrzeń mityczną, tym razem jednak niezwiązaną z teologią „miejsc” poza światem dostępnym w doświadczeniu, lecz w Boski plan stworzenia. Nie będzie więc Łukasz myślał w kategoriach postulatycznych, lecz spróbuje odnaleźć konieczność istnienia wyłaniającej się nowej rzeczywistości w absolutnej sensowności i konieczności Boskiej kreacji. Jeżeli nie udało mu się znaleźć prawdy o nowej rzeczywistości w świecie (np. w cytowanych powyżej jego dialogach ze Stanisławem), trzeba jej zatem poszukiwać, rozważając Boże zamysły. Paradoksalnie, jego koncepcja bliższa jest rzeczywistości, ponieważ uwzględnia jej kształt, w Bogu poszukując jedynie uzasadnień dla czegoś, co – w mniemaniu Łukasza – inaczej uzasadnić się nie daje. Sposób, w jaki rozwija swą refleksję, koreluje z jego poglądami dotyczącymi prawdy: *Prawda! Jest w Bogu, a nie poza Bogiem* (s. 74). Łukasz, który nie może już pisać, dyktuje więc Gnupowi Islandczykowi, w swym kończącym się dzienniku o Bożych zamysłach i zamięowaniach twierdzi:

Bóg [...] twórczością swą całą dowodzi, iż miła Mu jest równomierność, czyli to, co zowie się symetrią. Da się ona spostrzec w dziele Bożym natychmiast, na przykład w liściu na drzewie czy

w ciele ludzkim; kiedy indziej jednakże wykrycie jej nie przychodzi łatwo; wymaga czasu dłuższego, równie jak silnego napięcia spostrzegawczości względnie domyślności. Ziemia jest kulą; przecięta wyobraźni czy myśli wysiłkiem na dwoje, tak jak nożem przecina się jabłko – połówek kształtem natychmiast symetrię ujawni.

(s. 181–182)

Swoją wiedzę na temat Boskich zamiłowań Łukasz buduje na podstawie obserwacji świata dostępnego w doświadczeniu (ciało, liście). Gdy zaczyna układać swoją mapę świata, czyni to pod dyktando doświadczenia, które zaraz odnosi do kreacyjnych planów Boga. Podkreślimy jednak, że pierwszym gestem, nad którym nadbudowuje się następne, jest doświadczenie rzeczywistości. Dalszą rolę odgrywa wyobraźnia, która także funkcjonuje na zasadzie zapośredniczonego przez pamięć doświadczenia rzeczywistości. Trzeba być najpierw spostrzegawczym, potem domyślnym – stwierdza Łukasz. To doświadczenie jest z istoty dziejowe („wymaga czasu dłuższego”), jak za chwilę zobaczymy, stanowi ono także pewną perspektywę kształtującą przyszłe możliwe doświadczenie nowej rzeczywistości. Łukasz je antycypuje:

[...] istnieje też symetria innego jeszcze rodzaju, a to w rysunku Bożym (powiedziałbym nawet – w płaskorzeźbie) na powierzchni połówek. Świat ten nasz trójlądowy (Europa, Azja i Libia, Afrykę też zwana) ma odpowiednik swój po zachodniej stronie oceanu. Zakładam: musi być trójlądowy; jest to przecież domysł tylko, sprawdzenia przez żeglarzy i po suszy podróżników wymagający; dowodnie mogę mówić tylko o części, o ułamku, owego właśnie za oceanem Przeciwiświata czy raczej – jak to określał w wykładach swych w Konstantynopolu o pitagorejczykach filozof Psel-lus – Przeciwiżmi.

(s. 182)

Łukasz w swym rozumowaniu zdradza pewne odstępstwo od – jak rozumiemy – swego przywiązania do słowiańskiego sposobu postrze-

gania istoty boskości, która miałaby polegać na analogii stosunku między rolnikiem a łanem zbożowym (była już o tym wcześniej mowa). Okazuje się, że tak pojęty stosunek stwórcy do stworzenia może obejmować jedynie jego stosunek do jednostki, która żyje, a w szczególności do człowieka. Aby jednak antycypować na podstawie ułamkowych informacji kształt nowego świata, Łukasz musi odwołać się do greckiego sposobu pojmowania istoty boskości, która – jego zdaniem – jest analogonem stosunku artysty do swego tematu; „płasko-rzeźba” to wszak termin z zakresu genologii sztuk plastycznych.

Wydaje się, że głębsze rozważenie tej kwestii przyniosłoby interesujące rezultaty w zakresie odkrywania głębokich struktur myślenia, które w sposób jawny skutkują w sytuacji presuponowania przedmiotów świata zjawiających się w doświadczeniu i poznawaniu. Nie ma tu jednak miejsca na rozwinięcie tego – marginesowego w stosunku do bieżącej analizy – tematu. Sprawdźmy raczej, co sądzi Łukasz w dalszej kolejności o kształcie nieznanego świata na podstawie ułamkowych informacji oraz swych wyobrażeń na temat Bożego zamiłowania do symetrii.

Istnieje więc tam – wszyscy wiemy to – odpowiednik wielkiego półwyspu na północy Europy, co wylęgarnią [...] Waregów był, zowie się odpowiednik ten Grenlandię. Jak z Szwecji do krainy, co zowie się Widulandię czy Widumą przez morze płynie się w kierunku południowowschodnim, tak też (właśnie w zgodzie doskonalej z zasadą symetrii) w kierunku południowozachodnim z Grenlandii do Winlandii. Widulandię i Winlandię przecina w pół wielka rzeka; w Widulandii – Dźwina; od Dźwinoujścia [Rygi] w górę rzeki ku wschodowi – żegluga; w górę – że się tak wyrażę – Przeciwdźwiny, ku zachodowi: Dźwina to pierwszy etap szlaku – z Waregów w Grecji; toż samo: Przeciwdźwina w Przeciwgrecji.

(s. 182)

Łukasz następnie wywiedzie istnienie Przeciwdniepru, którym – bardzo długo żeglując, *przecież byli tacy, którzy dopłynęli* (s. 183) – dotrzeć powinno się do Przeciwniepru, jednak:

daremnie szukano Przeciwnokstantynopola (a szukano) na styku mórz czy choćby w ogóle gdziekolwiek na morskim wybrzeżu. Od morza oddzielają go góry; gdy przez nie przedrze się Przeciwwiking, godne iście – by właśnie Przeciwnokstantynopol sobą stanowić symetrycznie – odnajdzie miasto. Zwie się Tollan [...].

(s. 183)

Dlaczego położenie Przeciwnokstantynopola zaburza symetrię? Ponieważ miasta są dziełami ludzi, nie Boga – jak widać, z każdej sytuacji można znaleźć wyjście, szczególnie gdy snuje się domniemania na temat Boskich zamysłów. Trzeba podkreślić, że Łukasz, rozwijający swą fantazję geograficzną, nie mija się mocno z prawdą – wystarczy popatrzeć na mapę, jeszcze lepiej na mapę powstałą w czasie zbliżonym do omawianego okresu. Na fantazję tę składają się różne elementy: pamięć o wykładach Psellusa analizującego Platońskiego *Krytiasza*, relacje Stanisława, domysłność wsparta założeniami o upodobaniach cechujących Boga (te wyprowadzone są z doświadczenia rzeczywistości).

Wprowadzenie tu obszernych cytatów, które w swych szczegółach są na tyle jasne, że nie trzeba ich dokładnie omawiać, służy dwóm celom. Parnicki ukazuje w nich proces antycypacji nieznanego. Polega on na tym, że gdy przemija szok nowości, wówczas w przestrzeń nieznanego rzutuje się jakby już znane, pewne doświadczenie świata naszego życia. Struktura znanego staje się pierwszą strukturą nieznanego. Dzięki tej operacji rozumu otwiera się dostęp do nieznanego, tak zaczyna się powolny proces opanowywania go. Pierwszym ruchem jest rozpoznanie podobieństwa i stworzenie ciągu przyległości. Na temat w nieskończoność wymykającej się całości wnioskujemy na podstawie znanych jej części, które podlegają uogólnieniu poprzez przeniesienie na to, co nieznanne, uwewnętrznionej w doświadczeniu struktury już wcześniej znanego. Dopiero w tak „przygotowanej” przestrzeni możliwy jest następny ruch: *Uczono i mnie, i ciebie: wszelki domysł przeistacza się w prawdę, bądź w kłamstwo poprzez sprawdzenie* (s. 188). Gdy dojdzie do owego sprawdzenia – co okaże się w dalszych partiach tej pracy – pierwotna struktura ujawniona w antycypacji bę-

dzie sterować owym procesem weryfikacji, po prostu poruszaniem się w przestrzeni. I to jest drugi powód przywołania tak obszernych fragmentów powieści. Jako zapisy z dziennika Łukasza będą po latach sterować wyprawą Eryka do Ameryki.

Sprawę Stanisława i jego rzeczywistej bądź fałszywej bytności w Toltecji Łukasz także rozważa w dzienniku i – przynajmniej dla siebie – ostatecznie ją zamyka: *Oto (muszę zaznaczyć to ostatecznie – a i niedwuznacznie) nigdy nie wierzyłem – także i teraz nie wierzę – w to, by [...] Stanisław w samej rzeczy kiedykolwiek bądź dotarł był choćby nawet do Irlandii Wielkiej [...], mógł wybrzeże widzieć, lecz właśnie widzieć tylko, często bowiem (wiem) zdarza się to, iż żeglujące między Islandią a Grenlandią okręty ciska ku południowi – więc właśnie w pobliże Winlandii – burza z wichrami, od północy potężnie nacierającymi* (s. 143). Stwierdziłszy już, że nie da się rozstrzygnąć, czy myli się w tym miejscu biskup nowogrodzki, czy też nie, można natomiast stwierdzić z całą pewnością, że składnia Łukasza jakby łamie się pod ciężarem tego oświadczenia, niepopartego zresztą żadnymi za i przeciw. Sądzić można, że on sam nie wie, ale – co sam podkreśla – nie wierzy. Znaczące, że o okrętach spychanych przez wiatry na południe napisze „wiem” – wydaje się, że odróżnienie wiary od wiedzy jest tu szczególnie ważne, zdradza bowiem intelektualną bezsilność Łukasza wobec wtargnięcia nowości.

Zauważmy – co szczególnie istotne – jakże naturalna pojawia się tu przyczyna tak wczesnego odkrycia Ameryki: wiatry północne. W ten sposób dotarliśmy do miejsca, od którego zaczęliśmy, bo właśnie tak otwiera się pole możliwości – przez przypadek, przez fakt, że okręt został zepchnięty, wbrew ludzkiej woli, na południe. U Parnickiego więc to nie jest odkrycie, lecz przypadek – z punktu widzenia żeglujących marynarzy zapewne nieszczęśliwy; Europejczycy na Amerykę po prostu wpadli. Taka jest zapewne jedna z licznych przyczyn – nie tylko w omawianej powieści – pojawienia się problemu odkrywania Ameryki w utworach autora *Nowej baśni*.

Analizowaliśmy tu sposoby pojawiania się prekolumbijskiej Ameryki w powieści. Widzieliśmy, że motyw ten wkracza w materię Łukaszowego dziennika; obszerne jego fragmenty zostały wyżej przytoczone. I chyba to jest najważniejsza pozostałość po owym pół

rzeczywistym, pół mitycznym okresie odkrywania Ameryki, gdy nowy kształt świata już był jakoś, choć słabo, widoczny, gdy dopiero się wyłaniał z ciemności, gdy mapy go uwzględniające koncyptowano wyobraźniowo na podstawie urywków i domysłów, gdy ci, którzy tam byli, sami jeszcze nie wiedzieli, czy byli rzeczywiście, czy tylko śnili nowy świat, czy go widzieli, chociaż nie mogli uwierzyć.

Istotne jest to, że wiadomość nie zniknęła w dziejach, lecz przetrwała, przekazana następcom, czyli – jak wyraża się Łukasz – „światu pozostającemu przy życiu”. Swoją drogą znakomite jest to sformułowanie. W lapidarnej formule zawiera informację, że świat jako świat jest widziany, doznawany, poznawany, omawiany przez życie w nim zanurzone, jakby jego istnienie – jako nazwy warunkującej i otwierającej pole dla języka wskazującego i oznaczającego, a w dalszej kolejności języka w ogóle – było ściśle związane z „żywotami” jednostek, razem składającymi się na życie ponadjednostkowe. Brzmi to jak egzystencjalna parafraza Husserlowskiego sformułowania „świat mojego życia”. Jest to jednak odrębny wątek, któremu warto byłoby poświęcić namysł, my jednak powróćmy do problemu Ameryki.

Jak pamiętamy, karty z zapisanym na nich „Dziennikiem podróży ku śmierci” Łukasza otrzymał w darze Gnup Islandczyk. Gnup został niejako wyznaczony przez Arona do pilnowania Stanisława. Nic więc dziwnego, że śledzi on koleje losu przyszłego świętego. W znacznej mierze jego postrzeganiem osoby Stanisława steruje dziennik, w którym czytamy o zamierzeniach późniejszego biskupa:

Wybiorę się [wspomina Łukasz słowa Stanisława] znów w drogę daleką na Przeciwiemię [...] nie sam, by znów kiedyś ktoś nie powiedział: „Był to tylko sen twój.” Jednego zresztą towarzysza mam już sobie zawczasu zapewnionego, a nie byle kto byłby nim. Harald, król Norwegii, przyrzekł mi: gdy Anglię podbije, na zachód daleki Wikingów wyprawę poprowadzi...

Istotnie [...] porwał się był minioną wiosną król Harald na Anglii podbój. Jednakże nie udało mu się [...]. Stanisław powiada: nie udało się teraz, za rok się uda czy dwa, czy trzy.

Gnup – piśmienny w łacinie – kontynuuje dziennik Łukasza. Odnotowuje tam między innymi spostrzeżenia i informacje dotyczące Stanisława. W roku 1066 umieścił taki zapis:

Król Norwegii Harald znów wyprawił się na Anglii podbój; jeśli dopiszę: towarzyszył mu Stanisław, czyli Aron – nie zdziwisz się synu Eryku. Wyprawa ta straszliwą zakończyła się klęską. Nigdy nie wyprawi się Harald do krainy Atlantów, czyli Tolteków. Wątpię też zresztą, by i Aron nadal miał próbować wyprawienia się tam.

(s. 190)

Sporo tu zagadek. Wiemy tyle, że Stanisław nie popłynął i nie popłynie do Ameryki. Jeśli chodzi więc o niego, na tym ten wątek się kończy. Ale w cytowanych słowach pojawia się postać syna Gnupa – Eryka. Jego oczami będziemy w końcu oglądać Amerykę w *Robotnikach wezwanych o jedenastej*, tym razem już bez żadnych wątpliwości, że oglądamy nie senne obrazy, lecz to, co się Erykowi faktycznie przydarza. Wcześniej jednak trzeba prześledzić jego losy prowadzące w stronę podjęcia przezeń tej wyprawy.

Eryk

Na początek zgromadźmy kilka podstawowych informacji na temat Eryka i jego bliskich, ponieważ elementy streszczenia powieści, które najobszerniej przedstawiliśmy w rozdziale *Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice*, w ogóle z powodów chronologicznych nie objęły tego wątku. Do wszystkich wcześniejszych rozważań nie były po prostu potrzebne.

Zanim jednak omówimy postać Eryka, wcześniej zajmiemy się Gnupem Islandczykiem. Dla nas istotny jest jego stosunek do biskupa Stanisława. Znamy tę sprawę, jak dotąd, dość pobieżnie, wiemy mianowicie, że Aron „mianował” Gnupa „policjantem” Stanisława. Jak Gnup wywiązał się z tej misji oraz jaki sam miał do niej stosunek? Otóż Gnup miał wobec Stanisława dług wdzięczności. W 1034 roku Stanisław i Przecława – jak pamiętamy, był to okres sterowanego z Konstantynopola buntu przeciw władzy królewskiej w Polsce – uratowali życie

ojcu Gnupa: Birningowi. Od tego momentu jego ród wygnańców z Islandii, Waltjoflingerów, obciążony był obowiązkiem wdzięczności i rekompensaty w stosunku do Stanisława. Birning zginął, nie spłaciwszy długu, spłacili go natomiast Gnup z młodym Erykiem:

[...] wówczas gdy zaczął palić się kościół pozawawelski Świętego Michała, zwierzył wyrostkowi [czyli Gnup Erykowi] wielką tajemnicę: oto życie ocalił Birningowi w dniu, gdy zginął [...] król Mieszko Lambert, osobnik, któremu w pożarze kościoła Świętego Michała oni teraz z kolei (i syn więc Birninga, i wnuk) życie uratowali, archiprezbiter kapituły przy biskupie krakowskim, pan dziedziczny (tak go zowią powszechnie) na Stefanowie podkrakowskim, Stanisław.

(s. 195)

Gdy dług został już spłacony, dopiero wówczas Gnup mógł poważnie potraktować siebie jako Stanisławowego „policjanta”. Ten sam obowiązek powierzył także synowi: *Eryk, równie jak Gnup sam mieli dług do spłacenia, ale właśnie skoro z narażeniem życia uratowali obaj z płonącego kościoła [...] wybawcę Birninga, nic nie są mu już winni i jeśli dla dobra ojczyzny Eryka i pana dostojniejszego niż Stefanowski miałby kiedyś syn Gnupa znaleźć się w obliczu konieczności starcia się – choćby i najostrzej – ze Stanisławem, nie godziłoby my się wahać* (s. 195). Gnup przekazał zatem synowi nowe dziedzictwo – w postaci konieczności obrony Polski przed poczynaniami Stanisława. Dopiero od tego momentu zaczął działać testament Arona.

Interesujący jest – istotny dla naszych rozważań – stosunek Gnupa do Stanisława. Gnup swą wiedzę na jego temat czerpie z dziennika Łukasza. Dziennik znakomicie wykształconego intelektualisty (tak zapewne określilibyśmy Łukasza według dzisiejszych kategorii) czyta oto – zauważmy – *rębajło, obieżyświat, awanturnik, prostak* (s. 193), nic więc dziwnego, że nie rozumie on wielu metafor, które traktuje zbyt dosłownie, np. tę o zamianie i wchłonięciu osobowości Arona przez Stanisława. Gnup uznawał Stanisława za czarownika, po prostu się go bał. Uważał ponadto wchłonięcie osobowości Arona za fakt.

Od początku swych dopisków w dzienniku, pisanych zresztą tylko z myślą o synu, starał się rzucić na niego nałożoną mu przez Arona odpowiedzialność.

Ujrawszy go tu, w Krakowie, przyjrzyj mu się dobrze, Eryku. Uświadomisz sobie wtedy, a ponad wszelką wątpliwość: z twarzy mnicha i prezbitera pięćdziesięcioletniego niespełna uderzy w ciebie oczyma mądrość dwakroć zaiste starsza. Ale wroga tobie (wierząc swemu ojcu!) mądrość. Ciebie przecież (żarliwie wierzę), a wraz z tobą ojczyzny twojej – jakkolwiek wraz z sędziwą mądrością swą mniszą, czyli żydowską⁴, nieśmiertelny być się wydaje – nie przemoże, synu, wróg.

(s. 191)

Gnup uważał Eryka za swego syna. Rekonstruując więc dotychczas tę opowieść z punktu widzenia Gnupa, mogliśmy mówić o Eryku jako o jego biologicznym dziecku. Jednak zdaniem jego żony, Krystyny, będącej równocześnie kochanką króla Bolesława Śmiałego, to właśnie król, a nie Gnup, był w rzeczywistości ojcem Eryka. Fakt ten okaże się bardzo istotny wówczas, gdy Eryk zabije Stanisława – w zakresie powodów, które pchnęły go do tego morderstwa.

Stwierdzić można bardzo zdecydowanie, że właśnie owo biskupobójstwo popełnione w 1079 roku przez dziewiętnastoletniego wówczas Eryka stanie się najważniejszym zdarzeniem w jego życiu, za które zapłaci wieczną ucieczką i obłądem. Zanim jednak doszło do wszystkich tych zdarzeń, Eryk był uczniem Stanisława – kształcił się w szkole przykatedralnej w Krakowie, był tam jednym z najzdolniejszych uczniów, nic więc dziwnego, że jego stosunek do ojca-nieuka ewoluował:

4 Jest to reminiscencja bardzo słabo przez Gnupa zrozumianych pewnych spraw z dziennika Łukasza dotyczących żydowskości archidiacona Hildebranda. Nie rozwijam tu tego motywu, ponieważ ten skomplikowany wątek wymaga całkowicie osobnego omówienia, a w prowadzonym teraz wywodzie odgrywa niewielką rolę. Gdy podejmie go – już w całkiem nowym kontekście – Eryk, wówczas rozwinie go z punktu widzenia czasów Eryka, czyli wiele lat po śmierci Hildebranda.

Z różnych wypowiedzi ojcowskich chłopiec wytworzył w swych myślach domysł, że Gnuś poczuwa się do obowiązku uwolnienia z więzienia, którym miała być właśnie pana na Stefanowie osobowość, duszy pozornie jakoby zmarłego tylko na rok niespełna przed jego, Eryka, przyjściem na świat – starca Arona [...]. W miarę przecież podrastania, więc tym samym także dojrzewania umysłu (a dojrzewał szybko, kwitł bujnie w świetle silnym nauk szkolnych), chłopiec w mężczyznę też szybko (w ciepłe uczuć matczynych, równie jak własnych do matki) przeistaczający się dostrzegać począł w postawie myślowej ojca w stosunku do owego obowiązku domniemanego fałsz względnie sprzeczność. [...] Eryk [...] ojca poważał, choć nie kochał, nawet właściwie i nie lubił [...].

(s. 196–197)

Tam, gdzie początkowo – z powodu młodego wieku – brak było refleksji, potem pojawiło się myślenie krytyczne: Stanisław przestał być dla Eryka, podjudzanego przez ojca, czarownikiem, stał się natomiast ojcem duchowym czy raczej intelektualnym przewodnikiem, który próbował przeciągnąć go na swoją stronę. Ta stawiała się dla młodzieńca coraz atrakcyjniejsza. Tylko co to za strona? Zaraz do tego przejdziemy. Domniemany ojciec biologiczny zaś stał się dla Eryka kimś gorszym, ostatecznie niekochanym, kimś, komu należy się jedynie szacunek. Odnotujmy, że uczucia wiążące go z matką obustronnie były bardzo silne. Te właśnie uczucia przeważają, gdy Eryk – metaforycznie mówiąc – wypowie Stanisławowi wojnę, w efekcie której go zabije.

Co to za strona, co to za konflikt, między jakimi porządkami myślenia, o których powiedzieć można: jedna strona – druga strona? Z punktu widzenia Eryka problem opisany został w następujący sposób:

Nie wiedział, czy jest to głos krwi w nim (matki krwi względnie także – o ile matka nie zwiódła go rozmyślnie – i królewskiego ojca też), czy raczej jednakże głębsze, niż mu się zdawało wkorzenienie nauk Gnupa, ale nie miał wątpliwości, jeżeli wtedy jeszcze

(w młodości, przed zabiciem Stanisława) może i nie świadomość, przecież poczucie przeciwieństwa – a to ostrego – pojęć: rodzime a powszechne; polskość (poczucie przynależności plemiennej) a rzymskość poza- czy ponadplemienna; miłość ojczyzny a wierność kościołowi.

(s. 211)

To niezwykle instruktywne stwierdzenia. Myślenie Eryka wprowadza podział bardzo czytelnie. Eryk ma wątpliwości. Nęci go mocno druga z ewentualności, o pierwszej niemal zapomina, w każdym razie nie utrzyma go przy niej szacunek, który ma dla (domniemanego) ojca – Gnupa. Przywiązanie i miłość do ojczyzny – do tego zatem, co ojcowskie – wkroczy w jego życie nagle i z ogromną siłą. Stanie się to, gdy zatarg między Bolesławem Śmiałym a biskupem Stanisławem przybierze gwałtowną formę, a biskup rzuci klątwę na dwór królewski. Wtedy Gnup, już wówczas mający rozwiązane ręce, zacznie działać. Eryk po latach o zdarzeniach tych będzie opowiadał w taki sposób: *Gdy król Bolesław wysłał Gnupa nocą do kościoła z nakazem: „Niech się upokorzy Stanisław, cofnie klątwę, albo zginie”. Matka kazała mi Islandczykowi towarzyszyć; gdy opierałem się, wyjawiała: była (nadal zresztą jest, dodała zaraz) nałożnicą królewską; nie małżonka prawego, przybłądy, nasienie zapłodniło ją mną, ale tak się była wyraziła, dziwacznie a dumnie: królewski szczep piastowy⁵ (s. 205). Dalej matka doda coś jeszcze, co ostatecznie pchnie Eryka do popełnienia morderstwa: *I gdy [Bolesław] potężniejszy jeszcze stanie się (a stanie się!), niż teraz jest już, nikt nie odważy się zaprzeczyć mu prawa do przekazania korony bękartowi, nikt poza jednym jedynym, tym, który chce sobie władzę nad królestwem polskim przywłaszczyć [Stanisławem]* (s. 205). Trudno mieć*

5 Mamy oto w dialogu z XI wieku fragment Roty Marii Konopnickiej. Jak można interpretować to nieoczekiwane pojawienie się anachronizmu? Zapewne przekonaniem, któremu Parnicki niejednokrotnie dawał wyraz, stosując właśnie tego rodzaju chwyt o ograniczonej, skończonej liczbie możliwych zestawień słów – wprost mówi o tym w *Końcu Zgody Narodów*. Jest to także jedna z hipotez wyrażona przez Ingardena w *O dziele literackim*. Chociaż Ingarden ostatecznie ją odrzuca, to jednak wydaje się, że Parnickiemu mogła pozostać ona w pamięci.

wątpliwości – Bolesław Śmiały zręcznie i bezwzględnie posłużył się swoją kochanką, także całą jej rodziną. Stanowi to interesujący przykład gier władzy i polityki. To jednak nie jest tak istotne, jak fakt, że pierwotny bunt Eryka przeciw Gnupowi zostaje stłumiony przez wyznanie matki, które budzi w dziewiętnastolatku żądzę władzy: *Królem Polski po Bolesławie, ojcu swym prawdziwym, być – czemużby nie?... Więc się i dałem (matce właśnie, a nie Gnupowi Islandczykowi) istotnie, jeśli i nie przekonać całkowicie, to porwać...* (s. 205). W ten sposób doszło do tego, że Eryk zabił Stanisława. Zapewne, poza żądzą władzy, odgrywa tu dodatkowo rolę porządek ciała, te, a nie inne, geny, które w powieści określa się zazwyczaj mianem krwi – poprzez krew „odżywiane” są pewne aspiracje, otwierają się także określone możliwości (mówiliśmy już o tym przy okazji analizy ostatniego dialogu Arona ze Stanisławem).

Czy zatem w wyborze Eryka zostają jakiekolwiek ślady uprzednio wprowadzonego podziału na powszechność chrześcijańską – z jednej strony, z drugiej zaś – narodową czy państwową partykularność? Raczej nie, skoro mamy oto do czynienia z wyborem dokonany w związku z porządkiem pożądania władzy (siły, mocy) i o porządek ciała. Miłość ojczyzny, jako pewna szlachetność, przeciwstawiona powszechności Kościoła, o której – Eryk dobrze to pamięta – Gnup wyrażał się jak najgorzej⁶, okazuje się fikcją rozumu, którą nakłada się na rzeczywiste zdarzenie, aby zagłuszyć, przynajmniej w tym przypadku, rodzące się poczucie winy. Eryk podejmie jeszcze wiele takich prób, jedną z nich i zarazem ostatnią będzie wyprawa do Ameryki.

W wyniku zamachu – *Gdy [...] stchórzył Gnup [...] odebrałem z trzęsących się rąk topór...* (s. 205) – Eryk został wygnany z Polski; zresztą przeżył z trudem. W walkach, w których Gnup poniósł śmierć, Eryk odniósł ciężkie rany. Dalsze jego losy, przynajmniej do chwili objęcia biskupstwa na Grenlandii, mniej nas interesują.

6 Obóz – *wmieszał się gwałtownie Gnup – przewrotnych, zjadliwych, mściwych kalek, tchórzów, nierobów, bękartów bez rodzinnego obyczaju, bez domu, bez prawa do czegokolwiek dziedzicznie, a z chciwością na wszystko, co inni odziedziczyli. To są przywódcy obozu, zaiste Żydzi! A komu przewodzą? Gałganiarzom, żebrakom...* (s. 213) – tu znów powraca sprawa z dziennika Łukasza, która już wcześniej została wspomniana.

Biskupem Grenlandii Eryk został w roku 1104: *mam na resztę życia przenieść się do Grenlandii, co prawda, nie jako byle kto, bo biskup, pierwszy, jakiego w ogóle tamta odległa mroźna kraina będzie miała* (s. 206).

Co zaś się stanie później? Ten niemłody już, ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna, dręczony wyrzutami sumienia, skazany na ciągłą ucieczkę przed samym sobą, próbujący uciekać – trochę podobnie jak król Etelred – nawet w romans z trzykrotnie młodszą od siebie dziewczyną, połączony na dodatek z perwersjami natury kazirodziej, ostatecznie wyprawi się do Ameryki. Będzie to jego podróż do śmierci.

Historia przeciw biologii

Dlaczego Eryk wybrał się do Ameryki? Co pchnęło go do podjęcia tak ryzykownej wyprawy? Najprostsza odpowiedź brzmi: nie miał nic do stracenia. Trzeba jednak odpowiedź tę nieco skomplikować. Doświadczenie Eryka jest bowiem złożone, odgrywają w nim rolę różne czynniki, takie jak: porządek ciała, ponieważ to jemu głównie uległ dziewiętnastoletni Eryk, wznosząc topór nad Stanisławem; uczucia do matki, gdyż morderstwo popełnił w pewnej mierze dla niej; nasilające się wyrzuty sumienia i pragnienie, by krzyczące sumienie uciszyć, aby ostatecznie został uznany za niewinnego; doświadczenie tekstowe, czyli uważna i długoletnia lektura dziennika Łukasza.

Lektura dziennika oraz wyrzuty sumienia spletały się ze sobą. Eryk, przeczytawszy w dzienniku o wchłanianiu cudzej osobowości w chwili śmierci ciała „dawcy”, uwierzył, że Stanisław razem z Aronem teraz na odmianę zamieszkali w nim wskutek popełnionego przezeń mordu. Ale przeczytał tam także o Atlantydzie – przeczytał ów koncyptowany opis ukształtowania Przeciwiemni, dowiedział się również o możliwości ponownego wcielenia Słowa w ciało, czyli o Wężu Pierzastym.

[...] zanim jeszcze Eryk wrócił całkowicie do zdrowia [z odniesionych ran] – więzień nie omieszkął (czy raczej dwaj więźniowie nie omieszkali) przypomnieć mu się; oświadczyli, iż życzą sobie, by ich zaprowadził do Tollanu Atlantów. Bawiło go nawet to: okrę-

tem miał się stać dla Stanisława, a więc tym samym także i dla Arona. Obydwóm przyrzekł: gdy ozdrowieje całkowicie, zaraz przystąpi do przetworzenia ich pragnienia w rzeczywistość.

(s. 210)

Po wygnaniu z Polski Eryk stara się dotrzymać swej dziwnej obietnicy. Jego obłąd rozwija się latami. W końcu, w przededniu wyprawy, jego osobowość jest już podzielona na trzy części: jego własną, Aronową i Stanisławową: *Jestem [...] od dwu (albo i dłużej jeszcze nawet) miesięcy w mocy więźniów duszy swej; nie oni w mojej. Jak kpią sobie oni ze mnie, nie byłbyś władny sobie wyobrazić* (s. 220). Ten podział okaże się zresztą trwały, z nim Eryk umrze.

Pragnienie wyprawy za ocean jest pragnieniem ucieczki od wyrzutów sumienia: *u Atlantów wcielenie mogło być inne niż tylko w Jezusową osobowość dokonać się. Czyli Kościół Chrystusowy nie wszędzie na świecie posiadałby wyłączność rządzenia duszami w Boga imieniu! A jeśli tak, wcale nie wszędzie zbrodnią największą jest chrześcijańskiego biskupa, pomazańca, wyposażonego w moc wyłączną rozdawnictwa łask sakramentalnych – zabić!* (s. 216). Postępowaniem Eryka steruje zatem pożądanie mitu – jego wyprawa jest wyprawą do mitycznej krainy, gdzie wszystko mu zostanie wybaczone. Ten typ rozumowania na temat Atlantydy – zauważmy – Eryk czerpie także z dziennika Łukasza, bo to właśnie tam Łukasz odnotował stwierdzenie Stanisława, że szlak do Przeciwiemi jest szlakiem do boskości i nieśmiertelności. Fikcja ta posiada podobną strukturę jak mit Eryka, tyle że Stanisław – jak pamiętamy – próbował za jej pomocą opanować szok nowości wywołany pojawieniem się za oceanem nowego lądu, Eryk natomiast próbuje tym samym mitem opanować lęk przed własną historią, w której jest uwięziony.

Jego umęczona osobowość pragnie pocieszającej fikcji. Stanisław w dzienniku Łukasza powiada: *zapowiedział [Wąż Pierzasty], że wróci. I wróćę chyba.* Teraz w rojeniach Eryka to on sam staje się owym białym człowiekiem, który – według legendy – ma powrócić do Tollanu jako król-bóg. Statek, którym popłynie do Ameryki, będzie się nazywał „Powracający Wąż Pierzasty”.

Eryk nie chce zrozumieć, nie ma na to zrozumienie najmniejszej ochoty, dlaczego zabił biskupa, chce jedynie usprawiedliwienia: [...] *można poczuć się usprawiedliwionym, nie umiając wytłumaczyć sobie ni istoty, ni przyczyny swojego postępku [...]. Więcej jeszcze: najłatwiej jest taki właśnie własny usprawiedliwić postępek, którego ni istoty, ni przyczyn nie jest się w stanie sobie bezbłędnie, a i bez reszty, wytłumaczyć* (s. 245). Czy można wyobrazić sobie lepsze usprawiedliwienie dla morderstwa na biskupie, niż ubóstwienie własnej osoby, więcej: zdobycie pełnej władzy świeckiej i duchowej? O kimś takim Łukasz w dzienniku pisze: *jedność łącząca w sobie i godząca przeciwieństwa papieskości i cesarskości. Król-kapłan najwyższego stopnia! Pomazaniec nad pomazańcami!* (s. 158). Eryk po to, aby kimś takim zostać, podejmuje wyprawę do Ameryki.

I tym razem Atlantyda pojawia się w obrębie pragnienia mitu. Za jego pomocą Eryk spróbuje sprzeciwić się rzeczywistości. Czy mu się to uda, a przede wszystkim, czy Atlantyda okaże się krainą mityczną, istniejącą poza rzeczywistością? Oczywiście nie. Zamiast doświadczenia mitycznego, zamiast ubóstwienia połączonego z pełnią władzy Eryk w Ameryce doświadczy w największej pełni tragizmu historii, cierpienia ponad siły fizyczne i psychiczne, doświadczy okrucieństwa rzeczywistości – twardej i niszczącej, zobaczy świat, w którym nad człowieczeństwem zapanowała biologiczność. Właściwie dopiero o tym lądzie, odartym z wszystkich mitów i tęsknot, które mu wcześniej przypisywano i które z nim wiązano, będzie można powiedzieć – to jest Ameryka. To jest Ameryka w znaczeniu jej przynależności do rzeczywistego świata, który poddany jest tym samym prawom, co wszystkie inne znane i zamieszkałe. Co zatem zobaczył Eryk w Ameryce?

Najpierw była długa i trudna droga do Tolteci, czyli do dzisiejszego Meksyku. Przypomnijmy, że Eryk posuwał się od strony Grenlandii, od północy. Popłynął na południe wzdłuż wybrzeża, potem przedzierał się przez puszcze: *Wyprawa ta przyprowadziła go o stratę połowy pozostającej jeszcze przy życiu załogi okrętu; zajęła też ponad cztery miesiące; puszcze bowiem trzeba było wyrąbywać, by mieć dość miejsca dla przetoczenia na kołach „Powracającego Węża Pierzastego”* (s. 248). Przedarł się ku rzece, która w dzienniku Łukasza nazwana została Przeciwdnie-

prem, a schwytani przezeń jeńcy „miedzianolicy” – Jaśniejącym Ojcem Rzek, my natomiast rzekę tę nazywamy Missisipi. Eryk dotarł do niej, pożeglował do ujścia i wypłynął na wody Zatoki Meksykańskiej. Stanisław w świadomości Eryka mówi doń: *Byłeś przeze mnie owym zapisem w Łukaszowym dzienniku uprzedzony: Przeciwnie, konstantynopol leży z dala od morza. Przedzierałeś się ku niemu z wielkim trudem przez góry. Nagle zobaczyłeś w dali – przecież wyraźnie zarysowane na tle rozżarzonego błękitu nieba – szczyty ośnieżone: stożkowaty jeden; drugi – do kobiety leżącej podobny. Dotarłeś do Tollanu...* (s. 250).

Eryk podróżował z rodzeństwem: Sokkem i Hildą. Hilda popłynęła z Łukaszem, ponieważ go kochała, zabrała ze sobą brata. Eryk do swego przyjaciela Dawida pisał jeszcze z Grenlandii: *Eryk kochany jest teraz [...]. Dziwne to, oczywiście, wyda ci się, skoro uprzytomnisz sobie, że Eryk [...] ma już ponad sześćdziesiąt lat, Hilda [...] nie skończyła jeszcze dwudziestu, mogłaby być moją wnuczką. Ale dziwne: Eryk [...] ciałem młody jest teraz (zawsze jednakowo zresztą, powiem ci) dokładnie tak, jak wtedy gdy zabijał toporem mistrza swego* (s. 221). Okazuje się jednak, że są to przechwałki. Hilda ma, co prawda, nadzieję, że rozdarta psychika Eryka uspokoi się po wypłynięciu: *twierdzi, iż kołysanie się równoczesne – morskie i miłosne – najlepszą stanowi tarczę przeciw wszelkim zwidom złym czy głosom bezcielesnym* (s. 232), ale potem dowiadujemy się, że nic z tego nie wyszło:

[...] jednakże okazało się w czasie żeglugi jeszcze coś: biskup grenlandzki mógł wyglądać w podeszłym swym wieku na młodzieńcaomalże, lecz cielesnie – ściślej mówiąc, w zakresie cielesności, bez której jest wszelka miłość między mężczyzną a kobietą snem na jawie tylko – dał się poznać Hildzie jako starzec; zażądała więc, by kochany mężczyzna wszedł w posiadanie dziewictwa jej poprzez pełnomocnika; miał być nim Sokke, rodzony Hildy brat. Wymogła na ukochanym więcej jeszcze: byłoby to zdradą względem niego – przekonywała żarliwie (i przekonała), gdyby oddawała się pełnomocnikowi w nieobecności mocodawcy...

(s. 252)

Takie jest zakończenie jednego ze „snów Eryka na jawie” – może być jedynie świadkiem stosunków Hildy i Sokkego. Mit spełnionej miłości był więc jednym z dwu, w których Eryk upatrywał ewentualnych źródeł swego spokoju psychicznego. Nie udało się, ale przecież – wpłątany w ten kazirodczo-onanistyczno-voyeurystyczny trójkąt – dotarł do Tollanu, do mitycznej krainy, gdzie miał zostać bogiem i odpocząć po latach cierpień wywołanych krzykami dręczącego sumienia, przemawiającego doń niemal bez przerwy głosami Stanisława i Arona. Było to przeżyciem i potwornym, i zarazem jego ostatnim. Okazało się, że wymarzona mityczna kraina podlega historii, czyli zmienności w upływającym czasie bez reszty.

Zbliżając się do Tollanu, mijali pobojoyiska, które – usiane świeżymi trupami – znamionowały niedawną krwawą wojnę, w wyniku której miasto uległo zniszczeniu, Toltecy zaś zostali zabici lub zjedzeni przez najeźdźców Cziczimeków. Oni sami, przybysze z Europy, wpadli w pułapkę. Eryk trafił do klatki, Hilda zmarła w wyniku gwałtów zadanych jej przez niedawnych zdobywców Tollanu, natomiast Sokkego, który zaciekle bronił siostry, najpierw rozerwano na strzępy, potem ugotowano go, z braku wody, w jego własnej krwi.

[...] ostatni etap żeglugi, przedzieranie się przez góry, upał straszliwy, brak wody, nieoczekiwane zupełnie wrażenia wzrokowe po dotarciu nareszcie do celu wędrówki: gruzy, zgliszcza, trupy – tam gdzie naprawdę, nie zaś tylko w snach czy wymysłach, królowała do niedawna jeszcze (odkrywał) wspaniałość zaiste osobiwa osiągnięć w zakresie sztuki, a niewątpliwie i uczoneści.

(s. 253)

Eryk ze swojej klatki obserwuje zbiorowe gwałcenie Hildy i gotowanie rozszarpanych zwłok Sokkego w kotle. Udręczona świadomość z wielkim trudem znosi rzeczywistość, pojawiają się majaczenia, sny na jawie, podjęta przezeń też jest ostatnia próba obłaskawienia potworności. Eryk uzna kocioł, w którym Cziczimekowie gotują Sokkego, za kocioł z legendy o Pwylu i Peredurze. Raz jeszcze więc spróbuje uciec przed rzeczywistością, raz jeszcze ulegnie naporowi fikcji – bę-

dzie on wprost proporcjonalny do okropności świata. W ten sposób Eryk będzie próbował uczynić ten świat chociażby tylko zdatnym do przetrwania w nim.

Pojawia się też wielokrotnie powracający sen o starcu w masce umierającym w fotelu. Starcem tym okaże się Stanisław z odciętą ręką i nogą, a zatem Stanisław skazany na karę obcięcia członków zgodnie z przekazem Galla Anonima – Dawida z *Kroniki polskiej* (por. rozdział Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice). Będzie sobie także Eryk wmawiał, że wszystko to, co zastał i co się z nim oraz z jego towarzyszami podróżuje dzieje na gruzach Tollanu, jest tylko snem, z którego, jak ze snu o starcu w masce, można się obudzić. Ale ciało nie pozwoli mu zapomnieć o rzeczywistości:

Najstraszliwszą udrękę przeciw powodowało przeciwieństwo: najpierw głód, potem (poprzez kraty drewniane właśnie) tuczenie go obfite ohydą robaków najrozmaitszych, z jaszczurkami jako przysmakiem⁷; męka zaś rosła (tym razem właściwie już duchowa), gdy stwierdził, że tę ohydę zjada, i to ze smakiem po jakimś czasie.

(s. 253)

Całkiem pomieszany umysł, w którym nieustannie krzyżują się głosy Stanisława, Arona i jego własny, jest jednak czasem w stanie

7 Scena ta rymuje się z pewnym zdarzeniem, które – z punktu widzenia omawianych – stanowi zamierzchlą przeszłość. Jest to krótka historia związana z Łukaszem, najwcześniejsze przedstawione w powieści zdarzenie z jego życia – wiosna 1016, Łukasz miał wtedy lat około sześciu: Łukasz doznał nagle uczucia przykrego, bolesnego wręcz – czas stanął, po czym z rozpędem zrobił wielki skok wstecz: czarodziejską mocą wcisnął biskupa nowogrodzkiego, a niedawnego więźnia kijowskiego, między zgłiszcza i gruzy wieży nadrzecznej, jaką ongiś zwano Białą. W skwarze nie do zniesienia gonił turkusowymi skośnymi oczyma i wychudzonymi na szkielet pieszczelami, czarnymi z brudu a czerwonymi z krwi ran nóżkami dziecięcymi – ogromną a zwinną, nieporównanie zwinniejszą od niego, odrazę i lęk przedtem budzącą, a potem męki głodu już tylko widokiem swego cielska ustokrotniającą – jaszczurkę. [...] była to wiosna [...] gdy najpierw właśnie gonił, z kolei zabijał (długo powolnie), potem rozdzierał (też długo, z wielkim wysiłkiem wychudzonych rąk), wreszcie zjadał (na odmiannę szybko, bo żarłocznie) jaszczurkę (s. 118–119).

dokonywać całkiem trzeźwych obserwacji, które wyłaniają się z porażenia biologicznością: własną – kogoś, kto z głodu żre robactwo, i cudzą – Eryk obserwuje liczne akty ludożerstwa, potem sam dostaje do zjedzenia kawałek ugotowanego już Sokkego. Jego obserwacje – mimo ogarniającego go koszmaru – znów dotyczą przestrzeni mitycznej, w interesujący sposób połączonej z problemem głodu. Eryk bowiem, siedząc za kratą:

Nieraz zastanawiał się nad tym, co by się mogło było stać z sakramentem Ciała i Krwi Pańskiej w świecie chrześcijańskim, gdyby nagle i tamten też świat któregoś dnia ujrzał się pozbawiony umiejętności, a i możliwości w ogóle, czy to zasiewania pól, czy uprawiania winnic; wodę zaś z chmur dostawałby tylko, przez kilka miesięcy rocznie.

(s. 255)

Eryk rozumuje trzeźwo – człowieczeństwo zależy od warunków naturalnych i zaspokojenia podstawowych potrzeb. W obliczu ostatecznego doświadczenia potwornego głodu to, co nazywamy człowiekiem, a o czym myślimy w połączeniu z ideologią, humanistyką oraz religią, traci ważność i sens. Eryk nie ma wątpliwości, że wkrótce on także zostanie zjedzony. Cienkie nici człowieczeństwa ostatecznie zerwą się, zwycięży biologia, głód: *moc niewidzialna wciąż jeszcze trzymała na uwięzi, również niewidzialnej, mięsożerne (z braku czworonogów jadalnych, ludożercze) zwierzę, straszliwe iście cierpiące męki głodu...* (s. 257).

W ostatnich zdaniach powieści nie ma nic poza absolutnym porażeniem zwyciężającą człowieczeństwo biologicznością, poza triumfującą cielesnością, która wyrwała się z wszelkich ograniczeń.

Starzec widocznie nie mógł już głosu z siebie wydobyć; ręką tylko – ledwie już władną wykonać ruch – wskazał na gwałconą Hildę.

A wskazawszy na nią – umarł.

(s. 263)

Pisać zakończenie po właściwym zakończeniu nie ma sensu. W tym miejscu, wraz ze śmiercią Eryka, kończy się ta historia. Jej narrator – wspominaliśmy już wcześniej o wielorakich ograniczeniach, którym podlega – „napotyka” tym razem miejsce, w którym musi zamilknąć. Nie ma już „o kim mówić”, nie ma też „kim mówić” ani „z kogo”. Tego progu już nie pokona, ponieważ z głębi biologii, gnicia lub ciała gotowanego we własnej krwi mówić już nie sposób. Parnicki dobrze wie, że monolog – z punktu widzenia trupiego robaka (lub takiego, którym Eryk się żywił) – jest literacko możliwy, ale absurdalny – z punktu widzenia rzeczywistości.

Natomiast monolog z punktu widzenia tubylczego zdobywcy Tolanu to już całkiem inna historia i historia zupełnie nowa. Wzorem Eryka porozumiewającego się z tubylczymi Cziczimekami narrator *Robotników wezwanych o jedenastej* musiałby ją opowiadać na migi.

Tu zatem kończy się historia, ta historia. Kończy się w mocnym, zasadniczym, nieodwołalnym sensie. I nic z niej nie zostaje. Wokół pańszczy się biologia. W zakończeniu widzimy już tylko: *zgliszcza i gruzy* (s. 250). Nic, poza „Dziennikiem podróży ku śmierci” – w dosłownym i metaforycznym znaczeniu...

Filip Mazurkiewicz

A journey to Atlantis

On the first volume of Teodor Parnicki's *A New Fairy Tale*

Summary

The present work is most of all an analysis of volume I of the series of novels by Teodor Parnicki *Nowa baśń* (*A New Fairy Tale*), entitled *Robotnicy wezwani o jedenastej* (*Workers Called at Eleven*). The scope of the study defines both the work's merits and its shortcomings. Amongst its advantages can be counted the completeness of the author's analysis, which results in his work being the very first exhaustive "guidebook" for the novel. On the other hand, the work's disadvantage is, induced by Parnicki's text, intricacy of the dissertation, stemming from the novel's purely historical context. If a reader of the dissertation is not acquainted with the novel in question, the analysis will most certainly seem tedious. Such a meticulous analysis, however, is indispensable for the subsequent interpretations having a two-way course.

Firstly, the interpretation follows the thread of the inspiration Ingarden's or, more broadly, phenomenological thought, had for Parnicki's writing. Here we deal with the influence on generic transformations of the historical novel as a literary text and the effect the above-mentioned thought had on the way of perceiving, so to speak, historicity itself as a textual/nontextual correlate of the novel. Literariness is treated by Ingarden himself as a kind of border marking the status of objects and characters appearing in the literary work – and the essence of this border is the suspension of assertion of the judgments said in a text. But, a historical novel seems to be a peculiar case in this scope, where it can be said that the suspension of assertion is the slightest. Parnicki followed this trace and transformed the classical genre of historical novel in order to exceed this suspension to the greatest possible extent. Therefore, the novels by Parnicki should be classified as naturally historical novels. Beings thus appear in these novels in their naturally historical, not simply historical, manner. What results from this is a particular conception of history understood as natural histories to be regained; histories which in their singular occurrence are always primarily nontextual and not yet discussed. Primarily they are biological, not textual.

The second group of interpretive operations aims to determine the thematic field of Parnicki's naturally historical novels as the novels on death. The Parnicki's text arduously penetrates various European myths and tales considering death, testing if they bring any form of explanation or consolation. The answer to this question is negative. Eventually,

death remains inconceivable phenomenon, escaping every attempt to explain or understand it. And this is the conviction that Parnicki leaves his reader with. In the last scene of the novel all the text on death silent together with the voice of the narrator – what stays at the stage in the bare life that dies.

The principle context of interpretation appears to be the myth of Atlantis that has a triple meaning in the novel. Firstly, its literally meaning is a mythical land that cannot be conquered, even though the protagonists try to reach its shore. Second, it signifies unconquerable land of “real” history, the land of reliable history, a history-being. Third, the Atlantis becomes a metaphor of death, because only through death we have a brush of experience that cannot be passed on or expressed in words.

Филип Мазуркевич

Путешествие на Атлантиду О I томе *Нового предания* Теодора Парницкого

Резюме

Настоящая работа прежде всего является подробным анализом I тома цикла романов Теодора Парницкого *Новое предание*, озаглавленного *Работники вызваны в одиннадцать*. Это предопределяет как ее достоинства, так и недостатки. К достоинствам можно отнести то, что здесь имеем дело с первым так исчерпывающим анализом этого романа – в этом смысле исследование может трактоваться как определенного рода всеобъемлющий путеводитель по этому скорее нелегкому тексту Парницкого. Недостатком, в свою очередь, можно назвать обусловленную производением Парницкого трудность текста разбора, что вызвано чисто историческим контекстом романа. Если читатель этого исследования не познакомится прежде с романом, анализ, вероятно, покажется ему неинтересным. Такой тщательное изучение романа оказывается необходимым для того, чтобы провести следующую затем интерпретацию, которая проходит по двум направлениям.

Во-первых, интерпретация соотносится с ингарденовскими, а шире – феноменологическими инспирациями, которые повлияли на творчество Парницкого. Здесь имеем дело с влиянием на жанровые преобразования исторического романа как художественного текста, а также с воздействием на способ восприятия, скажем, самого, историзма как текстово-нетекстового коррелята романа. Художественность Ингарденом понимается как некая граница, которая определяет онтологический статус предметов и лиц, появляющихся в художественном произведении, а сутью этой границы является неопределенность ассертивности суждений, высказываемых в тексте. Однако оказывается, что исторический роман в этой области относится к особому случаю, в котором неопределенность ассертивности – можно так сказать – сведена до минимума. Парницкий последовал, как кажется, этим путем и так преобразовал жанр классического исторического романа, чтобы эту неопределенность преодолеть в максимальной степени. Именно в связи с этим, по нашему мнению, следует исторические романы Парницкого классифицировать иначе: как романы историко-событийные, поскольку формы бытия появляются в нем событийно, а не исторически. Из этого также вытекает определенная концепция истории как обретенных вновь событий, которые в своем однократном появлении в пучине времени всегда первично нетек-

стовые, необсужденные. Первоначально они находятся в биологическом измерении, а не текстовом.

Вторая группа интерпретационных приемов устремляется к определению историко-событийной тематики романа Парницкого как романа о смерти. Текст Парницкого с усердием изучает европейские мифы и легенды, касающиеся смерти, проверяя, несут ли они какое-либо выясняющее или утешительное измерение. Ответ на этот вопрос звучит отрицательно. В конечном счете смерть остается непонятым феноменом, ускользающим от всех попыток понимания или выяснения. И с таким убеждением Парницкий оставляет своего читателя. В последней сцене романа все тексты о смерти замирают, а вместе с ними умолкает также повествователь – на сцене остается голая жизнь, которая умирает.

Основным контекстом интерпретации оказывается миф Атлантиды, который в романе имеет тройное значение. Во-первых, в прямом смысле Атлантида означает мифическую землю, которую нельзя завоевать, хотя герои пытаются туда доплыть. Во-вторых, обозначает незавоеваемую землю «настоящей» истории, материк конкретной истории, истории-бытия. В-третьих, она становится метафорой смерти – через смерть человек соприкасается с опытом, которого уже не может ни высказать, ни передать.

Spis treści

Wprowadzenie 7

Co zrobić z tradycją interpretacyjną? 7

Zaproszenie do tematu 12

Hamlet i inni. (Od powieści historycznej do powieści dziejowej) 25

Hamlet Duńczyk – otwarcie 27

Aron, Łukasz, Stanisław – fragmenty streszczenia i obietnice 31

Prawda, fałsz, zdarzenie 52

Łukasz i pisanie 67

Historia, powieść, dzieje 75

Narrator i postać 90

Ingarden a Parnicki – konsekwencje 105

Hamlet Duńczyk – ostatnie przygotowanie 108

Hamlet Duńczyk – zamknięcie 123

Podróż na Atlantydę, czyli śmierć w powieści dziejowej 143

O czym to jest? – wprowadzenie do tematu 145

„Lecz czuję, że oto już...” 146

Estetyzacja śmierci 158

Atlantida 166

Eryk 180

Historia przeciw biologii 186

Summary 195

Резюме 197

Redaktor

OLGA NOWAK

Projekt okładki

ANNA GAWRYŚ

Korektor

LIDIA SZUMIGAŁA

Skład i łamanie

MAREK ZAGNIŃSKI

Copyright © 2012 by

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISSN 0208-6336

ISBN 978-83-226-2056-4

Wydawca

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice

www.wydawnictwo.us.edu.pl

e-mail: wydawus@us.edu.pl

Wydanie I. Ark. druk. 12,5. Ark. wyd. 11,5. Papier Alto 80 g
vol. 1,5 Cena 14 zł (+ VAT)

Druk i oprawa: PPHU TOTEM s.c.

M. Rejnowski, J. Zamiara

ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

że proces ontologicznej zamiany miał miejsce, bo tekst musiał mieć przynajmniej autora. Parnicki nie porusza się w ramach opozycji literatura - historia, a raczej w trójkącie historia - literatura - dzieje. Stąd - jak mi się wydaje - należy powieści historyczne Parnickiego zakwalifikować inaczej: jako powieści dziejowe.

Dzieje zamieniają się w niccość niejako bez przerwy, ponieważ wszelkie bycie bytu jest dziejowe. Dzieje jednak nie są nieme, pozostaje po nich osad słów, który odkłada się jak nakładające się jedna na drugą sedymentacje przypominające geologiczne uwarstwienia skalne. Problemem historii jest problem ontologicznego przejścia: bytowe zamienia się w tekstowe, a pozostałość bytu przechowuje się w tekście. Tekstowe jest śladem,

Cena 14 zł (+ VAT)

ISSN 0208-6336

ISBN 978-83-226-2056-4